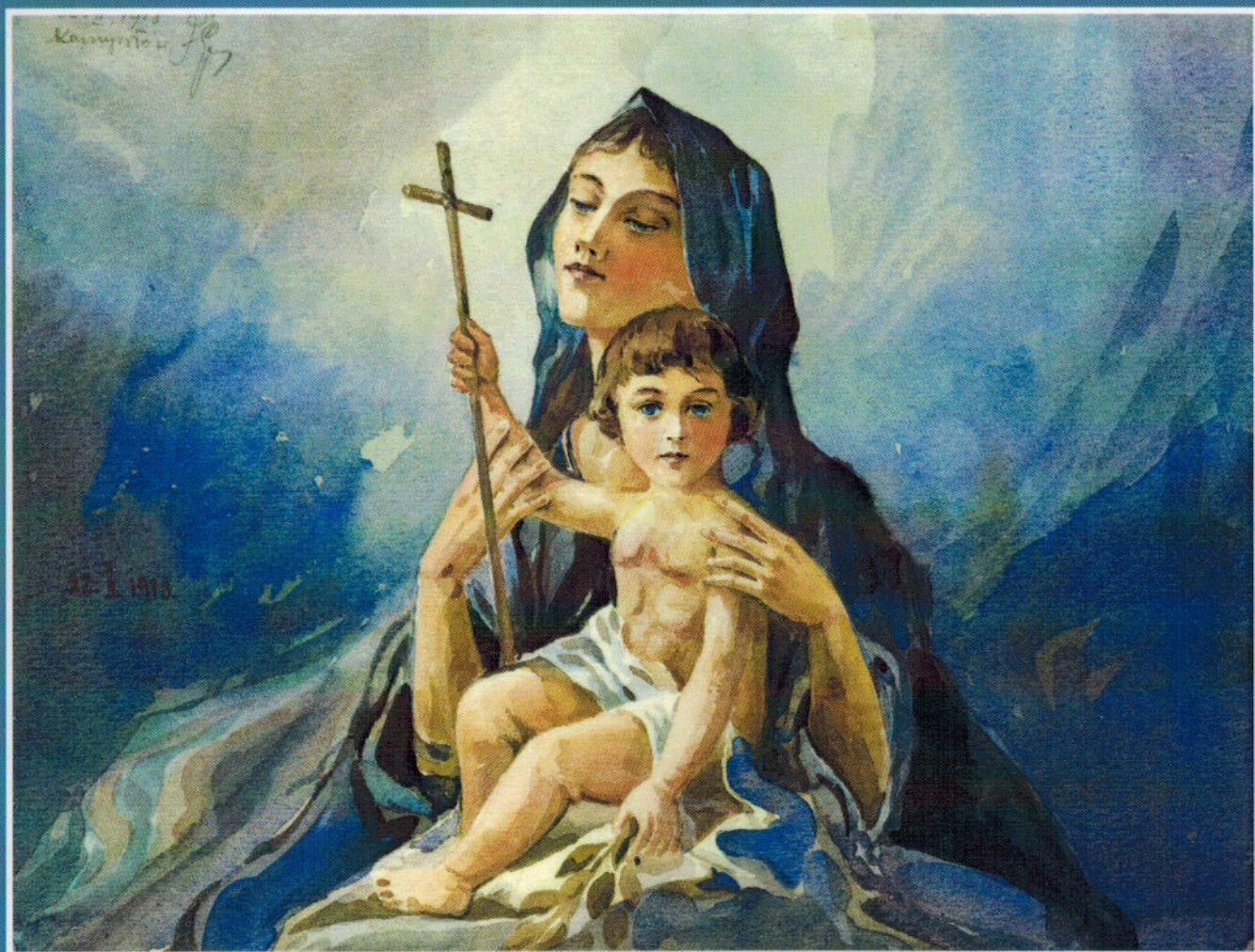


# ZESŁANIEC

PISMO RADY NAUKOWEJ  
ZARZĄDU GŁÓWNEGO  
ZWIĄZKU SYBIRAKÓW  
PL ISSN 1426-2126

68 2017





# Z e s ł a n i e c

PISMO RADY NAUKOWEJ ZARZĄDU GŁÓWNEGO  
NR 68 ZWIĄZKU SYBIRAKÓW ROK 2017

Spis treści	Od redakcji
<ul style="list-style-type: none"><li>• <b>Beata Długajczyk</b> <i>Feliks Lachowicz – drohobyczanin, Sybirak.....</i> 3</li><li>• <b>Regina Madej-Janiszek</b> <i>Pamięć o Polakach zmarłych, zamęczonych i pogrzebanych w syberyjskiej oraz kazachstańskiej ziemi.....</i> 17</li><li>• <b>Elżbieta Smułkowa</b> <i>Wspomnienie z Narymskiego Kraju.....</i> 35</li></ul>	<p><i>Pisząc kolejną już notę „Od redakcji” uświadomiłem sobie, że w ubiegłym roku minęło 20 lat od ukazywania się „Zesłańca”. Zakres chronologiczny oraz ilość podejmowanych w nim tematów o związkach polsko-syberyjskich zmuszał autorów do stosowania wielu skrótów i pominięć. Niewątpliwie ich artykuły obejmowały jednak szeroki wachlarz zagadnień. Mimo tego nie ulękli się oni pracochłonnemu ukazaniam dziejów Polaków na Syberii oraz w jej odległych rejonach, np. w Buriacji, w Jakucji, na Kamczatce, w Norylsku, czy na Sachalinie.</i></p> <p><i>Dziękujemy im za to, a w tej długoletniej współpracy dostrzegamy wciąż żywą siłę licznych autorskich inicjatyw, które mam nadzieję nie wygasną w kolejnych latach ukazywania się naszego kwartalnika. Oba te procesy łączą się bezpośrednio z ubogaceniem oraz popularyzacją dziejów Polaków za Uralem.</i></p> <p><i>„Zesłaniec” jest szczególnym pismem, które popularyzuje oraz kreuje szerszą faktografię z tego zakresu budząc zarazem pewne refleksje ogólniejszej natury, i za to należy się jego autorom oraz zespołowi redakcyjnemu specjalne podziękowanie.</i></p> <p><i>Zaproponowany przez redakcję w 1996 roku zakres tematyczny naszego pisma sytuuje się w czterech wiązkach tematycznych obejmujących artykuły historyczne, relacje z zesłania, kronikę i recenzje, które w sposób przejrzysty ukazują dzieje Polaków na Syberii. To – moim zdaniem – wystarcza by redakcyjny trud uznać za wartościowy i jakże potrzebny. W ten sposób poszerza się bowiem krąg faktografii obejmującej historyczne konstatacje,</i></p>
<b>RELACJE Z ZESŁANIA</b>	
<ul style="list-style-type: none"><li>• <b>Maria Sadłowska</b> <i>Kazachstan, mama i ja.....</i> 45</li><li>• <b>Elżbieta Panczer-Koteja</b> <i>Syberia – kronika z lat 1940-1946.....</i> 67</li></ul>	
<b>KRONIKA</b>	
<ul style="list-style-type: none"><li>• <b>Franciszek Nowiński</b> <i>Rdzenne narody Syberii w pracach polskich badaczy. Pamięci Edwarda Piekarskiego (1858-1934).....</i> 83</li><li>• <b>Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku</b> <i>Budujemy Muzeum na stulecie.....</i> 92</li><li>• <b>Zbigniew Wójcik</b> <i>Komisja Badań nad Historią Syberii Komitetu Historii Nauki i Techniki Polskiej Akademii Nauk. Sprawozdanie za rok 2016.....</i> 94</li><li>• <b>Małgorzata Dziura</b> <i>Kalendarz syberyjski.....</i> 96</li></ul>	

## REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- Katarzyna E. Kość-Ryżko, *Wykorzeleni. Dylematy samookreślenia polskich repatriantów z Kazachstanu. Studium etnopsychologiczne*, Warszawa 2014  
**(Grzegorz Pełczyński)..... 101**
- *Wołanie ze stepów. 80. Rocznica deportacji Polaków z Ukrainy sowieckiej na Stepy Kazachstanu. 1936-2016.* Piotr Hlebowicz, Natalia Rykowska, Aleksandra Ślusarek, Kraków 2016  
**(Anna Milewska)..... 102**
- *Kresowiaci. Sybiracy lubińscy*, red. Stanisław Tokarczuk, Lubin 2016  
**(Małgorzata Dziura)..... 106**
- Tadeusz Kukiz, *Madonny polskich losów w XX wieku*, Wrocław 2016  
**(Małgorzata Dziura)..... 108**

**Na okładce:** F. Lachowicz, *Madonna z Dzieciątkiem* (s. 1); *Noc syberyjska* (s. 4). J. M. Pilecki, B. Długajczyk, P. Galik, *Syberyjskie szkice Feliksa Lachowicza*, Olszanica 2014.

*legandy, wspomnienia i refleksje wolne od emocjonalnych zakłóceń. Fenomen, który legł u podstaw zainteresowania tymi problemami wyjaśnia kwestię szerokiej recepcji „Zesłańca” wśród drogich nam Czytelników.*

*Różnorodne i bogate związki łączyły poszczególne okresy naszych dziejów z Syberią, które współcześnie podejmowane przez badaczy polskich i rosyjskich ubogacają te powiązania i ich historyczne konteksty. Wybrana przez redakcję droga popularyzacji tych związków cieszy się powodzeniem, nie oznacza to jednak, że nie wymaga ona faktograficznego dopełnienia czy uzupełnienia.*

*Minęło już dwadzieścia lat ukazywania się „Zesłańca”. Na szczęście życzliwością i hojnością wspierali go różni darczyńcy. Pod ich adresem kieruję za to słowa wdzięczności w imieniu własnym oraz licznej rzeszy Sybiraków.*

**Wiesław Krawczyński**  
**Przewodniczący Rady Naukowej**  
**Zarządu Głównego Związku Sybiraków**



SENAT  
RZECZYPOSPOLITEJ  
POLSKIEJ



Projekt współfinansowany w ramach sprawowania opieki  
Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polonią i Polakami za granicą

**Wydawca:** Zarząd Główny Związku Sybiraków, ul. Mazowiecka 12; 00-048 Warszawa, tel. 22/827 93 71. **Redakcja:** A. Dobroński, A. Dzieńkiewicz, W. Krawczyński, A. Kuczyński (red. nac.), A. Milewska-Młynik, P. Zworski; Sekretarz redakcji: M. B. Kuczyńska. **Wykonawca:** Skład, druk i oprawa – QUAESTIO Przemysław Włodarczyk, **Copyright** nazwy „Zesłańca” by A. Kuczyński. **Adres redakcji:** ul. Bystrzycka 61/3; 54-215 Wrocław.

---

---

BEATA DŁUGAJCZYK

## FELIKS LACHOWICZ – DROHOBYCZANIN, SYBIRAK

W 1998 roku Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu wszedł w posiadanie ponad sześciuset pięćdziesięciu akwarel i rysunków Feliksa Lachowicza, drohobyckiego artysty, którego twórczość przez wiele lat pozostawała niemal całkowicie nieznana. Lata PRL-u nie sprzyjały popularyzowaniu dorobku artystycznego kogoś, kto urodził się i mieszkał na Kresach, a zmarł na Sybirze, dokąd został zesłany jako więzień polityczny. Ponowne odkrywanie zapomnianego twórcy zaczęło się dopiero ze zmianą klimatu politycznego. W 1988 roku Galeria Na Mariackiej w Szczecinie z okazji 70. rocznicy odzyskania niepodległości zorganizowała wystawę *Malarskie pasje, czyli Drohobycz Feliksa Lachowicza*, ukazującą dwa powstałe w okresie międzywojennym cykle: *Urycz w legendach* oraz *Historia Drohobycza*. W rok później w tej samej galerii odbyła się kolejna ekspozycja, zatytułowana „...i pozostały tylko obrazy”, prezentująca prace powstałe na Syberii. Od tej pory akwarele i rysunki Lachowicza pokazywane były wielokrotnie w różnych placówkach muzealnych.

Kiedy po 1989 zaczęto interesować się osobą Feliksa Lachowicza i jego artystycznym dorobkiem, okazało się, że wdowa po nim oraz jego przybrana córka nie dysponują praktycznie żadnymi dokumentami rodzinnymi, i tylko dociekliwości Jerzego M. Pileckiego, wiceprezesa Zarządu Głównego Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej, i jego niestrudżonym poszukiwaniom archiwalnym zawdzięczamy dziś znajomość życiorysu tego niezwyklego artysty-samouka, którego los dwukrotnie skazał na Sybir.

Feliks Lachowicz urodził się 14 listopada 1884 roku w Drohobyczu jako syn Marcina (1834-1920), szewca zamieszkałego przy ulicy Liszniąńskiej, i jego drugiej żony Marii z Jachów (1858-1916)<sup>1</sup>. Jego dziadkami ze strony ojca byli Marcin i Katarzyna z domu Diug, ze strony matki – Bartłomiej i Anna z Pielechów. Feliks miał brata Macieja i siostrę Kazimierę (1894-1940) oraz trójkę przyrodniego rodzeństwa z pierwszego małżeństwa ojca. W latach 1900-1905 uczęszczał do ośmioletniego Wyższego Gimnazjum w Drohobyczu, jednak porzekał na ukończeniu pięciu klas. W listopadzie 1912 wstąpił do działającej w Drohobyczu od kwietnia 1911 Drużyny Bartoszowej i w rok

---

<sup>1</sup> W niektórych opracowaniach pojawia się błędna data dzienna urodzin F. Lachowicza – 12 lub 20 listopada i błędna data roczna – 1885. Informacje metrykalne w księgach parafialnych znajdują się w Archiwum Archidiecezjalnym w Przemyślu. Przebieg nauki ustalono na podstawie corocznych sprawozdań dyrekcji gimnazjum.

później został naczelnikiem chorągwi. Działając w Drużynie, dał się także poznać jako utalentowany artysta – projektował dekoracje i współtworzył scenariusze licznych imprez patriotycznych i przedstawień teatralnych, odgrywanych w należącej do Drużyny Stanicy.

Po wybuchu I wojny światowej jako poddany austriacki w sierpniu 1914 r. został powołany do służby wojskowej. Niedługo potem na froncie karpackim dostał się do niewoli rosyjskiej i po raz pierwszy zawędrował na Sybir. Na ziemiach zauralskich spędził ponad sześć lat, początkowo jako jeniec wojenny, a następnie jako żołnierz 5. Dywizji Strzelców Syberyjskich, polskiej jednostki sformowanej we Wschodniej Rosji. Do Drohobycza powrócił dopiero w początkach 1921 roku. Z trwającej sześć lat wojennej tułaczki przywiózł ponad dwieście siedemdziesiąt prac – rysunków ołówkiem, tuszem i akwarelą. Na ten zespół, przez krytykę nazwany później *Syberyjskim szkicownikiem*, złożyły się widoki, przedstawienia typów etnicznych, wizerunki własne i towarzyszy broni, scenki z obozów jenieckich i koszar, karykatury oraz kompozycje o tematyce martyrologicznej i symbolicznej.

Okres dwudziestolecia międzywojennego Lachowicz spędził w rodzinnym mieście. 7 lutego 1924 r. zawarł związek małżeński z Elżbietą z domu Kloś (1897-1991), córką Jana, pochodzącą z rodzimych drohobyckich muzyków, i rozpoczął pracę jako kierownik robót budowlanych rafinerii „Galicja”. Nie mając własnych dzieci około 1937 r. Lachowiczowie przygarnęli osieroconą córkę bratanka Feliksa, Wiesławę (1929-2007).

W 1932 r. artysta rozpoczął prace nad cyklem *Historia miasta Drohobycza*. Do września 1939 r. zdążył zrealizować osiemdziesiąt jeden kartonów ilustrujących historyczne dzieje miasta. Trzydzieści kolejnych, pokazujących legendarne początki grodu, złożyło się na cykl *Urycz w legendach*. W październiku 1934 r. pierwsze pięćdziesiąt plansz cyklu historycznego zostało pokazanych na wystawie w drohobyckim ratuszu, kolejne ekspozycje miały miejsce w 1937 r. w Sali Domu Legionowo-Strzeleckiego w Drohobyczu oraz w salach Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych we Lwowie. Rok wcześniej w salach Pałacu Biesiadeckich we Lwowie na wystawie *Sybir w martyrologii porobiorowej Polski* prezentowane były szkice sybirskie. 16 marca 1933 r. artysta został odznaczony Medalem Niepodległości, a w 1939 r. – Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Kiedy pod koniec września 1939 r. do Drohobycza wkroczyły wojska sowieckie, Lachowicz zatrudniony był jako majster w Wojskowym Przedsiębiorstwie Budowlanym. Niemal od samego początku wojny zaangażował się w podziemną działalność Związku Walki Zbrojnej. Nie trwała ona długo. 25 kwietnia 1940 r., po rutynowej rewizji w domu, został aresztowany przez NKWD. Więziony był początkowo w Drohobyczu, w budynku Sądu Grodzkiego, a następnie w Kijowie, w Więzieniu Ogólnym NKWD nr 1, tzw. Łukjanowskim. Tam kontynuowano śledztwo – 5 maja 1941 r. otrzymał akt oskarżenia. W dniach 12-16 maja 1941 r. w siedzibie sądu wojennego Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego (KOWO) odbył się proces tzw. grupy Michalskiego (od nazwiska dowódcy), do której należał, grupy Załanowskiego (od nazwiska zastępcy dowódcy) oraz grupy harcerskiej lub grupy dziewczętnastu z drohobyckiego ZWZ. Pięciu oskarżonych skazano na karę

śmierci, trzech uniewinniono, natomiast Lachowicz otrzymał wyrok pięciu lat pobytu w poprawczym obozie pracy i trzy lata pozbawienia praw obywatelskich bez konfiskaty majątku. Nie udało się ustalić, w jakim obozie odbywał karę. Zwolniony został 23 listopada 1941 r. na mocy amnestii dla obywateli polskich w ZSRR, stanowiącej konsekwencję układu Sikorski-Majski, i ta data stanowi ostatni pewny ślad w jego życiu. Pięćdziesięcioośmioletni, wyczerpany półtorarocznym więzieniem, być może usiłował przedostać się do armii Andersa, bądź też odszukać wywiezione na Syberię w połowie 1940 r. żonę i przybraną córkę. Nie dotarł do Armii Polskiej, nie połączył się z rodziną. Zaginął. Pozostały tylko obrazy...



Dom Feliksa Lachowicza w Drohobyczu. Widok współczesny.  
Ryc. z: J. M. Pilecki, B. Długajczyk, P. Galik, *Syberyjskie szkice Feliksa Lachowicza*, Olszanica 2014.

Spuściznę artystyczną Lachowicza ocaliły siostry jego żony, Władysława i Maria Kloś, które kiedy w 1945 r. rodzina Klośków ewakuowała się z Drohobycza do Szczecina, przewiozły do Polski wszystkie prace szwagra. Pod koniec marca 1946 r. Elżbieta Lachowicz i jej córka Władysława, ewakuowały się do Opola, a następnie przeprowadziły do Szczecina i od tej pory stały się strażniczkami dorobku artysty.

Omówienie twórczości Lachowicza należy rozpocząć od uwagi, że autor nie miał wykształcenia plastycznego. Jeśli nawet – jak utrzymywały żona i córka – ok. 1900 r. rozpoczął studia w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, to na zajęcia uczęszczał krótko i pewnie wyłącznie jako wolny słuchacz; jego nazwisko nie figuruje w żadnym wykazie studentów. Swoje plastyczne uzdolnienia Lachowicz rozwijał przede wszystkim jako samouk.

Na artystyczne juvenilia składają się drobne rysunki ołówkiem, kredką czy akwarelą oraz nieliczne obrazki olejne. Są wśród nich pejzaże, wizerunki

własne i bliskich (portrety ojca i brata), sceny rodzajowe, symboliczne i religijne, projekty kilimów, witraży i pomników, kompozycje ornamentalne i wreszcie kopie dzieł znanych malarzy (np. *Święta Jordanu* Teodora Axentowicza czy plansz z *Pocztu królów i księży polskich* Jana Matejki). W pracach z okresu młodzieńczego wyraźnie widać wpływy secesji. Stosunkowo największą swobodę zdradzają pejzaże – malowane akwarelą albo olejem; są to widoki okolic Nadwórnej, Jaremcza i Sambora.

Najwcześniejszy etap twórczości zamknęła pierwsza wojna światowa, którą artysta spędził w Rosji, najpierw jako jeńiec austriacki, a następnie jako żołnierz 5. Dywizji Strzelców Syberyjskich, polskiej jednostki sformowanej we Wschodniej Rosji. Już po zakończeniu tułaczki, w 1921 r. spisał swoje przeżycia w manuskrypcie *Wrażenia z Rosji bolszewickiej*, jednak rękopis zawiera przede wszystkim uwagi o przewrocie rewolucyjnym, próbę analizy sytuacji politycznej i ekonomicznej, a także impresje na temat trudności życia codziennego, natomiast prawie nic nie mówi o losach jego autora. Jedynie kilka pierwszych akapitów zawiera bliższe informacje o nim samym.

Byłem jeńcem rosyjskim, eskortowanym jednym z pierwszych pociągów na Syberię. Nigdy nie zapomnę przyjęcia rodaków w Lublinie. Mimo deszczu małe dzieciaki uwijały się gorliwie, ukradkiem rozdając jeńcom chleb, owoce i wodę. Dzicz żołdacka odpędzała je kolbami. W mieście panował ruch niezwykły. Przeprowadzano właśnie mobilizację w całej pełni. Na twarzach oficerów widać było niepokój i zdenerwowanie. Austriacy zbliżali się znowu do miasta.

W kilka dni potem byliśmy już w Moskwie, przejechawszy historyczne miejscowości: Smoleńsk, Możajsk, Borodino. Dawna stolica carów nęciła mnie bardzo. Niestety tym razem zobaczyć jej nie mogłem, bo wieziono nas dalej przez Wołgę i Ural na Syberię. W Omsku wsadzono nas na statek i zawieziono rzeką Irtysz do Semipałatyńska, gubernialnego miasta kozaczego okręgu, położonego na stepach kirgiskich. Tu przebyłem 10 miesięcy w obozie. Z początku otaczano jeńców dość silnym konwojem, potem obchodzono się łagodnie. Wkrótce przeprowadzono grupowania wedle narodowości. Słowian pozostawiono, innych wywieziono w głąb Syberii<sup>2</sup>.

Zacytowany fragment jest jedynym w całym liczącym 17 stron rękopisie, w którym autor mówi bezpośrednio o sobie, więc jeśli dziś potrafimy odtworzyć etapy zauralskiej wędrówki drohobyczanina, to wyłącznie dzięki powstałym na Syberii rysunkom i akwarelom. Na większości kartonów artysta zanotował czas i miejsce powstania, choć trzeba zauważyć, że niejednokrotnie nazwy miejscowości sprawiają wrażenie naniesionych wtórnie, w jakiś czas po ukończeniu kompozycji. Niewykluczone, że przynajmniej niektóre z nich zostały dopisane dopiero w początku lat trzydziestych, kiedy twórca przystąpił do porządkowania materiału rysunkowego.

Pierwszym miejscem dłuższego pobytu był Semipałatyńsk (obecnie Semej), w północno-wschodnim Kazachstanie, w którym w latach 1854-1859 po odbyciu czteroletniej katorgi odbywał służbę wojskową zdegradowany do stopnia szeregowca Fiodor Dostojewski. Dla Lachowicza Semipałatyńsk stał się miejscem pobytu w obozie jenieckim. Pierwszą datowaną pracą wykonaną

---

<sup>2</sup> ZNiO, Dział Rękopisów, akc. nr 76/98

w semipałatyńskim obozie jest akwarela *Jeńcy* z 1.09.1914, najpóźniejszą *Faun*, noszący datę 1.02.1915<sup>3</sup>.

Kolejny etap stanowiła Poklewska (obecnie Troickij w obwodzie swierdłowskim), niewielka osada o zdecydowanie polskim „rodowodzie” położona 214 km na wschód od Jekaterynburga. Historia jej powstania sięga lat osiemdziesiątych XIX wieku i budowy linii kolejowej Jekaterynburg-Tjumeń otwartej w 1885 r. Jednym z głównych akcjonariuszy tego przedsięwzięcia był działający na Syberii polski przemysłowiec i działacz społeczny, Alfons Kozieł-Poklewski, z którego inicjatywy i za którego pieniądze w 1883 na dwieście pierwszej wiorście od Jekaterynburga wybudowano stację kolejową, nazwaną od jego nazwiska „Poklewska”, wokół której rozwinęła się osada o tej samej nazwie. W Poklewskiej artysta spędził prawie cały luty 1915 r. (najwcześniejszy wykonany tam rysunek, kompozycja *Pod krzyżem*, opatrzony jest datą 9.02.1915, najpóźniejszy – akwarela *Wioska w zimie*, ma datę 29.02.1915).

Z Poklewskiej jeńców przetransportowano z powrotem do Semipałatyńska, gdzie przebywali co najmniej od połowy marca do początków kwietnia. Najwcześniejsza praca Lachowicza z drugiego pobytu w Semipałatyńsku, akwarela *Izwozszyk*, jest datowana na dzień 16.03.1915 – najpóźniejsza, akwarela *Motyw znad Irtysza*, nosi datę 10.04.1915.

Kolejny etap stanowiła Małowładymirka, w której udokumentowany pobyt artysty zamyka się w datach 5.05. 1915 (akwarela *Gospoia*) – 5.06. 1915 (akwarela *Puchacz*).<sup>4</sup>

Okres obejmujący miesiące letnie i jesienne 1915 jest trudniejszy do zrekonstruowania ze względu na niewielką ilość materiału rysunkowego. Najprawdopodobniej od końca sierpnia 1915 Lachowicz ponownie znalazł się w Poklewskiej (malowana tam akwarela *Słoneczniki* opatrzona jest datą 28.08.1915) i przebywał tam co najmniej do początków kwietnia 1916 (ostatnią wykonaną w Poklewskiej pracą jest kompozycja *Na bój* z datą 4.04.1916). Nie można jednak wykluczyć i innego wariantu – mianowicie, że z Małowładymirki pod koniec sierpnia jeńcy zostali przewiezieni z powrotem do Semipałatyńska, a do Poklewskiej dopiero z pod koniec października 1915<sup>5</sup>.

14 kwietnia 1916 r. (data na niedokończonej akwaroli *Lirnik*) artysta był już w Kamyszłowie, mieście leżącym na wielkim trakcie syberyjskim 136 kilometrów na wschód od Jekaterynburga, do którego ponad pół wieku wcześniej trafił inny polski wygnaniec, skazany w 1854 roku na katorgę w batalionach karnych Agaton Giller. Czas pobytu artysty w tym mieście był

<sup>3</sup> Oczywiście wyznaczone na tej podstawie daty „skrajne” nie są datami przyjazdu do danej miejscowości i wyjazdu z niej; wyznaczają jedynie okres czasu, w jakim artysta z całą pewnością przebywał w danym miejscu.

<sup>4</sup> Położenia Małowładymirki autorce tekstu nie udało się ustalić. Lachowicz trafił tam bezpośrednio z Semipałatyńska, nie jest natomiast pewne, dokąd został przewieziony później. Najprawdopodobniej kolejnym miejscem jego pobytu była Poklewska, ale nie jest też wykluczone, że najpierw ponownie spędził jakiś czas w Semipałatyńsku. W tym wypadku należałoby sądzić, że Małowładymirka była osadą położoną gdzieś w sąsiedztwie tego miasta.

<sup>5</sup> Kwestia niezgodności w datowaniu prac rysunkowych z tego okresu niemożności dokładnego odtworzenia tego etapu syberyjskiej wędrówki artysty została omówiona dokładniej w pracy: J. M. Pilecki, B. Długajczyk, P. Galik, *Syberyjskie szkice Feliksa Lachowicza*, Olszanica, 2014, s. 24-25.



okresem znaczących przemian politycznych i społecznych. Rewolucja bolszewicka, a następnie traktat brzeski z marca 1918 nie pozostały bez wpływu na położenie jeńców wojennych. Przeclaw Smolik, lekarz, etnograf i literat, który spędził w Rosji sześć lat, podobnie jak Lachowicz jako pojmany żołnierz wrogiej armii, opisując nową sytuację polityczną, zanotował:

Jeńcom dano zrazu nieco więcej swobody i nie stawiano im odtąd przeszkód w organizowaniu własnych instytucji samopomocy, jak tanich kuchni, bibliotek, kas pożyczkowych, biur registryjno-pocztowych itp. Ale te wszystkie ulgi i zmiany nie długo trwały. Pokazało się, że system był mocniejszy od ludzi. [...] Rząd Kiereńskiego uznał oficjalnie niepodległość Polski i organizacje narodowe i polityczne polskie w Rosji i Syberji pozyskały sobie prawo obywatelstwa. Pomimo to Polacy jeńcy nie przestali być na mocy jakiejś niezrozumiałej logiki jeńcami, a udzielano im tylko pewnych ulg, jak prawo mieszkania poza obozem i swobodnego zarobkowania – pod warunkiem atoli gwarancji, danej za każdego jeńca przez kogoś z miejscowych obywateli<sup>6</sup>.

Nie wiadomo, gdzie artysta spędził dzień 11 listopada 1918, kończący wojnę, która na długie lata uczyniła go więźniem Sybiru. Nie wiemy również, gdzie witał nowy, 1919 rok. W trzeciej dekadzie stycznia przebywał już w Nowomikołajewsku (ob. Nowosybirsk), jako żołnierz nowo utworzonej 5. Dywizji Strzelców Polskich (rysunki wykonane w Nowomikołajewsku zamykają się w datach 26.01.1919-19.11.1919).

Osiem prac powstałych między 3.12.1919 a 7.01.1920, wyznacza poszczególne etapy tragicznego exodusu, jakim była ewakuacja 5. Dywizji z Nowomikołajewska na wschód: Sokur – Jurga – Talmenka – Litwinowo – Jaszkino – Susłowo. Prawdopodobnie już w początkach stycznia 1920 r. Lachowicz znalazł się w Krasnojarsku, gdzie pozostawał co najmniej do września tego roku (ostatnia wykonana przez niego w tym mieście praca, akwarela *Chrystus na krzyżu* opatrzona jest datą 23.09.1920).

Okres repatriacji pozostaje praktycznie niewiadomą. Powrotna droga do kraju wiodła przez Moskwę, jak możemy się domyślać z akwareli *Fragment z Moskwy* opatrzonej datą 19.11.1920. Drugą informację odnajdujemy na zachowanej w papierach artysty fotografii statku pasażerskiego *Kaiser*, opisanej przez niego na odwrocie w następujący sposób: „Statek niemiecki, na którym przyjechałem z Rygi do Szczecina wracając z niewoli rosyjskiej w drugiej połowie listopada 1920”<sup>7</sup>. Datą ostatecznie zamykającą etap tułaczki jest data 29.10.1921 na rysunku *Pod krzyżem* wykonanym już w rodzinnym Drohobyczu.

<sup>6</sup> P. Smolik, *Przez lądy i oceany (Sześć lat na Dalekim Wschodzie)*, Warszawa-Kraków 1921, s. 58-60.

<sup>7</sup> Fotografia w zbiorach Gabinetu Grafiki ZNiO, I.f. 30366. W niektórych opracowaniach poświęconych Lachowiczowi pojawia się informacja, że *Kaiser* wypłynął z Rygi do Szczecina 1 lipca 1920 r. i że artysta najprawdopodobniej był wówczas na pokładzie. Nie potwierdza tego ani zapis na odwrocie zdjęcia, ani zachowane prace. Z rysunków wykonanych w Krasnojarsku pięć nosi daty lipcowe, dwa pochodzą z sierpnia, a dwa z września 1920. Kolejny rysunek, *Fragment z Moskwy* z datą 19.11.1920, wskazuje na to, że pod koniec drugiej dekady listopada artysta przebywał jeszcze w Moskwie. Notatka na odwrocie zdjęcia jest mało precyzyjna i oznacza jedynie, że w drugiej połowie listopada Lachowicz wyruszył w drogę powrotną do kraju. Kiedy dokładnie wiozący go statek wypłynął z Rygi, tego już nie wiadomo.



Odwilż, 1915 (Semipałatyńsk); papier, akwarela



Widok Kamyszłowa, 1916; papier, akwarela.

Jakie treści złożyły się na ów *Syberyjski szkicownik*, w którym Feliks Lachowicz notował swoje wrażenia, najpierw z okresu niewoli, a potem służby w wojsku polskim? Od razu rzuca się w oczy, że najmniej uwagi poświęcił najbliższemu otoczeniu i warunkom, w jakich przyszło mu żyć. Owszem, najwcześniejsze chronologicznie prace to widoki obozów jenieckich i pojmanych żołnierzy: zasypane śniegiem baraki i jeńcy w celach upozowaniem

przypominający zesłańców z obrazów Aleksandra Sochaczewskiego czy Jacka Malczewskiego. Jednak największa część rysunkowego dziennika Lachowicza poświęcona jest samej Syberii i zamieszkującym ją ludziom. Na rzuconych w głąb Sybiru przyroda często robiła wielkie wrażenie. Stanisław Bohdanowicz, młodziutki ochotnik służący w 5. Dywizji, którego opublikowane w 2006 roku zapiski z czasów służby stanowią doskonałe uzupełnienie rysunków Lachowicza, wspominał reakcję swojego towarzysza z kompanii karabinów maszynowych, kiedy ten po raz pierwszy zobaczył góry wznoszące się na obu brzegach stanowiącej dopływ Jeniseju Many:

Z zachwytem patrzył na otaczające nas góry i pokrzykiwał z uciechy: „Ech, żeby tak można było przyjechać tutaj i porobić zdjęcia do kinematografu, przecież czegoś tak ładnego jeszcze w życiu nie widziałem”<sup>8</sup>.

Tym bardziej na otaczającą go naturę reagował obdarzony artystyczną wrażliwością Lachowicz. Posługując się swoją ulubioną techniką akwareli, malował rozległe syberyjskie pejzaże, zagubione wioski i miasteczka, notował charakterystyczne szczegóły drewnianej architektury chłopskich chat i miejskiej zabudowy, przyglądał się ludziom podczas codziennej pracy i w chwilach odpoczynku. Szczególnie zdawała się go fascynować osławiona syberyjska zima, stąd wiele jego pejzaży przedstawia płaską, ośnieżoną równinę zamkniętą na horyzoncie pasmem gór albo samotną wioskę ledwo widoczną spod śnieżnej pokrywy. Częstym tematem jego prac są ludzie przemierzający rozległe pustkowia prostymi drewnianymi wozami lub sańmi. Motyw charakterystycznych syberyjskich zaprzęgów powraca wielokrotnie, często opracowany z drobiazgową starannością. Wiele uwagi poświęcił artysta także dwóm potężnym syberyjskim rzekom, Ob i Jenisej, i toczącemu się nad ich brzegami życiu. Stworzył również kilka scen rodzajowych, ukazujących robotników polnych przy pracy albo podczas odpoczynku, dzieci zajętych pilnowaniem trzody albo zabawą czy krzątających się po obejściu. Nie wszystkie jego pejzaże są wyłącznie realistycznymi odwzorowaniami widzianych krajobrazów. Takie prace jak *Noc syberyjska*, *Cmentarz*, *Cmentarz o zachodzie słońca* czy *Rozbitki* mogą być odczytywane także w kategoriach symbolicznych: Syberii pojmowanej jako kraina pustki, zagubienia i wszechobecnej śmierci.

Osobne miejsce w syberyjskim dzienniku zajmują przedstawienia o typowo alegorycznym i wizyjnym charakterze, zrodzone z tradycji romantycznej i obficie wykorzystujące arsenał symboliki martyrologicznej i wolnościowej – białe orły, sztandary, zrywane okowy, pochody zjaw narodowych, bohaterów i wieszczów. Większość z nich stanowi wyraz wiary artysty w odzyskanie niepodległości, stąd też takie sceny jak: Polonia w białej szacie powiewająca czerwonym sztandarem i prowadząca na bój żołnierzy, śpiący rycerze w Tatrach zrywający się na wezwanie, młody chorąży z czasów Królestwa Polskiego stający do walki pod skrzydłami orła białego, bezimienny bohater zrywający pęta niewoli, Wernyhora na czele pochodu narodowych bohaterów, stary i młody wygnaniec, którym ukazuje się Wawel w promieniach słońca – drogowskaz do wolnej ojczyzny. Ale nie brak też scen ukazujących grozę i tragizm wojny: śmierć na poboju z bierającą swoje żniwo, osamotniony żołnierz na poboju, któremu towarzyszą jedynie czaszki

<sup>8</sup> S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, Warszawa 2006, s. 151.

poległych i kruki, dobytek wieśniaków trawiony wojenną pożogą, osierocone kobiety i dzieci modlące się na cmentarzu ofiar wojny. Kilka scen stanowi ilustrację syberyjskiej martyrologii Polaków – *Pod krzyżem*, *Odpoczynek powstańców*, *Śmierć towarzysza*, *Wigilia zesłańców* czy *Skazańcy*. W sztuce polskiej temat ten miał długą tradycję – pojawiał się wielokrotnie w pracach takich twórców jak Artur Grottger, Aleksander Sochaczewski, Ksawery Pruszkowski czy Jacek Malczewski. Tworząc swoją wizję zesłania i katorgi Lachowicz wyraźnie nawiązywał do rozwiązań treściowych i formalnych swoich poprzedników. Z symboliką martyrologiczną i wolnościową spletała się religijna: ginącym w boju ukazywała się Madonna z Dzieciątkiem, Madonna modliła się na cmentarzu poległych w 1914 roku, na choince świętujących wigilię zesłańców zapalał świeczki mały Jezus.



Modlitwa 1917 (Kamyszłow); papier, akwarela.

W pracach o wymowie symbolicznej artysta sięgał także po motywy wywodzące się z tradycji antycznej. Niektóre z nich mogły być odczytywane jako alegoria wojny i niewoli (*Prometeusz*, *Kometa*, *Demon*), inne ukazywały nieskażony grozą świat sztuki i muzyki, w którym królują amorki, nimfy i fauny. Kolejne stanowiły alegorię przemijalności ludzkich losów (*U źródła*, *Chronos*). W tych kompozycjach, formalnie najsłabszych w całym szkicowniku i najbardziej zdradzających niedostatki warsztatowe ich twórcy, widać wyraźnie nawiązania do sztuki Młodej Polski, z jej charakterystycznym repertuarem motywów treściowych i ornamentalnych.

Grupa portretów jest niewielka i właściwie marginesowa. Znamienna jest natomiast spora ilość wizerunków własnych (łącznie dziewięć). Artysta rzadko szkicujący ludzi w ujęciach czysto portretowych własnej twarzy poświęcił



wyjątkowo dużo uwagi, odtwarzając ją po wielokroć i zawsze z wielką dbałością o szczegóły, zupełnie jakby pragnął dokładnie przestudiować i utrwalić zachodzące w niej pod wpływem ciężkich przeżyć zmiany.

Język *Syberyjskiego szkicownika* zmienił się zdecydowanie w styczniu 1919, kiedy artysta z jeńca stał się żołnierzem. Na pierwszy plan wysunęły się wówczas karykatury. Lachowicz nawet nie próbował pokazywać żołnierskiego życia w realistycznych obrazkach, ukazał je w formie skarykaturowanej, tworząc cykl ponad trzydziestu przedstawień składających się na wizerunek 5. Dywizji i jej sojuszników z armii Kołczaka, chwilami nie pozbawiony ciepłego humoru, częściej jednak gorzki, wręcz szyderczy. Jak pisał Ryszard Markow, autor tekstu towarzyszącego pierwszemu pokazowi *Szkicownika syberyjskiego* w Polsce po drugiej wojnie światowej: „Lachowicz całą bezwzględnością i goryczą ujawnia na nich [karykaturach] tragiczną beznadziejność polskiej drogi do wolności”<sup>9</sup>. Większość aluzji politycznych zawartych w tych pracach czytelna jest również dzisiaj: bolesna, upokarzająca zależność militarna i finansowa od państw koalicyjnych, a przede wszystkim Francuskiej Misji Wojskowej i głównodowodzącego Wojskami Sprzymierzonymi na Syberii generała Maurice’a Janina, konieczność współdziałania ze sztabem admirała Aleksandra Kołczaka, osobiste ambicje dowódców, pułkowników Waleriana Czumy i Kazimierza Rumszy. Najostrzej artysta celował w dowodzącego 5. Dywizją pułkownika Rumszę, którego ukazał aż sześć razy, to jako idącego po trupach po francuskie odznaczenia, to jako marionetkę w rękach Francuzów, to jako układającego się z Rosjanami w sprawie podziału dawnego imperium carów, to wreszcie jako wewnętrznego cenzora i żandarma. Głównodowodzący całością Wojsk Polskich we Wschodniej Rosji pułkownik Czuma został potraktowany nieco łagodniej, gdyż wystąpił tylko dwukrotnie, w tym raz w kolejce po francuskie odznaczenia. Taka dysproporcja mogła być wyrazem nie tylko osobistych sympatii i antypatii artysty, lecz także rozdzwieków i niesnasek wśród żołnierzy pochodzących z trzech różnych zaborów. Jak wspominał po latach były żołnierz 5. Dywizji Jan Rogowski: „Między Polakami z zaboru austriackiego i niemieckiego a Polakami z zaboru rosyjskiego – czy w ogóle ze służby rosyjskiej – panowała głucha niechęć”<sup>10</sup>. Potwierdzał to inny świadek tamtych wydarzeń, Roman Dyboski, filolog i historyk literatury, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, który służąc w 5. Dywizji zajmował się pracą oświatową: „Czubarycy«, czyli Polacy z Rosji i »awstrijcy« i »niemcy«, jak znowu byłych jeńców nazywali tamci, patrzyli na się wzajemnie z nieprzejednaną niechęcią”<sup>11</sup>. Pułkownik Czuma miał za sobą służbę w Legionach Polskich, natomiast Rumsza był dawnym oficerem armii rosyjskiej. Mówił z rosyjskim akcentem i jak utrzymywali żołnierze: „zruszczony był rzeczywiście bardzo i może trochę

---

<sup>9</sup> R. Markow [tekst], ... *pozostały tylko obrazy. Syberyjski szkicownik Feliksa Lachowicza 1914-1920* [składanka towarzysząca wystawie] listopad-grudzień 1989, Galeria na Mariackiej, Szczecin 1989.

<sup>10</sup> J. Rogowski, *Dzieje Wojska Polskiego na Syberii*, Poznań 1927, s. 284.

<sup>11</sup> R. Dyboski, *Siedem lat w Rosji i na Syberii (1915-1921). Przygody i wrażenia*, Warszawa-Kraków 1922, s. 110.

za ordynarny i za szorstki”<sup>12</sup>. Zarzucano mu również nadmierną srogość w stosunku do byłych oficerów austriackich<sup>13</sup>. Być może coś z tej niechęci „awstrijca” do „czubaryka” przeniknęło także do karykatur Lachowicza.

Galeria przedstawionych typów jest bardzo różnorodna. Ochotnicy, młodzi, buńczuczni, przedwcześnie dojrzały, nadrabiający miną brak doświadczenia i niepewność losu, inni zagubieni, nie radzący sobie z sytuacją, w której się znaleźli, często niechętni wojsku; przedstawiciele poszczególnych formacji: zawadiacki szturmak, dwójka wymuskanych ułanów, niestety na piechotę, gdyż w dywizji brakowało koni, piechur, powszechnie nie lubiani żandarmi, sportretowani ze szczególną zjadliwością. Kilka scenek ilustruje powszechne w armii bolączki: nadużycia intendentury, kłopoty z kuchnią, zewnętrzną i wewnętrzną cenzurę. Cała seria stanowi także znakomite studium ukazujące różnorodność umundurowania i uzbrojenia, często „wzbogacanego” o rozmaite nieprzepisowe elementy. Na tę różnorodność i samowolę zwracał także żołnierz oddziałów łączności 5. Dywizji, wspomniany wcześniej Stanisław Bohdanowicz:

Umundurowanie i uzbrojenie było rozmaite, żołnierze zresztą mało czym różnili się od kołczakowskich, chyba byli lepiej odżywieni, czystiejsi, no i mieli orzelki na wysokich papachach z kozłej skóry. Lecz nie bardzo było je widać, bo ginęły wśród kudłów. Za to amarantu było tak dużo, że zabrakło go w sklepach. Każdy naszywał według swego gustu naszywki, wypustki, patki i lampasy. Widziałem takich elegantów, co nawet guziki u płaszcza mieli obszyte amarantem<sup>14</sup>.

Oprócz towarzyszy broni, Lachowicz skarykатуrował również „sojuszników” z armii Kołczaka, im także nie szczędząc zjadliwego szyderstwa.

Ujawniony w pełni na Syberii talent plastyczny Lachowicza nie pozostał niedostrzeżony. Latem 1917 Dom Polski w Kamyszłowie zorganizował mu wystawę stworzonych w niewoli akwrel o tematyce syberyjskiej. Kolejny pokaz miał miejsce w 1919 w Nowomikołajewsku. Na ekspozycji zorganizowanej przez prezesa komisji kulturalno-oświatowej 5. Dywizji Romana Dyboskiego oprócz pejzaży i kompozycji martyrologiczno-patriotycznych zaprezentowane zostały także karykatury dowódców i żołnierzy tej formacji<sup>15</sup>. Kiedy latem 1919 redakcja „Żołnierza Polskiego” ogłosiła konkurs na projekt odznaki Wojsk Polskich we Wschodniej Rosji, spośród 23 zgłoszonych propozycji sąd konkursowy najwyżej ocenił projekt Lachowicza, przedstawiający „tarczę podłużną, której treścią symbol powrotu do kraju wojska polskiego, przeprowadzającego wygnańców i emigrację. Żołnierz polski w rogatywce prowadzi pod rękę wspierającego się wygnańca, wskazując mu prawą ręką wschodzące słońce, do którego obaj zdążają”<sup>16</sup>.

Nie wiadomo, czy przywiezione do kraju z wojennej tułaczki dwieście siedemdziesiąt rysunków stanowiło całość syberyjskiego *oeuvre*. Nie można

<sup>12</sup> S. Bohdanowicz, op. cit., s. 61.

<sup>13</sup> D. Radziwiłłowicz, *Polskie formacje zbrojne we Wschodniej Rosji oraz na Syberii i Dalekim Wschodzie w latach 1918-1920*, Olsztyn 2009, s. 285.

<sup>14</sup> S. Bohdanowicz, op. cit., s. 27.

<sup>15</sup> I. Ł., *Wystawa prac F. Lachowicza w Drohobyczu*, „Sybirak”, nr 1 (5), marzec 1935, s. 77.

<sup>16</sup> Orzeczenie sądu konkursowego, „Żołnierz Polski”, nr 22, 8 lipca 1919.

wykluczyć, że Lachowicz również sprzedawał swoje rysunki czy wykonywał kompozycje na zamówienie. Wśród jeńców-artystów taka forma zarobkowania nie była czymś niezwykłym. W swojej relacji na temat warunków życia jeńców wspomniany wyżej Przeclaw Smolik wspomina m.in.:

wystawy dzieł artystycznego przemysłu, które od czasu do czasu urządzano w obozie w Berezówce, ściągały zawsze dużo ciekawych z najbliższego miasta i przynosiły artystom w zysku oprócz gotówki, także poważnie nieraz i solidnie opłacane zamówienia<sup>17</sup>.

Portrety z pewnością mogły stanowić wspaniały prezent i cenną pamiątkę, więc niewykluczone, że znikomą ilość znajdujących się w *Syberyjskim szkicowniku* wyobrażeń indywidualnych osób należy tłumaczyć faktem, że rysowane przez siebie wizerunki Lachowicz porozdawał bądź przyszedawał towarzysom niewoli i broni.

Po powrocie do rodzinnego miasta artysta podjął pracę w przedsiębiorstwie naftowym *Galicja*, nie zaprzestając jednocześnie uprawiania sztuki. Projektował ekslibrisy, ozdobne inicjały i odznaki, próbował także sił w rzeźbie i w malarstwie monumentalnym. W swoich kompozycjach wielokrotnie powracał do tematyki martyrologicznej i religijnej, jednak najważniejszym motywem jego prac stał się sam Drohobycz. W okresie dwudziestolecia międzywojennego spod jego ręki wyszło kilka panoram miasta, około stu rysunków ukazujących zabytki drohobyckie, a także dwa wielkie cykle: *Historia miasta Drohobycza* i *Urycz w legendach*, pod względem formalnym nawiązujące do średniowiecznego iluminatorstwa.

Odtwarzając zabytki rodzinnego miasta, artysta wielokrotnie wracał do tych samych ujęć i motywów. Najczęściej „bohaterami” rysunków i akwarel były pojedyncze budowle, odwzorowywane wiernie i z ogromnym pietyzmem dla szczegółów, jednak bez nadmiernej drobiazgowości. Często ten sam motyw przedstawiony zostawał niemal w identycznym ujęciu, ale w różnych technikach rysunkowych, przez co za każdym razem osiągany był odmienny efekt artystyczny. Najczęściej ukazywanym obiektem był kościół farny p.w. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, Świętego Krzyża i św. Bartłomieja. Artysta stworzył około dwudziestu przedstawień fary, wśród których na szczególną uwagę zasługuje monumentalny widok wnętrza z 1930 r. wykonany w rzadkiej dla Lachowicza technice olejnej. Zarówno to płótno, jak i wszystkie ukazujące wnętrze świątyni akwarele są cenne nie tylko ze względu na swoją wartość artystyczną, lecz także na ich walor dokumentalny, gdyż poza przedwojennymi fotografiami stanowią jedyne źródło ikonograficzne pozwalające odtworzyć w większości niezachowane wyposażenie, które uległo zniszczeniu po 1949 r., kiedy to kościół został zamieniony na magazyn rekwizytów teatralnych. Poza farą równie chętnie artysta przedstawiał dwie drohobyckie cerkwie drewniane – św. Krzyża i św. Jura. W przypadku cerkwi św. Jura poza widokami ogólnymi, wykonał także szereg rysunków o charakterze inwentaryzatorskim, ukazujących fragmenty malowideł i szczegóły ciesiołki.

Szczytowym osiągnięciem artystycznym Lachowicza stały się dwa cykle: *Historia miasta Drohobycza* oraz *Urycz w legendach*, których pomysł i sposób

---

<sup>17</sup> P. Smolik, op. cit., s. 23.

realizacji dobrze wpisywały się w nurt stylu Art Déco, z jego koncepcją sztuki narodowej, inspiracjami folklorem, sięganiem do rodzimych motywów baśniowych i wreszcie płaskim, dekoracyjnym obrazowaniem i zgeometryzowaną ornamentyką. Recenzując *Historię* w „Dzienniku Polskim” w 1937 r., Janina Kilian-Stanisławska napisała:

Historia Drohobycza jest tak ścisłym reportażem historii tego miasta, że należy podziwiać szczodrość i wierność historyczną autora cyklu<sup>18</sup>.

Istotnie Lachowicz opierając się na obfitym materiale źródłowym i naukowych opracowaniach niezwykle sumiennie zobrazował dzieje swojego rodzinnego grodu, pokazując najważniejsze epizody z jego historii politycznej, a także podkreślając te elementy, które złożyły się na jego rozkwit gospodarczy. Tworząc *Urycz w legendach* sięgnął z kolei po krążące na Podkarpaciu w przekazach ustnych podanie o zamku Tustań we wsi Urycz w powiecie stryjskim, które spopularyzował Zygmunt Kaczkowski w powieści *Olbrachtowi rycerze*.

Prace nad *Historią miasta Drohobycza* artysta rozpoczął w marcu 1932 r., a w październiku 1934 r. pierwsze pięćdziesiąt kartonów cyklu zostało pokazanych publicznie na wystawie w drohobyckim ratuszu. Ekspozycja spotkała się z bardzo przychylnym przyjęciem; w grudniu w „Przeglądzie Podkarpacia” recenzował ją Bruno Schulz, który napisał m.in.:

Nie szukając poklasku świata, pracuje [w Drohobyczu] z benedyktyńską, pogodną i skupioną żarliwością dziwny artysta zakochany w legendach dawnych wieków, zaśluchany w szmer przeszłości, grzebiąc się w starych dokumentach, szperając w archiwum miejskim, śledząc zblakły inkaust kościelnych zapisków, Pan Lachowicz przeżywa w wizjach przeszłość miasta. [...] P. Lachowicz pilnie studiował stare polskie mszały, ewangeliarze i kodeksy i wżył się tak głęboko w styl tych dzieł sztuki iluminatorskiej, że przejął go na własność. P. Lachowicz ma nieomylny, mistrzowski smak dekoracyjny. Zharmonizowanie tekstu, ornamentu i obrazu dokonuje się u niego instynktownie bez najmniejszego wysiłku. Wydaje się, jakby artysta ten natknął w sobie na bogatą żyłę inwencji, której przelewanie się ledwo opanować może<sup>19</sup>.

Sam artysta był do cyklu drohobyckiego szczególnie przywiązany. Kiedy w 1941 znalazł się w więzieniu sowieckim, w liście z 14 marca zalecał żonie, by spróbowała sprzedać część rysunków, aby zdobyć środki na utrzymanie. Zastrzegł jednak, by nie wyzbywała się *Historii Drohobycza*, bo tę pragnął ofiarować po wojnie do muzeum.

Tworzyć nie przestawał do samego końca. Władysław Mazur z Przemyśla aresztowany 20 lutego 1940 za działalność w ZWZ, w liście z 13 czerwca 1941 r. skierowanym do przybranej córki Lachowicza, Wiesławy Podemskiej, tak opisywał swoje spotkanie z artystą w kijowskim więzieniu na Łukjanówce:

W styczniu – o ile mnie pamięć nie myli – 1941, przeniesiono mnie do innej celi na drugim piętrze. Tam w krótkim czasie poznałem wielu ludzi, gdyż w czasie dyskusji każdy, opowiadał, skąd pochodzi i jak się nazywa. Wśród tych ludzi jeden zwrócił szczególną naszą uwagę, tym że zawsze coś malował. Były to malowane na pustych pudełkach od ruskich papierosów portreciki współwięźniów lub jakieś miniaturowe pejzaże. Z braku farb tarł kawałeczki cegły – znajdujące na podwórzu spacerowym – o betonową podłogę w celi,

<sup>18</sup> J. Kilian-Stanisławska, [recenzja wystawy], „Dziennik Polski”, 23 marca 1937.

<sup>19</sup> B. Schulz, [recenzja wystawy], „Przegląd Podkarpacia”, 2 grudnia 1934.



rozrabiał śliną lub kroplami wody i zamiast pędzla używał zastruganą zapałkę. Czasami pastą do zębów palcem smarował ją na okiennej szybie i potem taką zapałką malował fragmenty Drohobycza. Naturalnie, że wieczorową porą malowidło ze szyby musiało być zlikwidowane w obawie przed cowieczorną wizytą dyżurnych enkawudzystów”.

Z drugiego tomu *Syberyjskiego szkicownika* nie zachowała się ani jedna karta<sup>20</sup>.

<sup>20</sup> Bibliografia dotycząca Feliksa Lachowicza: Źródła i dokumenty: Papiery osobiste i notatniki Feliksa Lachowicza z Drohobycza, ZNiO, Dział Rękopisów, sygn. 76/98; *Księgi metrykalne parafii rzymskokatolickiej w Drohobyczu*, Archiwum Archidiecezjalne w Przemyślu; 12-16 maja 1941, Kijów. *Protokół posiedzenia Trybunału Wojskowego KOWO w sprawie Szczepana Michalskiego i jego 18 towarzyszy* [w:] *Polskie Podziemie 1939-1941*, Warszawa-Kijów 2004, cz. 1, s. 597-791. Opracowania i katalogi wystaw: B. Długajczyk, R. Kołodzki-Stobbe, J. M. Pilecki [teksty], *Drohobycz Feliksa Lachowicza*, Olszanica 2008.; *Drohobycz Feliksa Lachowicza, wystawa kwiecień/maj 1992 r., Dom „Wspólnoty Polskiej” w Krakowie*, Kraków 1992; E. Dworzak [tekst], *Feliks Lachowicz*, Opole 1992 [składanka towarzysząca wystawie *Drohobycz w akwareli Feliksa Lachowicza*, Muzeum Śląska Opolskiego]; *Dzieje Drohobycza w obrazach*, „Młodzież. Czasopismo gimnazjum państwowego w Drohobyczu” nr 4(11), październik-grudzień 1934; *Feliks Lachowicz*, Lublin 2002 [składanka towarzysząca wystawie *Feliks Lachowicz*, listopad-grudzień 2002, Galeria Sztuki Sceny Plastycznej KUL]; J. Ficowski, *Okolice sklepów cynamonowych. Szkice, przyczynki, impresje*, Kraków 1984, ss. 40-41; L. Grajewski, *Artyści polscy w Rosji w XIX wieku i z pocz. XX w.*, Biblioteka Instytutu Sztuki PAN, rkps 852, s. 12; I. Ł., *Wystawa prac F. Lachowicza w Drohobyczu*, „Sybirak. Organ Zarządu Głównego Związku Sybiraków”, nr 1(5) marzec 1935.; *Katalog wystaw: Adam Bunsch – Bielsko, Feliks Lachowicz – Drohobycz...*, Lwów 1937; *Katalog wystawy obrazów Feliksa Lachowicza: Urycz w legendach, Historia miasta Drohobycza, Zabytki miasta w rysunkach i akwarelach*, Drohobycz 1937; J. Kilian-Stanisławska, [recenzja wystawy], „Dziennik Polski” z 23.03.1937; *Malarskie pasje, czyli Drohobycz Feliksa Lachowicza. Wystawa z okazji 70 rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości*, listopad 1988, *Galeria na Mariackiej, Klub Kierunki, O/Stowarzyszenia PAX*, Szczecin 1988; R. Markow [tekst], ...pozostały tylko obrazy. *Syberyjski szkicownik Feliksa Lachowicza 1914-1920*, [wystawa] listopad-grudzień 1989, *Galeria na Mariackiej*, Szczecin 1989; J. M. Pilecki, *Dwa procesy drohobyckiego ZWZ*, „Ziemia Drohobycka” nr 17-18, 2004, ss. 2-28; J. M. Pilecki, *Prace Lachowicza już w Z.N. im. Ossolińskich*, „Ziemia Drohobycka” nr 12, 1999, ss. 68-70; J. M. Pilecki, B. Długajczyk, P. Galik, *Szkice syberyjskie Feliksa Lachowicza*, Olszanica 2014; *Przewodnik po wystawie Sybir w martyrologii porobiorowej Polski*, Lwów 1936; B. Raus [tekst], *Feliks Lachowicza „Szkice syberyjskie” 1914-1920 ze zbiorów Wystawy Lachowicz Podemskiej, córki artysty*, [wystawa] sierpień-wrzesień 1993, *Muzeum Ziemi Rawickiej*, Rawicz 1993; A. Sarkady [tekst], *Drohobycz, historia i zabytki w malarstwie Feliksa Lachowicza*, [wystawa] marzec – kwiecień 1991, *Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej*, Przemyśl 1991; A. Sarkady [tekst], *Feliks Lachowicz. Syberyjski szkicownik 1914-1920*, [wystawa] luty-kwiecień 1992, *Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej*, Przemyśl 1992; B. Schulz [recenzja wystawy], „Przegląd Podkarpacia” z 2.12.1934; W. Szczepaniec [tekst], *Feliks Lachowicz, malarstwo*, listopad 1989, [wystawa] *Galeria „Na Pięknej” – Warszawa, ul. Piękna 16 b*, Warszawa 1989; A. Wierzbicka, *Lachowicz Feliks* [w:] *Słownik artystów polskich i obcych w Polsce działających. Malarze, rzeźbiarze, graficy*, t. IV, Wrocław 1986, *Uzupełnienia i sprostowania do tomu IV*, ss. 8-9; K. Zielińska [tekst], *Feliks Lachowicz, Szkice Syberyjskie i inne malarstwo 1915-1920. Wystawa zorganizowana w 50 rocznicę śmierci artysty*, październik 1991, *Arsenał Wrocławski*, Wrocław 1991.

---

---

REGINA MADEJ-JANISZEK

**PAMIĘĆ O POLAKACH ZMARŁYCH,  
ZAMĘCZONYCH I POGRZEBANYCH  
W SYBERYJSKIEJ  
ORAZ KAZACHSTAŃSKIEJ ZIEMI**

Cmentarze i groby polskie we wspomnieniach więźniów, łagierników i deportowanych oraz działania podejmowane dla ich upamiętnienia to ważny element narodowej pamięci. We wspomnieniach polskich łagierników i zesłańców NKWD osadzanych i osiedlanych na Syberii i w Kazachstanie już od lat trzydziestych XX w. znajdujemy opisy tundry pokrytej przez większą część roku śniegiem i zmarzliną, tajgi ośnieżonej lub ukwieconej w krótkotrwałe letnie dni lub bezkresnego stepu, który wiosną i latem zachwycał różnorodnością traw, kwiatów, a zimą przerażał *buranem* powodującym śnieżne zamiecie. W zależności od położenia geograficznego tundra, tajga lub step były ich domem i miejscem pracy, czasem naturalną spiżarnią, gdzie znajdowali orzeszki cedrowe, pędy sosnowe, grzyby, słodką lukrecję i inne rośliny jadalne, a na koniec dla wielu stawał się miejscem wiecznego spoczynku. Śmierć była bowiem ich nieodłącznym towarzyszem zarówno w drodze, jak też w miejscu osiedlenia, czy osadzenia w obozie pracy. Trudne warunki atmosferyczne – mrozy przekraczające 40°C zimą i równie wysokie upały latem oraz nie przystosowane do nich prowizoryczne domostwa i ubiór, brak możliwości zachowania choćby podstawowych zasad higieny, brak wody, niewystarczające racje żywnościowe, wyczerpanie fizyczne zbyt ciężką pracą i wypadki przy pracy, epidemie i prymitywna opieka zdrowotna powodowały, że śmierć była powszechnym zjawiskiem. Trudno ustalić, jak wielu Polaków przymusowo deportowanych i osiedlanych oraz zesłanych do obozów pracy przez NKWD w latach 1936-1953 jest pochowanych na terenie Syberii i Kazachstanu. Z pewnością jest to znaczny procent ogółu ludności polskiej mieszkającej przed aresztowaniem i wywózką w Rzeczypospolitej Polskiej i na jej dawnych kresach wschodnich, tym bardziej więc nie można dopuścić do zapomnienia tych, którzy pozostali „na nieludzkiej ziemi” na zawsze. Pierwsza masowa deportacja w 1936 r. z Ukrainy do Kazachstanu objęła ponad 60 tys. Polaków<sup>1</sup>, nie prowadzono jednak statystyk dotyczących śmiertelności podczas transportu i w miejscu osiedlenia. W operacji polskiej przeprowadzonej przez NKWD w latach 1937-1938 aresztowano według radzieckich dokumentów 139 835 osób, z tego

---

<sup>1</sup> S. Ciesielski, *Deportacja Polaków z Ukrainy do Kazachstanu w 1936 r.*, <http://www.sciesielski.republika.pl/kresy/depkaz36.html> [dostęp 11.05.2016].

28744 Polaków – obywateli ZSRR skazano na pobyt w obozach pracy wchodzących w skład struktury podległej Gułag<sup>2</sup>, a na 111 091 wydano wyrok śmierci, który został natychmiast wykonany<sup>3</sup>. Cmentarze i miejsca ich pochówków w większości nie zachowały się. Ofiary represji grzebane były zwykle potajemnie w nieznanymi miejscach gdzieś w tundrze, tajdze lub stepie. Jednym z wielu drastycznych przykładów takich miejsc pochówku jest Piwowaricha koło Irkucka<sup>4</sup>, gdzie w latach 1937-1938 komuniści z NKWD dokonali masowych mordów na ludności głównie rosyjskiej, ale też innych narodowości, m.in. zginęło tu od 500 do 1000 Polaków, w tym, np. 29 osób pochodzących z polskiej wioski Wierszyna położonej w Buriacji. Dzięki poszukiwaniom historyków ze Stowarzyszenia „Memoriał” odnaleziono w 1989 r. jedno z miejsc masowych pochówków zamordowanych tam ludzi. Ciała ich chowano w rowach o długości 7 do 33 m, szerokości 5-7 m i głębokości 5 m., które z wierzchu przykrywano 50-cio centymetrową warstwą ziemi. Zidentyfikowano 3 takie rowy, w których pogrzebano przypuszczalnie ponad 4 tys. osób. Według obliczeń historyków ze Stowarzyszenia „Memoriał” w latach 1937-1938 w Irkucku i w okolicach aresztowano ponad 24 tys. osób, ponad 20 tys. skazano na śmierć, z tego ponad 11 tys. rozstrzelano prawdopodobnie we wsi Piwowaricha i tam pogrzebano. Jeszcze w 1989 r. teren uporządkowano i upamiętniono ustawiając w miejscach rowów z ofiarami prawosławny krzyż i kilka pomników z głazów granitowych oraz ścianę z tablicami zawierającymi dane pomordowanych i ich portrety. Miejsce to nazwano „Memoriałem”, a jego uroczyste otwarcie odbyło się dnia 11 listopada 1989 r. Od tego dnia rodziny ofiar spontanicznie instalują na jego terenie tablice z napisami nagrobkowymi i zdjęciami osób rozstrzelanych i zamęczonych w stalinowskich więzieniach w latach 1937-1938.<sup>5</sup> Chociaż na tabliczkach można znaleźć polsko brzmiące nazwiska to przez wiele lat na terenie „Memoriału” brak było pomnika poświęconego rozstrzelanym i pochowanym tam Polakom. Dopiero 19 września 2015 r. odsłonię-

<sup>2</sup> *Głównoje uprawlenije isprawitielno-trudowych łagieriej i kolonij*, (Główny Zarząd Poprawczych Obozów Pracy).

<sup>3</sup> *Wielki terror: operacja polska 1937-1938*, t. 1-2, Warszawa 2010.

<sup>4</sup> Piwowaricha, dawniej Ankudinowka – wioska położona około 20 kilometrów od irkuckiej dzielnicy Sołnecznyj, w której obecnie znajduje się port statków wypływających na Bajkał. W 1876 roku Polak Józef Ohryzko po zwolnieniu go z zesłania w Wilujsku koło Jakucka, gdzie przebywał za udział w powstaniu 1863 r., zbudował sobie za wsią Piwowaricha dom. Na zesłaniu nabawił się silnej choroby oczu, dlatego spacerował tylko po zachodzie słońca, a okoliczni mieszkańcy nazywali go *Księżycowym Królem*. W 1900 roku dom *Księżycowego Króla* został kupiony i rozbudowany przez innego polskiego zesłańca A. Łukociewskiego. W latach 30-tych XX wieku dom oraz okoliczny teren zajęło NKWD, zorganizowano tu ośrodek wypoczynkowy dla pracowników oraz pionierów. Obok założono kołchoz o nazwie 1-szy Maj, gdzie pracowali przymusowo przywożeni tu od 1933 roku „rozkułaczeni” chłopcy. W 1945 roku powstał tu obóz jeniecki, gdzie przebywali oficerowie i żołnierze japońscy, włoscy, niemieccy, a także własowcy i upowcy. W latach późniejszych w miejscu domu *Księżycowego króla* i w jego okolicach zbudowano osiedle mieszkaniowe. Obecnie w pobliżu znajduje się irkucki dworzec lotniczy. Zob.: Светлана Михеева, *Бывший поселок НКВД превращается в "долину нищих"* [w:] <http://baikalarea.ru/pribaikal/villages/pivovariha/poseloknkvd.htm> [dostęp 11.05.2016].

<sup>5</sup> Informacje uzyskane od Natalii Falińkiej z Irkucka, członkini Polskiej Autonomii Kulturalnej „Ogniwo”.

to tu pomnik upamiętniający polskie ofiary politycznych represji z lat 1937-1938 r. Uroczystość ta była jednym z punktów programu obchodów 25-lecia Polskiej Autonomii Kulturalnej „Ogniwo” w Irkucku. Prace związane z wykonaniem pomnika zostały sfinansowane ze środków polonijnych MSZ.<sup>6</sup>

W ramach kolejnej fali aresztowań, które nastąpiły po zakończeniu II wojny światowej, wielu żołnierzy Armii Krajowej i członków innych organizacji antykomunistycznych trafiło do rozsianych po terytorium ZSRR obozów przymusowej pracy systemu Gułag, m.in. do Workutłagru w położonej na północy za kołem polarnym Workucie (Komi ASSR). W urządzonych tam co najmniej 68 podobozach, w tym ponad 10 podobozach katorżniczych i kilku o zaostrzonym rygorze przebywało w różnych okresach od 1947 do 1956 roku od 17775-25000 Polek i Polaków. Pracowali przy budowie kolei północnej ZSRR, oraz w wielu kopalniach węgla lub innych bogactw mineralnych.<sup>7</sup> Według historyków rosyjskiego Stowarzyszenia „Memoriał” umieralność więźniów „Workutłagru” wynosiła 30% w skali roku.<sup>8</sup> Powodowały ją częste wypadki przy pracy, rozstrzelania więźniów przez straż obozową oraz samobójstwa, tych którzy nie wytrzymali psychicznie. Jeden z więźniów Workutłagru – Paweł Świetlikowski wspomina:

Samobójstwa popełniano również w kopalniach. Śmierć lekką i bezbolesną znajdowali w starych, nieczynnych już, nieprzewietrzonych i o dużym stężeniu gazów trujących wyrobiskach. Ciała denatów poszukiwano zawsze tak długo, aż je odnaleziono, NKWD bowiem nie uznawało ludzi za zaginionych. Myśl o samobójstwie nie była obca żadnemu łagierownikowi. Już podczas pierwszego śledztwa w Wilnie, a szczególnie drugiego w Workucie, nosiłem się z takim zamiarem kilkakrotnie.<sup>9</sup>

Przez cały okres swojego pobytu i pracy w Workucie Paweł Świetlikowski stara się badać śmiertelność wśród więźniów: „W latach 1945-1948 wynoszono z łagru w tundrę od 100 do 200 zmarłych miesięcznie – ludzie w wieku 20-30 lat”<sup>10</sup>.

Najwięcej ofiar notowano zimą, zwłaszcza podczas *purgi* burzy śnieżnej). W swoich wspomnieniach opisuje jeden z drastycznych przypadków zaginięcia brygady więźniów:

Oto kolumna więźniów, około 600 ludzi, prowadzona przez konwojentów podczas *purgi*, brnęła w zamieci na nocną zmianę do kopalni. Nie dotarła. Dopiero po dwóch dobach, gdy *purga* ustała, znaleziono wszystkich zamarzniętych na śmierć w odległości około 100 metrów w bok od bramy wejściowej do kopalni.<sup>11</sup>

W innych obozach pracy problem śmiertelności więźniów przedstawiał się podobnie. „Ludzie umierali przeważnie z wycieńczenia fizycznego i niedo-

<sup>6</sup> [http://www.irkuck.msz.gov.pl/pl/aktualnosci/odslonieto\\_pomnik\\_polskim\\_ofiarom\\_politycznych\\_represji](http://www.irkuck.msz.gov.pl/pl/aktualnosci/odslonieto_pomnik_polskim_ofiarom_politycznych_represji) [dostęp 11.05.2016].

<sup>7</sup> *Więźniowie łagrów w rejonie Workuty, część II. Indeks represjonowanych*, Warszawa 1999.

<sup>8</sup> <http://www.memo.ru/history/NKVD/GULAG/index.htm> [dostęp 11.05.2016].

<sup>9</sup> P. Świetlikowski, *Gułag Workuta. Raport oficera Armii Krajowej*, Poznań 1999, s. 107.

<sup>10</sup> *Ibidem*, s. 101.

<sup>11</sup> *Ibidem*, s. 114.



żywienia i z okaleczeń w pracy – wspomina z Kołomy Mirosław Wigierski.<sup>12</sup> Niezależnie od przyczyn, jak pisze Ojciec Albin Janocha OFM osadzony również na Kołymie w Unżłagu:

Śmierć w obozie była wstrząsem. Pierwszą ofiarą był Żyd z Austrii, który na skutek rozłąki z rodziną, ciężkiej pracy i wycieńczenia doprowadzony do rozpaczy powiesił się w ustępie. Potem w szpitaliku obozowym zmarł na puchlinę wodną Polak nazwiskiem Koza, spod Sanoka. Udało mi się przedostać na teren szpitala i wypowiadać go. Brałem udział w jego pogrzebie, jako jeden z grabarzy. Było to niemałym osiągnięciem, bo kierownik obozowej służby zdrowia był zaciekle bezbożnikiem. Gdy przypadkowo zobaczył krzyż przygotowany dla śp. Kozy, to go z furią połamał. Zrobiono jednak drugi i wypisano na nim nazwisko i datę śmierci. Gdyśmy wykopali grób na małym, wśród lasu położonym cmentarzyku obozowym, zapytaliśmy się strażnika, który nas pilnował, czy możemy się pomodlić, a ten pozwolił nam bez trudności.<sup>13</sup>

Generalnie więźniów obozów pracy grzebano, podobnie jak w okresie przedwojennym po prostu w tundrze lub tajdze, a ślad po nich szybko zanikał. P. Świetlikowski wspomina:

Zmarłych w łazrze wywożono nocą w daleką tundrę. Kondukt pogrzebowy stanowili: ułożone na saniach nagie ciała zmarłych tego dnia więźniów, kilku więźniów w roli siły pociągowej oraz odpowiednio uzbrojeni i liczni konwojenci NKWD z psami. Mech i trochę nagarniętego śniegu załatwiały sprawę. Ciała chowano nago, z przywiązaną do nogi deseczką i wypisanym na niej katorżniczym numerem. Innych wynoszono na pastwę polarnych sępów i lisów. Nikt w łazrze nie interesował się miejscem, gdzie grzebano zmarłych. Każdy wierzył w przetrwanie i powrót do domu i bliskich. Grzebano w nocy, aby nie straszyc innych i nie wytwarzać depresyjnej psychozy, co mogło wpłynąć na obniżenie produkcji. Dopiero po śmierci Stalina władza sowiecka łaskawie zezwoliła, aby więźniów chowano w białinie. Bardzo to nagłaśniano jako akt wielce humanitarny, za który więźniowie powinni odwdzińczyć się dwojonym wysiłkiem w pracy<sup>14</sup>.

W Workucie były przynajmniej dwa cmentarze, jeden położony około 2 km od kopalni Jur-Szor nr 29, drugi przy kopalni nr 40, wokół miasta było też wiele mogił i małych cmentarzyków rozrzuconych w tundrze. Na cmentarzach przy kopalniach grzebano więźniów zatrudnionych w kopalniach trustu „Wor-kutaugol”. Przy kopalni Jur-Szor nr 29 pochowano 6 sierpnia 1953 r. 53 więźniów, którzy zginęli 1 sierpnia 1953 r. w trakcie tłumienia strajku trwającego w wielu oddziałach Rieczłagu. W okresie późniejszym chowano tu również wolnonajemnych, a po likwidacji obozu mieszkańców osiedla Jur-Szor. Zmarłych grzebano głównie w grobach indywidualnych (przynajmniej do 1948 r.), które oznaczano słupkiem z drewnianą tabliczką i numerem. Wyjątkiem był zbiorowy pochówek w jednej mogile 12 uczestników strajku zabitych 1 sierpnia 1953 r. W *bratskiej mogile* pochowano 11 Ukraińców i 1 Łotysza, spowodowało to nowe niepokoje w obozie, dlatego dla uspokojenia atmosfery pozostałe

<sup>12</sup> J. Wigierski, *Ze Lwowa na Kołymę*, Wrocław 1998, s. 151.

<sup>13</sup> O. A. Janocha, *Pod opieką Matki Bożej*. Wrocław 1993, s. 46.

<sup>14</sup> P. Świetlikowski, op. cit., s. 107-108.

ofiary grzebano już w grobach indywidualnych, a w kondukcje żałobnym szli wszyscy więźniowie. Do czasów obecnych zachował się tylko jeden cmentarz – przy kopalni Jur-Szor, ale w latach 1976-1978 został okrojony przez obwodnicę „Workuta” będącą fragmentem „Obwodnicy Północnej”, ocalała część cmentarza przylega więc bezpośrednio do drogi. Część cmentarza znajdującego się niegdyś po drugiej stronie drogi prowadzącej do osiedla i kopalni, gdzie chowano zmarłych w pierwszych latach po założeniu obozu, nie zachowała się. Jeszcze w okresie funkcjonowania obozu podejmowano żywiołowe działania, mające na celu upamiętnienie miejsc wiecznego spoczynku więźniów i wolnonajemnych pracowników workuckich kopalń. Według historyków Stowarzyszenia „Memoriał” pierwsze drewniane krzyże z numerami pochowanych więźniów ustawili na cmentarzu w połowie lat 50-tych współwięźniowie, koledzy zabitych uczestników strajku. Okazało się to bardzo pomocne w późniejszej identyfikacji grobów, której podjęli się działacze workuckiego Stowarzyszenia „Memoriał”. Na początku lat 60-tych XX w. były więzień polityczny obozu Jur-Szor – Kostawioczius ustawił w ziemi i zabetonował słup drewniany z wyciętą cyfrą „1953”. Jest to pierwszy wspólny znak ku czci pamięci zamordowanych w sierpniu 1953 r. W okresie *pieriestrojki* podjęto systematyczne działania społeczne mające na celu upamiętnienie cmentarza. W końcu lat 80-tych mieszkaniec Workuty, Stanisław Grinczewiczus zajął się wraz z synem porządkowaniem cmentarza, wykopali rowy odwadniające i ustawili na grobach krzyże. Kilka lat później działacze Stowarzyszenia „Memoriał” zlokalizowali i zidentyfikowali 41 grobów zabitych 1 sierpnia 1953 r. Umieścili na nich drewniane krzyże z nazwiskami pochowanych, m.in. dwóch Polaków: Witolda Ignatowicza (grób nr 50) i Włodzimierza Sakowicza (grób nr 80). Niestety, 30 mogił pozostało jednak bezimiennymi, na 20 z nich znajdują się, ustawione w różnych okresach, krzyże; pozostałe to nieoznaczone kopczyki. Przed obchodami 50-tej rocznicy strajku 1953 r. władze miejskie Workuty i trust „Workutaugol” (następca Workutłagu-Rieczłagu), wspólnie z workuckim Stowarzyszeniem „Memoriał” podjęli działania mające na celu uczczenie pochowanych na cmentarzu Jur-Szor 53 rozstrzelanych więźniów. Ponownie ustawiono lub poprawiono znaki pamięci na grobach, położono też betonowe chodniki. Nie zapewniono jednak stałego finansowania tych prac ani w budżecie miejskim, ani w budżecie trustu „Workutaugol”. Cmentarz Jur-Szor w Workucie nie posiada statusu cmentarza memorialnego, za taki jednak uważany jest przez mieszkańców Workuty i międzynarodową społeczność byłych więźniów workuckich obozów. Cmentarz jest utrzymywany i porządkowany siłami workuckiego Stowarzyszenia „Memoriał”. Od 2000 roku w porządkowaniu i inwentaryzowaniu grobów na tym cmentarzu biorą udział uczniowie miejscowych szkół. Do 2003 r. pod kierownictwem nauczyciela i dyrektora muzeum „Miasto na Północy Rosji” przeprowadzili badania terenowe i sporządzili szczegółowy opis grobów na cmentarzu.<sup>15</sup> Drugi z cmentarzy workuckich zlokalizowany kiedyś przy kopalni nr 40 (Workutinskaja) został upamiętniony ustawionym przed wejściem

---

<sup>15</sup> Wiadomości uzyskane od przedstawicieli Stowarzyszenia „Memoriał” w Workucie, m.in. od Eugenii Hajdarowej, która zajmowała się grupą osób z Polski przybyłych do Workuty w lipcu 2003 r.

do pracującej jeszcze kopalni krzyżem z betonu o wysokości 8,5 m. Usytuowany jest on na niewielkim wzniesieniu, na ziemi, gdzie do dziś spoczywają więźniowie, m.in. Polacy, otoczony wodą z tundrową roślinnością. Zgodnie z intencją autora projektu pomnika Bogusława Smyrskiego „jego rozwarte, lekko skierowane do przodu ramiona, jakby obejmują spoczywających w tej nieludzkiej ziemi.”<sup>16</sup> Na krzyżu godło Polski – srebrny orzeł i miedziana tablica z napisem w języku polskim i rosyjskim : „Polakom ofiarom workuckich obozów – ci którzy przeżyli”. Jest to dar więźnia Workuty Franciszka Króla. Do krzyża prowadzi betonowa 18-metrowa droga zakończona trzema stopniami, po jej bokach kamienne głązy pokryte porostami. Uroczyste odsłonięcie pomnika miało miejsce 30 sierpnia 1997 r.

Jak widać upamiętnienie śladów po ofiarach komunistycznych obozów pracy na terenie byłego Związku Radzieckiego wymaga zarówno dużo czasu, jak też siły i zaangażowania wielu osób i organizacji. Wydawać by się mogło, że zachowanie materialnych śladów cywilnych ofiar terroru państwowego na terenie miejsc ich osiedlenia powinno być znacznie prostsze. Niestety tak nie jest, tu również piętrzą się różnorakie trudności, zaczynając od kłopotów z ustalenie liczby deportowanych i poziomu śmiertelności wśród nich, kończąc na postępującym zatarciu śladów po miejscach pochówków. Cztery wywózki w latach 1940-1941 według nieprecyzyjnych szacunków dotknęły od ponad 300 tys. (według danych NKWD)<sup>17</sup> do 800-900 tys. (według szacunków polskich)<sup>18</sup> ludności cywilnej z terenów Rzeczypospolitej Polskiej sprzed 1939 roku. Podobnie rozbieżności występują w ustaleniu poziomu śmiertelności wśród wywiezionych. W świetle dokumentacji radzieckiej wynosiła ona 7,7 % w 1940 roku i najwyżej 2,5 % w 1941. Według szacunków polskich, tylko w trakcie transportu w głąb ZSRR zmarło ok. 10 % deportowanych, a na osiedleniu śmiertelność wynosiła rocznie 10-15% wśród dorosłych i 20 % wśród dzieci.<sup>19</sup> Śmierć w trudnych warunkach bytowych, w jakich żyli zesłańcy była powszechnym zjawiskiem, jednakże śmierć dziecka wzbudzała szczególnie mocne uczucia smutku, często rozpacz i solidarności rodzinnej i sąsiedzkiej. Grażyna Jonkajtys-Luba wspomina:

<sup>16</sup> B. Smyrski, *Cierniowa korona*, „Kresowe stanice”, nr 1/2, 1998, s. 34-38.

<sup>17</sup> A. Gurjanow, *Cztery deportacje 1940-1941*, [w:] „Karta” 1994: 12, s.124; *Biłtas, Represywno-karalna systema w Ukraini 1917-1953*, Kyjiw 1994, t. 2, s. 201-213; S.Ciesielski, Liczebność zesłańców polskich w Kazachstanie 1940-1946, [w:] „Dzieje najnowsze” nr 4/1993, s. 75-89 S. Ciesielski, *Deportacje obywateli polskich w głąb Związku Radzieckiego w latach 1940-1941*. <https://www.sybir.com.pl/pl/historia/1620,Deportacje-obywateli-polskich-wglab-Zwiazku-Radzieckiego-w-latach=1940-1941> [dostęp 11.05.2016].

<sup>18</sup> S. Alexandrowicz, *W sześćdziesiątą rocznicę masowych zsyłek obywateli polskich na północ Rosji, Syberię i do Kazachstanu.(Uwagi o metodzie syntezy i potrzebie badań szczegółowych)*, [w:] *Przyszłość kultury Polaków na Kresach. Materiały z Konferencji Naukowej w Drohiczynie 1-3 maj 2000 poprzedzającej Kongres Kultury Polskiej*, t. 1, „Prace Białostockiego Towarzystwa Naukowego”, nr 49/2000, s. 9-23.

<sup>19</sup> A. Budzyński, *Represje sowieckie wobec Polaków na Kresach Wschodnich*, [w:] *Zesłańcym szlakiem. Fragmenty pamiętników emigrantów nadestanych na konkurs IGŚ*, Warszawa 1994, s. V-XXXV; J. Prochwicz, *Deportacje ludności polskiej 1940-1941*. „Bibula. Pismo niezależne” Aktualizacja: 2010-02-10 9:56 am; <http://www.bibula.com/?p=18179> [dostęp : 13.05.2016].

Pewnego popołudnia przysła do nas – a właściwie przywlokła się – pani Stasia z Rysiem na rękę. Oddała Rysia któregoś z nas i ze szlochaniem rzuciła się w objęcia Mamy. Wracła z Jewlenki, gdzie pochowała swoją małą córeczkę. Opowiedziała nam, że kiedy choroba się nasiliła, wzięła dzieci na ręce i poszła z nimi 65 kilometrów na piechotę przez step do lekarza. Dowlokła się tam, ale ratunku dla córeczki i tu nie znalazła. Pani Stasia pracowała w kuchni szpitalnej, zmywając naczynia i podłogi, aby być bliżej dziecka. W pierwszą rocznicę swoich urodzin i w dzień swoich imienin, 26 lipca, Ania otworzyła oczki i powiedziała: «Mama!» – i opuściła świat, który ją zdążył tak wymęczyć. Matka zdobyła gdzieś drewnianą skrzynkę, włożyła do niej swoją małą męczenniczkę i pochowała ją sama na miejscowym cmentarzu.<sup>20</sup>

Małe dzieci urodzone tuż przed wywózką, w drodze albo już na osiedle- niu w Kazachstanie z większym trudem niż starsi znosił brak higieny i odpo- wiedniego pożywienia, częściej też zapadały na różne, w tamtych warunkach nieuleczalne choroby. Nie były ochrzczone, dlatego też rodziny spodziewają- się najgorszego, czyli śmierci chrzcili je „z wody”.

Po paru dniach wróciła z maleństwem do życzliwej Rosjanki, prosząc mnie, żebym ochrzcila jej córeczkę. Jeszcze w szkole powszechnej podczas lekcji religii ksiądz uczył nas jak, w wypadku nieobecnego kapłana, odprawić rytuał chrztu św., gdyby zaszła taka potrzeba. [...] Rosjanka zapaliła świeczkę, ja nala- lam wody do kubeczka i tak jak ksiądz pokazywał, powiedziałam: „w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego” [...] i ochrzcila małą Marysię. Gdyby ktoś doniósł władzom NKWD, że ta ceremonia odbyła się w domu obywatelki sowieckiej i to przy jej pomocy, to przyplaciłaby latami więzienia – i ona o tym wiedziała. Po paru dniach na stepie, gdzie pasły się krowy i pędzone wiatrem przetaczały się suche, kolczaste krzewy, pochowaliśmy małą Marysię, pierwszą niewinną ofiarę uśmiechniętego Stalina.<sup>21</sup>

Często zesłańcy, zwłaszcza ci z 1936 roku osiedlani byli na gołym stepie, gdzie sami musieli budować siedliska z samanu, słomy i ziemi, a w wypadku śmierci bliskiej osoby znaleźć miejsce na jej pochówek. Na zesłańcach z 1940 roku miejsca wcześniejszych i bardzo przygnębiające wrażenie:

Miejsce to trudno nazwać cmentarzem. Na poboczu kołchozu porośnięty wysokim piołunem i pokrzywami placyk, gdzie słabo widoczne kopce mogił znaczyły zmurszałe kije, świadczące o podobnej pamięci. Na tym cmentarzu złożyliśmy przyjaciela, okrywając mogiłę stepowym kwiatem, a z sobą zabierają- cąc smutek i wspomnienie po nim.<sup>22</sup>

Pierwsi osiedleńcy grzebali swoich zmarłych po prostu w stepie opodal domostw lub kołchozów, gdzie pracowali. Czasem miejsce dla pochowania zmarłego było wskazywane przez przedstawiciela *Sielsowietu*:

Zmarłą panią Topołową, poleca natychmiast pochować i wskazuje pobliskie miejsce. Dziwne, że tak bez przygotowań, księdza, trumny, cmentarza.

<sup>20</sup> G. Jonkajtys-Luba, „... was na to dzieś przywiezli, szto wy podochli”. *Kazach- stan 1940-1946*. Lublin 1999, s. 44.

<sup>21</sup> Z.K. Kawecka, *Do Anglii przez Syberię*, Wrocław 1994, s. 69-70.

<sup>22</sup> Z. Zimny, *Zachować od zapomnienia. Pamiętnik syna zesłańca, AN PTL, syg. 23/s, s. 22. Za: K. Kość, „Zesłani na zawsze...”. *Stosunek deportowanych w latach 1940-1941 Polaków do śmierci i zmarłych rodaków*, „Zesłaniec” nr 31/2007 s. 30.*

Mężczyźni z naszej grupy zabierają się do kopania grobu. Zmarłą, tak jak była ubrana, owinięto w prześcieradło i złożono w niegłębokim dole. Ziemia bowiem zamrznięta i bardzo twarda. Kopanie jest niezwykle trudne. Ktoś wygłosił kilka słów pożegnania. Chóralna modlitwa. Pierwsza ofiara zesłania zostaje przysypana ziemią. Wszyscy jesteśmy przygnębieni i wstrząśnięci<sup>23</sup>.

Na kijach znaczących mogiły były pewnie kiedyś tabliczki z imionami i nazwiskami zmarłych. Czasem brakło nawet kijów, bo zmiotł je *buran*:

Cmentarz. W pustym stepie widniało kilka zapadniętych mogił bez krzyży, bez żadnego symbolu wyróżniającego to miejsce<sup>24</sup>.

W niektórych wioskach kazachskich były cmentarze muzułmańskie – *mazarki*. Można było też je spotkać w stepie, głównie na wzniesieniach, gdyż zgodnie ze starym obyczajem, każda rodzina zakładała je na oddzielnych wzgórzach.<sup>25</sup> Irena Bujalska wspomina:

W Majkainie były dwa [cmentarze]. Jeden stary muzułmański między kazachskimi domostwami, a drugi komunalny założony na stepie w odległości około 4 km na płd-wschód<sup>26</sup>.

W miarę upływu czasu przybywało zmarłych, cmentarz się rozrastał, a nowi osiedleńcy nie musieli już szukać miejsca, aby pogrzebać swoich bliskich. *Posiołkowe* cmentarze jednak w dalszym ciągu nie przypominały polskich nekropoli. Były to zbiorowiska bezładnie usypanych kupek piachu, kamieni, zimą ubitego śniegu z umocowanymi na kijach, deskach lub metalowych prętach tabliczkach z drewna lub blachy, na których wyryto lub wypisano nazwiska, imiona, czasem fragment modlitwy lub innego tekstu zapewniającego o wiecznej pamięci. Na większości polskich mogił umieszczano jednak krzyż z desek albo ze stalowych rur. Nie upiększano ani grobów, ani też całego cmentarza, nie było na to czasu i środków materialnych. Niekiedy miejsca te były zabezpieczane kamieniami i prowizorycznymi ogrodzeniami, aby nie dopuścić do zniszczenia przez warunki atmosferyczne oraz dzikie i hodowane w pobliskich kołchozach zwierzęta. Groby, zgodnie z tamtejszym obyczajem nigdy nie były powtórnie używane, nawet wtedy, gdy zostały zniszczone. Ks. Józef Kuczyński – pracujący w latach 1956-1958 na misji w Taińczy w Kazachstanie pisze:

Cmentarz był wspólny dla wszystkich, oprócz mahometan, którzy mieli swój osobno. Jeśli zdarzyło się, że mahometanin był jakimś naczelnikiem, komunistą i pochowano go z czerwonymi flagami i orkiestrą oraz postawiono mu «szafkę», na której była czerwona gwiazda, to Kazachowie przychodzili w nocy, odkopywali grób i przenosili zwłoki na swój cmentarz. [...] Na cmentarzu zatem odprawialiśmy bardzo piękną uroczystość – «przewody». Wychodziliśmy na cmentarz i śpiewając przechodziliśmy od jednego do drugiego grobu, modląc się przy każdym, co trwało nieraz i cztery godziny. Na cmentarzu pochowani by-

<sup>23</sup> J. i W. Pankiewiczowie, *Czarne dni 1940-1946*, Przemyśl 2001, s. 21-22.

<sup>24</sup> W. Niezgoda-Górska, *Dosyć mam Sybiru, dosyć Kazachstanu*, Wrocław 1994, s. 33.

<sup>25</sup> *Kirgiz i stepy. Z listów Aleksandra Bema. Ułożył Władysław Wieczorkowski*. „Kronika Wiadomości Krajowych i Zagranicznych”, 1856, nr 48-50.

<sup>26</sup> I. Bujalska, *Tak było*, Warszawa 2009, s. 48.

li również Niemcy. Nabożeństwa odprawiane były po łacinie, za dusze wszystkich zmarłych<sup>27</sup>.

Pomimo siermiężnych warunków życia i odgórnego zakazu wszelkich praktyk religijnych, pochówki zmarłych starano się urządzać w miarę możliwości uroczyste, zgodnie z obyczajem chrześcijańskim.

W większości osiedli nie było księży, zmarłych grzebano więc w nie poświęconej ziemi. Polacy zasypali doczesne szczątki Mariana ziemią kazachstańską. Płakali wszyscy. Płakali, że został pochowany bez księdza, w szczerym polu, pod krzyżem zbitym topornie z przegniłych desek<sup>28</sup>.

Rolę księdza w prowadzeniu uroczystości pogrzebowej przejmowali często starsi zesłańcy, znający zwyczaje kościelne. Anna Sobota we wspomnieniach z Kazachstanu tak opisuje pogrzeb swojej sąsiadki pani Sigmundowej:

Po południu odbył się pogrzeb pani Sigmundowej. Wczoraj przywieziono deski i dzisiaj Kanaszow zbił trumnę i zrobił krzyż. Na pogrzeb poszedł przynajmniej jeden z członków każdej polskiej rodziny. Na początku pani Fiedlerowa z krzyżem, potem sanki z trumną, a za nimi nasi – Polacy. Trumnę pomogło spuścić do grobu dwu traktorzystów i jeden Irańczyk. Po usypaniu mogiły i umieszczeniu krzyża, odmówiono modlitwy i wszyscy w zamyśleniu i smutku opuścili miejsce wiecznego spoczynku naszej rodaczki<sup>29</sup>.

Inny opis uroczystości pogrzebowej znajdujemy we wspomnieniach Marii Jadwigi Łęczyckiej:

Wykopaliśmy grób na stepowym wzgórku. Długo zastanawialiśmy, w jaki sposób wyróżnić go spośród innych. Krzyż z żerdzi mógł wyrwać buran albo przebiegające stepem bydło. Wbiliśmy więc w dolną, mającą tkwić w ziemi, część krzyża długi żelazny hak. Na krzyżu wypaliliśmy rozpalonym gwoździem początkowe litery imienia i nazwiska zmarłej oraz datę śmierci. Patrzyłam długo przez ażurowe nieszczelne deski na śliczne rozchylone usta. Na myśl, że szparami będzie się w nie sypał piasek, poczułam mdłości. Błyskawicznym ruchem wsunęłam między deski całą Priirtyszką Prawdę, która zasłoniła jej twarz. Pod krzyżem zakopałyśmy w piasku flaszkę zakorkowaną i zalakowaną polskim lakiem. W butelkę Stasia wcisnęła białą kartkę z kaligraficznie napisana informacją: «Tu leży żona polskiego rotmistrza. Nasza kochana Anielka». Pod napisem – wiersz Asnyka: „Ostatni uśmiech wykwitł na jej twarzy,/ A obok niego dziwne zamyślenie./ Jeszcze się może nad jej kształtem waży/ Zbiegłego życia rozwiane marzenie./ Więc choć ją wieczność ubrała w milczenie,/ Ostatni uśmiech wykwitł na jej twarzy”<sup>30</sup>.

Podczas pożegnań ze zmarłymi starano się w miarę możliwości zachowywać obyczaj chrześcijański:

Byłam obecna przy jego [ojca] śmierci. Leżał na pryczy. Miał obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej i wciąż na niego patrzył. Modliłam się przy nim.

<sup>27</sup> Ks. J. Kuczyński, *Między parafią a łagrem*, Warszawa 1989, s. 74.

<sup>28</sup> W. Niezgoda-Górska, op. cit., s. 33.

<sup>29</sup> A. Sobota, *W stepach Kazachstanu. Wspomnienia z lat 1939-1946*, Wrocław 1993, s. 69.

<sup>30</sup> M. J. Łęczycka, *Zsyłka. Lata 1940-1946 w Kazachstanie*, Wrocław 1989, s. 91.



Mamusia coś na płycie gotowała. Wziął taki głębszy oddech, a ja krzyknęłam: „Mamo! Tato umiera!” Ojciec zdjął wzrok z tego obrazu, popatrzył na mnie i powiedział: «Nie płaczcie a módlcie się» i umarł. To było 29 lipca. Bardzo przytomnie umierał i taki żal miał, że na obczyźnie, i że pogrzebu z księdzem nie będzie. [...] byłam obecna przy zgonie matki. W gorączce bardzo rozpacziała, mówiła: „ne chowajcie mnie! Sieroty zostawię! Jak one żyć będą?”(o Wiciusiu i Zygmusiu – najmłodszych)<sup>31</sup>.

Nie zawsze było to jednak możliwe :

Grób dla Mamy wykopał w głęboko sięgającej zmarzlinie mężczyzna o nazwisku Lech, który za trzy ruble od sztuki kopał na cmentarzu w tajdze większość grobów. Trumnę, a właściwie skrzynię z nie heblowanych desek wykonano bezpłatnie w stolarni. Umierało w tym czasie bardzo wiele osób. Stolarnia z trudem nadążała ze zbijaniem z desek skrzyń służących jako trumny. Zdaje się, że w dniu 10 stycznia 1941 roku podjechały pod nasz barak obozowe sanie. Pomimo dużego mrozu przyszło kilkadziesiąt osób – w większości kobiety. Przybyła grupa Polaków śpiewała religijne, żałobne pieśni, odmawiała stosowne modlitwy. Sanie powiozły trumnę na cmentarz, za nimi poszła grupa życzliwych ludzi. Z powodu choroby nikt z naszej rodziny nie mógł wziąć udziału w tych bardzo bolesnych dla nas obrzędach. Na domiar tych przykrości pan Lech, pomimo naszej usilnej prośby, nie zaznaczył mogiły naszej Mamy, a że było w tym czasie dużo i co raz więcej, świeżych mogił, nigdy nie dowiedzieliśmy się na pewno, która z nich jest naszej Mamy. Wskazał nam jedną mogiłę jako prawdopodobną, ale miał wątpliwości. Nie mając innego, lepszego rozwiązania, na wskazanym miejscu usypaliśmy w lecie z miękkiej ziemi kopiec mogiły Wykonaliśmy z sosnowego okorowanego drewna duży, wysoki krzyż, który ustawiliśmy przy tej mogile. W ten sposób spełnił się złowrogi noworoczny sen. Odeszła od nas i pozostała na zawsze w obcej ziemi, pełnej grozy i smutku północnej tajgi, osoba nam najbliższa, najukochańsza. W tym dniu w odstępie tylko kilku godzin w naszym baraku zmarły trzy osoby. Te dwie następne osoby – to dorastające córki małżonków Palińskich. Ich pogrzeb odbył się parę dni później, bo trzeba było poczekać na wykonanie trumien.<sup>32</sup>

Już choćby z tego pobieżnego przeglądu wspomnień zesłańców widać, że w ceremonii pogrzebowej, podobnie jak jest to dzisiaj, znaczącą rolę odgrywał krzyż. W kraju ateistycznym jakim ZSRR był w latach 40-tych XX w. znaczna część społeczeństwa była niewierząca, a religia zakazana odgórnie, krzyż jako znak chrześcijaństwa, przynajmniej podczas takich uroczystości jak pogrzeb, był często przyjmowany ze zrozumieniem. W cytowanych już wspomnieniach Zdzisławy Krystyny Kadeckiej znajdujemy znamieny opis pogrzebu jej brata:

Pochowaliśmy Rysia tego samego dnia po południu 2 sierpnia 1940 r. w trzy miesiące po przybyciu do Kazachstanu. Wania, który nigdy nie słyszał o Bogu i nie widział przedtem krzyża, uparł się, że będzie niósł go przez wieś – dobrze wiedząc, czym za to przypłaci – swoim członkostwem w Komsomolach, a gdy

<sup>31</sup> A. Łowiet z domu Bańdur, „*Marzyliśmy, by wrócić do Polski i najeść się chleba – suchego*” [w:] „Tygodnik Łobeski” 2009.01.26.

<sup>32</sup> W. Wysocki, *W tajdze i na stepach. Wspomnienia z lat 1940-1944*. <https://poma.pl/publikacja/191218-wspomnienia-mojego-ojca-waleriana> [dostęp: 11.05.2016].

szedł, płakał całą drogę. Za małą trumienką szli rodacy, ale także Zoja i Klaudia. W stepie, gdzie już było kilka polskich grobów, pośród których pały się krowy, pochowaliśmy małego Rysia, wbijając długi żelazny krzyż tak, żeby było nie mogło go obalić Ściemniało się, kiedy smutny korowód powrócił do wioski<sup>33</sup>.

Polscy zesłańcy, pomimo życzliwości rosyjskich i kazachskich sąsiadów, nierzadko musieli jednak bronić przed lokalnymi władzami swoich obyczajów i symboli religijnych. Pisze o tym, m. in. Grażyna Jonkajtys-Luba:

Zmarłych chowano na cmentarzu założonym opodal wsi, na którym kobiety stoczyły milczącą, tępą, udręczającą walkę z władzami rejonowymi o ustawienie krzyża z Pasyjką, wyrzeźbioną w drzewie przez jednego z przesiedleńców. Krzyż stawiany w nocy, wykopywany był za dnia – i tak przez wiele tygodni – aż w końcu władze ustąpiły i krzyż został<sup>34</sup>.

Krzyż, bez którego zdecydowana większość polskich zesłańców, jeśli nie wszyscy, nie wyobrażała sobie pochówku i grobu bliskiej osoby, miał jednak przede wszystkim wymiar symboliczny. Tymczasem śmierć członka rodziny stawiała przed bliskimi trudne zadanie zdobycia konkretnych, ale deficytowych w kazachstańskich realiach materiałów, jak: drewno na trumnę, ubiór zmarłego, środek lokomocji (taczki, wóz itp.) do przewiezienia zwłok na cmentarz. Nie wszyscy też mieli możliwość uczestniczenia w pogrzebie choćby najbliższej osoby, gdyż uroczystość taka nie dawała prawa do zwolnienia od obowiązku pracy. Cytowana wyżej Anna Sobota pisze z uznaniem, że „na pogrzeb przyszedł przynajmniej jeden z członków każdej polskiej rodziny”<sup>35</sup>. W materiałach zebranych przez Irenę Wasilewską, która pracowała w Biurze Opieki nad Polakami sporządzając raporty dla Rządu Polskiego w Londynie, znajdujemy opowieść Irenki – dziewczynki z sierocińca polskiego w Aszchabadzie, która wspomina pogrzeb swojej mamy. Musiała go urządzić wraz z niewiele od siebie starszym, ale już pracującym bratem:

Ktoś z sąsiadów zawiadomił Janka, że mamusia nie żyje. Nazajutrz przyszedł ze stepu i pochowaliśmy mamusię. Prosililiśmy zarządzającego, aby dał nam choć parę desek na trumnę, odmówił jednak, mówiąc, że nie ma i żebyśmy sobie chowali mamusię jak chcemy. Pochowaliśmy mamusię na małym kazachskim cmentarzyku w prześcieradle. [...] Jankowi zapisali progu i do sądu go podali, że samowolnie opuścił pracę. Ludzie jednak go obronili, świadcząc, że przecież musiał przyjść pochować matkę.<sup>36</sup>

Dzięki pomocy sąsiedzkiej niektóre rodziny radziły sobie troszkę lepiej:

Rysieczek leżał ubrany w niebieskie ubranko, na ławce stała mała trumienka z desek zrobiona przez pana Antoniego i jego syna, a w rogu długi krzyż zrobiony z żelaznego pręta, w wiadrze kwiaty uzbierane przez Zoję.<sup>37</sup>

Wymieniano też deficytowe przedmioty, które pozostawił zmarły, na inne niezbędne podczas pochówku:

<sup>33</sup> Z.K. Kawecka, *Do Anglii...* op. cit., s. 82.

<sup>34</sup> G. Jonkajtys-Luba, op.cit. s.144.

<sup>35</sup> A. Sobota, op. cit.

<sup>36</sup> *Początek wielkiej drogi*. [w:] „Zesłaniec” nr 47/ 2011 s. 69.

<sup>37</sup> Z.K. Kawecka, op. cit., s.82.

W Zujówce nie było drzew, nie było i drewna, z którego można by wykonać trumnę. Miłosierny gospodarz za prześcieradło wyrwał kilka desek ze ściany stajni. Polak, stolarz zbił trumnę<sup>38</sup>.

Nierzadko, mimo odgórnych zakazów, pomocą w organizacji pogrzebu służyli lokalni przedstawiciele władzy:

W walizce znaleźliśmy jej ślubną sukienkę z welonem. Pachniała jeszcze delikatną fiołkową perfumą. Czerwony piernat zabrała Zoja. Dała nam za to cztery zapluskwione, czarne ze starości, dziurawe mocno spróchniałe deski na trumnę. Za poduszkę miejscowy kowal podarował nam na krzyż żerdź od starego studziennego żurawia. Z gwoździami nie było zmartwienia. Wystraszony *priedsiedatiel*, bojąc się widocznie odpowiedzialności za śmierć Anielki, dał nam sprawkę do magazynu na cały ich kilogram. Pozwolił zatrzymać wołu do wieczora, by przewieźć zwłoki na step. Był grzeczny i wyraził ubolewanie z powodu śmierci takiej dobrej robotnicy. Przyrzekł zaopiekować się sierotami. Trumnę zrobił mój ojciec. Niezdarna, nie heblowana, ze śladami pluskiew, ażurowa (desek było za mało), przypominała świńskie korytko. Mimo to Zoja powiedziała, że jest oczeń choroszaja. W kołchozie «Krasnaja Zwiezda» z braku drewna chowano w trumnach tylko zamożniejszych kołchoźników, lub bardzo zasłużonych aktywistów partyjnych. Pospolita kołchoźnicę brać grzebała przywiązawszy nieboszczyka do jednej tylko deski. Anielka w białej ślubnej sukience, z twarzą owiniętą welonem, leżała w swoim śmiertelnym korytku niby śpiąca panienka. Jak zawsze uśmiechała się kącikiem ust<sup>39</sup>.

Warunki atmosferyczne zwykle utrudniały przechowywanie zwłok oraz ich pochówek:

Potem ubrały biedaczkę i ułożyły w stajni. Jest tam coś w rodzaju sásieku, na który położono drzwi, na nie siano i panią Sigmundową owiniętą w prześcieradło. Zrobiło się tak dlatego, że w pokoju jest za ciepło, żeby zwłoki mogły leżeć przez kilka dni, a Kanaszowowie nie chcieli się zgodzić, żeby leżała w sieni [...]. Musiała więc zostać umieszczona w sąsiedztwie krowy. Czego się biedaczka doczekała... Trzeba się pocieszać, że Chrystus jako Dzieciątko również leżał w stajni przy bydlątkach<sup>40</sup>.

Upały powodowały, że grzebano zmarłych w pośpiechu, bez zachowania uświęconego tradycją obyczaju, z czym zesłańcy nie zawsze potrafili się pogodzić:

Było parno, ciało zaczynało się rozkładać, więc mimo przedwieczornej pory wyszliśmy z domu i trumnę złożyliśmy na podwodę. Parobek trzasnął batem, konie popędziły a trumna skakała i kołysała się na wszystkie strony. Dopiero Krysia siłą wydarła pastuchowi lejce i powoli, z powagą poprowadziła podwodę na cmentarz. [...] Sybiracy pomstowali na nas za to, że pochowaliśmy katolika po zachodzie słońca. Od słów przeszli do czynów. Gromada ludzi poszła na cmentarz, wykopali trumnę, otworzyli ją i polewali zwłoki Mariana wodą. Potem powtórnie zagrzebali trumnę. I o dziwo, nazajutrz spadł rzęsisty deszcz, co upewniło miejscowych ludzi, że mieli rację.<sup>41</sup>

<sup>38</sup> W. Niezgoda-Górska, op. cit. s.32.

<sup>39</sup> M. J. Łęczycka, op. cit. , s. 90-91.

<sup>40</sup> A. Sobota, op. cit., s.68.

<sup>41</sup> W. Niezgoda-Górska, op. cit., s. 32-33.

Ostre mrozy znacznie utrudniały, a czasem uniemożliwiały zorganizowanie pochówku, gdyż w głęboko zmarzniętym gruncie nie dawało się wykopać grobu:

Kopanie grobu było uciążliwe, gdyż ziemia była zamrznięta latem i zimą. Kopano więc płytki dołek, a uzbieranymi kamieniami nakrywano ciało, robiąc imitację kopca-nagrobka. Pogrzeb odbywał się w milczeniu, żadnych religijnych ceremonii, żadnych przemówień, żadnego krzyża, ani napisu na grobie. Po jakimś czasie grób jakoś się zapadał, wyrównywał i kamienie leżące na nim niczym się nie różniły od leżących dookoła pod „sopką”<sup>42</sup>.

Często ciało po prostu zasypywano śniegiem, a dopiero wiosną, jeśli było to możliwe wykopywano grób i urządzano uroczysty pogrzeb. Ks. Tadeusz Fedorowicz, który po zwolnieniu z więzienia udał się w 1940 roku na dobrowolnie zesłanie do Kazachstanu, aby pracować wśród deportowanych tam Polaków, wspomina bardzo dramatyczne sceny pochówków:

Córka pożyczyła od kogoś taczkę, owinęła babcię w prześcieradło, włożyła na taczkę, by zawieźć na odległy o parę kilometrów cmentarz. Ale w drodze taczka się rozsypała. Córka zarzuciła zwłoki matki na ramię i tak je doniosła do cmentarza. Tam z trudem wykopała niegłęboki grób i pochowała zmarłą.”; [...] wiozło się ciało parę kilometrów w step wysoki, kamienisty, po drugiej stronie wsi. Mróz straszny, śnieg, ziemia na kamień zamrznięta, więc się trochę podłubało w ziemi, złożyło ciało, bez trumny oczywiście, owinięte w prześcieradło – bo desek nie było, i tak się je zasypało. Potem wilki czy jakieś psy dobierały się do zwłok<sup>43</sup>.

Nie tylko wilki i psy dobierały się do zwłok, robili to także ludzie, aby ograbić zmarłego z jego ubioru:

Następnego dnia z przerażeniem dowiadujemy się, że ciało zostało wygrzebane i ograbione z ubioru. Następuje powtórny pochówek i po kolejnym dniu powtórne odgrzebanie i ograbienie zwłok z odzieży oraz prześcieradła. Mężczyźni zobowiązują się do całodobowych wart przy mogile. Trwa to dłuższy czas. Na tej ziemi panują zwierzęce prawa. Ludzkie zawołanie błagalne: «Niech spoczywają w pokoju wiecznym» – nie ma tutaj zastosowania!<sup>44</sup>.

Zdecydowana większość polskich zesłańców wraca do swojej przeszłości niezależnie od tego, jak wiele wycierpieli i jakie straty ponieśli. Łącznikiem z nią są ci, których pozostawili na wiecznym zesłaniu, świadczą o tym wspomnienia:

Odchodząc z posesiołka wzrok mój padł na smutną mogiłę [...] naszej babci. Pożegnałam ją ze łzami. Biedna, nie doczekała wolności i zamiast leżeć w rodzinnym grobowcu we Lwowie, zostaje tu wśród obcych na pustkowiu. Mama podała nam buteleczkę z wodą święconą i wszyscyśmy się pożegnali przed podróżą w nieznane<sup>45</sup>.

<sup>42</sup> M. Wigierski, op. cit., s. 151.

<sup>43</sup> Ks. T. Fedorowicz, *Drogi opatrności*. Lublin 2011, s. 266

<sup>44</sup> J. i W. Pankiewiczowie, op. cit., s. 22.

<sup>45</sup> *Isfahan miasto polskich dzieci*, [w:] *My deportowani. Wspomnienia Polaków więźniów, łagrów i zsyłek w ZSRR*, oprac. B. Klukowski, Warszawa 1989, s. 27.

Powrót do grobów bliskich stał się jednak możliwy dopiero po przemianach politycznych we Wschodniej Europie w 1989 roku i powstaniu na terenach byłego ZSRR Wspólnoty Państw Niepodległych, w tym niezależnego państwa Kazachstan. Wtedy to wielu z zesłańców odwiedziło kraj dzieciństwa lub młodości w poszukiwaniu miejsc pochówku swoich rodzin i bliskich. Niestety dla wielu cmentarzy i pojedynczych miejsc pochówku było już zbyt późno. Trudne warunki atmosferyczne, upływ czasu zmiotły lub przykryły ziemią wiele cmentarzy, często są one po prostu wchłonięte przez rozbudowujące się wioski, miasteczka i miasta. Na ludzkich grobach powstają osiedla mieszkaniowe, parki rozrywki, drogi i fabryki.

Związek Sybiraków Oddział w Poznaniu oraz Ogólnopolski Klub Pawłodarczyka Związku Sybiraków zorganizował w latach 1998 i 2001 dwie wyprawy do miejsc zsyłki położonych w obwodzie pawłodarskim w Kazachstanie. Ich głównym inicjatorem był Wincenty Dowojna<sup>46</sup>, pojechał z nadzieją, że odnajdzie groby prababci zmarłej w Bogdanowce oraz mamy i babci zmarłych w Żelezience. Nie pamięta ich, miał zaledwie trzy miesiące gdy rodzina została deportowana, cztery lata, gdy zmarła na tyfus jego matka Mieczysława Dewojno. Z jej pogrzebu zapamiętał tylko woły ciągnące wóz ze zbitą z czterech desek trumną, które dorosli pozwolili mu poganiać. Ciotka okopała grób głębokim rowem, aby nie niszczyło go pasące się w stepie bydło, na krzyż zabrakło już desek. Mogiła Mieczysławy nie przetrwała do 1998 roku, Wincenty zapalił więc znicz i pomodlił się w stepie za duszę matki. Sybiracy odwiedzili cmentarze w Pawłodarze i Majkain-Zołoto, ale niewiele grobów udało się zidentyfikować. Stanisława Chęcińska odnalazła jednak na cmentarzu pachomowskim w Pawłodarze grób swojego ojca Bazylego Kuca<sup>47</sup> – posła na Sejm II RP. Jego

---

<sup>46</sup> Wincenty Dowojna urodził się 22 stycznia 1940 r. w Białymstoku. Jego ojciec Witold Dewojno – ppor. Wojska Polskiego, więzień NKWD w Kozielski, w kwietniu 1940 rozstrzelany w Lesie Katyńskim. Wraz z rodziną deportowany w kwietniu 1940 r. do Kazachstanu (do Bogdanowki, później do Żelezienki w obw. pawłodarskim), gdzie przebywał do 1946 r. w obwodzie pawłodarskim. Repatriowany do Polski w 1946 r. wraz z ciotką – siostrą matki. W Polce wychowuje go babcia – matka ojca mieszkająca w Szamotułach w Wielkopolsce. Wtedy to zmieniono mu w metryce nazwisko na Dowojna. W dorosłym już życiu osiada w Poznaniu, jest nauczycielem, działa w Związku Sybiraków, przy którym zakłada Klub Pawłodarczyków, gdzie pełni funkcje prezesa. Organizuje wyjazdy do Kazachstanu, gdzie odszukuje groby Polaków, sprowadza do Polski Polaków z Kazachstanu, organizuje wymianę młodzieży ze szkół wielkopolskich i pawłodarskich, pomaga Polakom z Kazachstanu studiować w Polsce. Jest też założycielem i prezes Stowarzyszenia Współpracy ze Wschodem Memoramus w Poznaniu, organizującego corocznie od 2007 r. Marsze Pamięci w Katyniu, w których udział bierze młodzież polska i rosyjska. Popularyzuje, głównie wśród młodych ludzi wiedzę na temat represji stalinowskich.

<sup>47</sup> Bazyli Kuc (1897-1944) – białoruski działacz polityczny okresu II RP, poseł na Sejm III kadencji z listy BBWR. Ukończył szkołę rzemieślniczą w Petersburgu, później wszedł na ścieżkę kariery wojskowej (Szkoła Kadetów w Kazaniu). W latach 1915-1918 walczył w armii rosyjskiej, w 1918 pojmany i skazany na śmierć przez bolszewików w Piotrogradzie, zbiegł by walczyć w białej gwardii. W 1921 osiadł w Polsce, w powiecie Wołożyn, gdzie prowadził własne gospodarstwo. Przez kilka kadencji piastował urząd wójta gminy Traby, zapisał się jako fundator licznych szkół ludowych i

nazwisko i imię na grobowej płycie łatwo było odczytać tylko dlatego, że jeszcze w 1944 roku ktoś wyrył je gwoździem w mokrym cemencie. Prof. Stanisław Alexandrowicz,<sup>48</sup> który na zesłaniu mieszkał z mamą i siostrami w Majkain – Zołoto, podczas pierwszej wizyty odnalazł na tamtejszym cmentarzu groby siostr Reginy oraz Wiesławy i umieścił na nich wykonane w Polsce tabliczki identyfikacyjne. Niestety, trzy lata później, tabliczek już nie było. 30 września 2004 roku na cmentarzu w Pawłodarze odbyła się uroczystość odsłonięcia Pomnika – Mogiły poświęconego spoczywającym tu polskim zesłańcom. Ufundowano go z pieniędzy zebranych przez Sybiraków-Pawłodarczyków, Stowarzyszenie Współpracy ze Wschodem „Memoramus” w Poznaniu oraz Polonię pawłodarską. Znaczną rolę odegrała tu polsko-kazachska rodzina Łucji i Bułata Tokinów. Na cmentarzu w Majkain-Zołoto również odsłonięto płytę upamiętniającą pomordowanych i zmarłych Polaków ufundowaną staraniem

stypendiów dla uzdolnionej młodzieży białoruskiej (na które przeznaczał własną dietę poselską). Był prezesem Kasy Stefczyka w powiecie wołżyńskim. W latach 1930-1935 sprawował mandat z listy BBWR z okręgu Lida, w Sejmie II kadencji (1928-1930) pełnił funkcję zastępcy posła z tego samego okręgu. W 1939 mianowano go komisarzem terenowej obrony cywilnej, po wkroczeniu Armii Czerwonej na Nowogródczyznę został aresztowany przez NKWD i zesłany do Republiki Komi, gdzie zajmował się wydobywaniem ropy naftowej. Zwolniony w wyniku układu Sikorski-Majski, pełnił funkcję męża zaufania Delegatury Ambasady Polskiej w Pawłodarze. W 1943 aresztowany i skazany na 10 lat więzienia, zwolniony do domu w czerwcu 1944 na parę miesięcy przed śmiercią.

<sup>48</sup> Stanisław Jerzy Alexandrowicz (1931-2015) – polski historyk, specjalizujący się w historii Europy Wschodniej XIV-XIX w. oraz historii kartografii. Syn Bohdana Alexandrowicza – kierownika oddziału polityczno-narodowościowego w Urzędzie Wojewódzkim w Łucku, straconego przez NKWD 28 grudnia 1939 r. Stanisław ukończył I Liceum Ogólnokształcące w Toruniu oraz studia w zakresie historii i archiwistyki na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Aspiranturę odbywał w Katedrze Historii Narodów ZSRR Uniwersytetu Poznańskiego, gdzie w 1958 r. został zatrudniony jako starszy asystent. Stopień doktora uzyskał w 1960 r., a doktora habilitowanego w 1972 r. W latach 1977-1987 pracował w Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku, gdzie kierował Zakładem Historii Starożytnej i Średniowiecznej. Dwukrotnie (1978-1981 oraz 1982-1983) pełnił funkcję prodziekana Wydziału Historycznego. W 1987 r. zatrudniony na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, gdzie do 2001 r. kierował Zakładem Historii Narodów ZSRR (potem przekształconym w Zakład Historii Europy Wschodniej. W 1989 r. otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego, a w 1994 r. profesora zwyczajnego nauk humanistycznych. Prowadził wykłady na sesjach plenarnych Polskiego Uniwersytetu Ludowego w Mińsku. Był wykładowcą w Wyższej Szkole Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu. Jego zainteresowania naukowe dotyczyły historii Wielkiego Księstwa Litewskiego i Podlasia, historii gospodarczej (zwłaszcza miast i miasteczek), historii kartografii, zesłańców polskich w Kazachstanie w latach 1940-1946, a także dziejów lotnictwa, był członkiem Toruńskiego Towarzystwa Naukowego, Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk oraz wieloletnim prezesem Białostockiego Towarzystwa Naukowego. Aktywnie działał w Aeroklubie Poznańskim, był pilotem szybowcowym I klasy, w 1968 r. uzyskał złotą Odznakę Szybowcową. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Brązowym za Zasługi dla Obronności Kraju oraz "Medalem za zasługi położone dla rozwoju Uczelni.



dyrektorki szkoły w Majkainie, Kazaszki Szołpan Zasyłgusowej. Starania o odnalezienie i uporządkowanie grobów bliskich podejmowali także dawni zesłańcy mieszkający obecnie poza granicami Polski. Tadeusz Walląg<sup>49</sup> z Michigan w USA, w 2000 roku przyjechał wraz z bratem Zbigniewem, żoną Józefą Renatą Dąmborską-Gedroyć i ks. Zbigniewem Karolakiem do Kazachstanu, aby odnaleźć miejsce wiecznego spoczynku matki. Nie znaleźli grobu, ale dzięki sporządzonemu przez Teofila Mikuskiego (także Pawłodarczyka) spisowi Polaków pochowanych na cmentarzach Pawłodaru<sup>50</sup> udało się ustalić, że Eugenia Walląg była pochowana na starym cmentarzu w Pawłodarze. Informację tę potwierdził zapis w księgach cmentarnych. Rodzina postanowiła wystawić jej na pachomowskim cmentarzu w Pawłodarze nowy grób z pomnikiem, na którym wyryto napis:

**Walląg Eugenia**  
**zm. 22 VI 1941 lat 42**  
**Niech spoczywa w pokoju**  
**kochanej Mamie dzieci zesłańcy**  
**Janina Zbigniew Tadeusz Eugeniusz<sup>51</sup>**

Niestety nie wszędzie zachowały się cmentarze, na których grzebano zmarłych polskich zesłańców. W 1940 r. przywieziono do *posiołka* Kuzioli koło Kajgorodka w rej. Syktywkarskim (Komi ASSR) Annę Tęczą wraz pięciorgiem dzieci: Heleną, Krystyną, Marią, Janem i Józefem. Z całej rodziny udało się przeżyć tylko najmłodszemu Józefowi, pozostali zmarli w okresie od lutego do sierpnia 1941 r. W ponad 60 lat później Józef podjął próbę odnalezienia grobów mamy i rodzeństwa. Wynajętym samochodem wyjechał leśną drogą z Kajgorodka w stronę Kuzioli, niestety nie dotarł do cmentarza położonego na terenie *posiołka*, w którym rodzina była osiedlona. Znalazł położony nieopodal w lesie prawosławny cmentarz timerianowski, gdzie grzebani byli również Polacy. Nie zachowały się tu jednak żadne groby katolickie, zresztą cały cmentarz jest w złym stanie, drewniane krzyże zarówno katolickie, jak też prawosławne leżą bezładnie pod drzewami. Tylko niektóre z mogił otoczone metalowymi płótkami przypominają o tym, że jest to miejsce wiecznego spoczynku mieszkańców pobliskiego *posiołka*. Józef Tęcza przyrzekł sobie i Bogu, że wróci do

<sup>49</sup> Tadeusz Józef Walląg (1926-2010), syn Franciszka – porucznika Wojska Polskiego rozstrzelanego w 1940 r. w Lesie Katyńskim. W kwietniu 1940 r. rodzina Wallągów (matka Eugenia z d. Szewczuk oraz córka Janina, synowie Zbigniew, Tadeusz, Eugeniusz) została deportowana przez NKWD z Tewli na Polesiu do Kazachstanu w obwodzie pawłodarskim, gdzie w 1941 r. zmarła Eugenia. Po śmierci matki w 1942 r. Zbigniew i Tadeusz opuścili ZSRR wraz z armią gen. Andersa na mocy amnestii ogłoszonej po zawarciu w 1941 r. układu Sikorski-Majski. W Persji (Iran) Tadeusz został przydzielony do Szkoły Kadetów w Palestynie. Po II wojnie światowej wyjechał do USA, mieszkał w Michigan. Dwukrotnie żonaty: z Janette Guminski (1953) i Józefą Dąmborską (1970). Zmarł 11 września 2010 r., pochowany na cmentarzu Farnington Hills w Michigan.

<sup>50</sup> T. Mikulski, *Fotografia zbiorowa Polaków deportowanych do okręgu pawłodarskiego*, Wrocław 1995, s. 612.

<sup>51</sup> *Drogą przez Sybir...*; oprac. J. R. Dąmborska-Gedroyć, T. Walląg, Warszawa 1998, s. 288.

Komi, odnajdzie miejsce po cmentarzu koło Kuziola i ustawi tam figurę Matki Bożej, która upamiętni miejsce pochówku jego matki i rodzeństwa. Mnożą się jednak różnorakie trudności, sił coraz mniej, a czas szybko umyka. Czy zdąży zrealizować swoje przyrzeczenie? Jeśli nie On to może ktoś inny zrobić to w Jego imieniu?

To tylko kilka wybranych, znanych mi z autopsji działań podejmowanych przez zesłańców lub ich rodziny dla upamiętnienia zmarłych na wygnaniu i pozostawionych w obcej ziemi na wieczność. Optymistycznym jest, że do działań tych włączają się, a w wypadku masowych, wielonarodowych miejsc pochówku inicjują je społeczeństwa rosyjskie, kazachskie i innych narodowości.

## **A P E L**

2 stycznia 2017 r. w Białymstoku zostało otwarte

### **MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU**

Podejmujemy się zadania pozyskiwania materiału fotograficznego, pamiątkarskiego oraz zbierania pamiątek związanych z zesłaniami do Imperium Rosyjskiego i ZSRS. W związku z tym zwracamy się do wszystkich, którym bliska sercu jest tematyka Sybiru o pomoc w budowie tego unikalnego Muzeum.

Prosimy o przesłanie relacji, wspomnień z pobytu na nieludzkiej ziemi, przekazywanie zdjęć i innych pamiątek.

### **WSPÓLNIE ZBUDUJEMY MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU!**

#### **Muzeum Pamięci Sybiru**

ul. Sienkiewicza 26

15-092 Białystok

tel. 795 650 800;

e-mail: sybir@mwb.com.pl

[www.facebook.com/pl/muzeumpamiecisybiru](http://www.facebook.com/pl/muzeumpamiecisybiru)

---

---

ELŻBIETA SMUŁKOWA

## WSPOMNIENIE Z NARYMSKIEGO KRAJU

Zamieszczony w 66 numerze „Zesłańca” (2016) syntetyczny artykuł Anety Pankiewicz zatytułowany *Sytuacja polskich zesłańców na Syberii w okresie II wojny światowej*, oparty na dotychczasowej literaturze przedmiotu i godny uznania jako „przeredagowany fragment pracy magisterskiej” młodej osoby, prowokuje do tego, aby go wesprzeć i uzupełnić autentycznym przeżyciem i doświadczeniem.

Jednym ze skupisk Polaków wywiezionych w latach 1940-1941, których warunki życiowe autorka omawia, są zesłańcy do Kraju Narymskiego. Jestem jedną z nich. Mam teraz 85 lat, a przeszłość naszą widzę obrazami. Pamięć przeżywania Sybiru przez dziecko pozostaje we mnie, wsparta treścią oryginalnego dziennika mojej Matki, prowadzonego w drodze ze Lwowa w nieznaną i kilkakrotnie jeszcze po dotarciu na miejsce przeznaczenia. Opublikowałam go wraz z kilkoma zapamiętanymi „obrazami” poprzedzającymi wywóz i z listem Matki (świadectwem jej osobowości i przeżyć), pisany do szwagra Tymona Terleckiego 30 maja 1942 roku; w jej papierach zachowała się kopia tego listu, który nigdy do adresata nie dotarł<sup>1</sup>. Pewną weryfikację mojej pamięci stanowią też rozmowy z młodszą siostrą, współtowarzyszką pobytu na Syberii. Niezbędne ogólne informacje o Narymskim Kraju, nazewnictwo potrzebnych miejscowości, rzek i mieszkańców czerpię z literatury. Dotyczy to zwłaszcza niektórych moich sprostowań w stosunku do terminów użytych w pracy Anety Pankiewicz. Pójdę trochę jej tropem. Nie będzie to jednak w żadnym przypadku recenzja tego artykułu. Tyle pokrótce o źródłach, a poniżej to, co podsuwa pamięć i to, co z tych źródeł wynika.

### Wtargnięcie przemocy

Pierwsza odczuta przez dziecko przemoc – to noc aresztowania ojca, inżyniera leśnika, 23 marca 1940 r., w naszym lwowskim mieszkaniu przy ulicy Mochnackiego 56 (obecnie Drahomanowa). Ojciec żegnając się dyskretnie wsunął mi do rączki swoją obrączkę: „Pamiętaj czyją jesteś córeczką!”

Zapamiętałam!

---

<sup>1</sup> *Dwa etapy w życiu matki: Lwów – Sybir*, [w:] *Europa Nie prowincjonalna. Przemiany na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej (Białoruś, Litwa, Łotwa, Ukraina, wschodnie pogranicze III Rzeczypospolitej Polskiej) w latach 1772-1999*, Warszawa-Londyn 1999; przedruk, [w:] E. Smułkowa, *Białoruś i pogranicza. Studia o języku i społeczeństwie*, Warszawa 2002, s. 583-596.

W rok później druga: budzą mnie ostre męskie głosy; wzrok pada na mamę siedzącą bezwładnie w samej bieliźnie, nic nie mówi, jest poważna, nie płacze. „Zbieraj się, masz mało czasu” – to jeden z męskich głosów. Matka powoli wstaje, ubiera się i zaczyna się pakować. Pomagam jej zbierając rzeczy Maryli i swoje. Wrzucam do kosza *Dzieje duszy św. Teresy od dzieciątka Jezus* – dlaczego właśnie to? Nie licząc Matki książeczki do nabożeństwa, to było jedyne polskie słowo drukowane, jakie miałyśmy na Syberii. Jeden z enkawudzistów zauważa stojącą przy oknie maszynę do szycia. „Bierz maszynę, jeżeli umiesz szyc – u ciebia dieti!”

Całe pakowanie trwało około dwóch godzin. Pod bramą przy Placu Akademickim 1 (skromniejsze mieszkanie po aresztowaniu ojca) czekała odkryta ciężarówka, do której załadowano nas z rzeczami, by dowieźć na dworzec kolejowy. Był już brzask, dość chłodno; jadąc patrzyłam z góry platformy na puste ulice i domy stopniowo wyłaniające się z nocy i mgieł. To był ciekawy dla mnie widok. Znacznie później zrozumiałam, co mogła wtedy czuć moja Matka. Z jej „Dzienniczka” wiem, że stało się to 22 maja 1941 roku w Święto Wniebowstąpienia Pańskiego.

#### **Droga ze Lwowa w nieznaną: pociąg, statek, barka-barża**

Nie pamiętam zupełnie przeładunku do wagonu. Utrwalił się natomiast obraz jego wnętrza: my z Matką i jakaś druga rodzina na górnej pryczy po lewej stronie od wejścia. Po środku wagonu parasza, przesłonięta prześcieradłem przez naszą mamę jak wspomina siostra. Przez zakratowane maleńkie okienko towarowego wagonu „przystosowanego” do przewozu ludzi, zanim jeszcze ruszyliśmy w drogę, z pewnej odległości widziałam znajome postaci krewnych, którzy chcieli do nas podejść, podać jakiś prowiant, pożegnać.– Nie udało się! Byliśmy pilnie strzeżeni. Drzwi zaryglowane, zaduch. Jedna z pań zemdląła. Z „Dzienniczka” Matki:

Byłam przygotowana na wywóz kilkakrotnie, a tym razem naprawdę wzięto mnie z Elżunią i Marysią zupełnie nic nie przeczuwającą – chorą psychicznie po śmierci Wandy [siostra matki W. Lewkowa, wywieziona z Łunińca do Kazachstanu, po wcześniejszym aresztowaniu jej męża, sędziego Jana Lewka, zmarła w szpitalu w Pietropawłowsku w 1941, o czym zostałyśmy zawiadomione niedługo przed wywiezieniem], nieprzytomny strzęp nerwów. Pozostawiałam najbardziej wartościowe rzeczy i przedmioty. Jesteśmy kompletnie niezaopatrzone.

W drodze byliśmy na szczęście karmieni, raz dziennie.

W niedzielę 25 maja jest między innymi taki zapis:

Teraz tu czekamy w Brańsku na obiad, po który poszła delegacja z naszego wagonu pod konwojem.

A we wtorek 27maja:

Poniedziałek zeszedł na staniu bez ruchu, jedzenia i wszelkich wrażeń w Orle. Wtorek rano znaleźliśmy się w Tule, stronach rodzinnych Tołstoja. Dzieciom kupiłam lody (wstrętne), które jednakże zjadły z wielkim smakiem. O ósmej rano dano nam obiad: kapuśniak dobry i makaron z mięsem, gorąca woda. Nakarmiwszy się poczuliśmy się rażniej. Męczące jest tylko to ciągle stanie na bocznych torach. Tajemniczo milczą nasi konwojenci co do nazwy miejscowości naszego przeznaczenia. [...] Żywamy się powoli w naszym

kolektywie wagonowym. Poznajemy charaktery, przeważnie poczciwie z kośćcami, ludzisków. Jaka siła zagnała nas tu spokojnych, neutralnych, osiadłych ludzi? Dlaczego malutkie dzieci się tu znalazły? Za co zostały wyrwane zdolne dzieci ze szkół? A co najważniejsze, jaki będzie efekt, jaki wynik tego przesiedlenia, tak teraz tragicznego dla nas i pełnego zgrozy? Kiedyż wreszcie ten Sybir zimny i groźny, od tyłu, tyłu lat skropiony polskim potem i łzami, zamieni się w normalną przystań dla ziemskich pielgrzymów?

**28/V środa.** Posunęliśmy się znowu szmat ziemi ku wschodowi. Jesteśmy w tambowskiej obłasti. Niespodzianką było rano gorące mleko i dwa jaja kupione od jakiejś kobiety. [Zakupy były dokonywane przez wagonowe okienko. Przesuwane drzwi-wrota stale zaryglowane]. Pragnę bardzo napisać do Lwowa i Basi [Barbara Rewieńska, współtowarzyszka śp. cioci Wandy, autorka książki wspomnieniowej z Kazachstanu *I tylko księżyc był ten sam* – E.S.], ale mi się to nie udaje.

**2/VI. Poniedziałek Zielonych Świąt.** Dalsze miejscowości trasy: Penza, Batraki, Kujbyszew [Samara], Bogorusław, Ufa, Złotoust, Czelabińsk (już za Uralem). „Gdzie spędziłaś tegoroczne Zielone Świąta?” – „Na Uralu”! (Tak, Tak). Ural ogromnie mię zajął. Daje się zauważyć więcej kultury, niż w poprzedniej części Rosji [...]. A w naszym wagonie kloaka coraz gorzej śmierdzi. Prześcieradło umieszczone zamiast parawanu przesiąkło moczem. Ludzie gorączkują, zażywają rycynus, płaczą, pocą się, rozpaczają. Jeden ze współtowarzyszy, cichy, spokojny maszynista kolejowy na emeryturze ma już od dwóch dni 40° gorączki. Zmienia spocone do nitki koszule, które potem cuchną na cały wagon. Dziś mu trochę lepiej. Jedzie z trojgiem dorosłych dzieci. W sąsiednim wagonie umarła jakaś staruszka. Żołnierze w nocy przyszli po zwłoki, pomyliwszy numer wagonu zapukali do nas.

**5/VI.** Jesteśmy w Nowosybirsku. I to jeszcze nie jest cel naszej podróży. A już jesteśmy prawie u kresu wytrzymałości. Stoimy między ciasno ustawionymi wagonami ciężarowymi. Zaduch okropny. Dzieci rozebrały się do koszulek i daremnie żebrzą o wodę. Obiecują nam nawet picie, obiad, ba nawet kąpiel, to znaczy kąpiel. Ale kiedy tego doczekamy? Ach, jakże ciężka jest rola matki w takiej sytuacji!

Sam Nowosybirsk – duże miasto, położone ładnie nad Obem. Duże budynki, wiele kominów fabrycznych po drugiej stronie rzeki.

Kąpiel była istotnie wspaniała. Ale po radości zawsze jest cień. Ela za długo może była głodna w gorącej łaźni i tak wyszedłszy osłabła, że omal nie zemdlała. Wróciwszy do wagonu uspokoiła się; za jakiś czas dostałyśmy obiad.

Tak jest w „Dzienniczku”.

Mnie ten epizod z Nowosybirską zapisał się w pamięci bardziej dramatycznie. Po raz pierwszy od kilkunastu dni znalazłyśmy się poza wagonem i musiałyśmy pieszo, w dość dużym tempie, pokonać zatłoczoną wagonami bocznicę dworca i dotrzeć do łaźni miejskiej. Psychiczną traumą było dla mnie rozebranie się wśród obcych kobiet i mycie się w dużej sali w gąszczu nagich ciał, często mało estetycznych. Ostra woń otrzymanej po dezynfekcji odzieży i długotrwały brak napoju dopełniły swego – osłabłam; pamiętam moment utraty przytomności. Nic takiego nie powtórzyło mi się nigdy w życiu.

**Nazajutrz:** jazda do tajgi przez śliczną okolicę. Brzoza i świerki, modrzewie, czeremcha kwitnąca i śliczne barwne kwiaty w bujnej trawie. W Tomsku skończył się ten raj. Bagna przejęły nas strachem. A w nocy okazało się, że pojedziemy okrętem, rzeką w kierunku Morza Karskiego. Czekamy na przetranspor-



towanie do okrętu. Po źle przespanej nocy, bez śniadania i kropli wody nie możemy oprzeć się zdenerwowaniu. Jest mnie i dzieciom bardzo niedobrze. Deszcz pada. Nie wiem jak sobie poradzę z pakunkami z wagonu, a tym bardziej z bagażowego. Ból okropny serce ściska. Jak zniesiemy życie na północy? Boże, zostaw mię jak najdłużej przy dzieciach! Niech nie zostaną sierotami w obczyźnie.

**Okręt. Sobota 7/VI.** Straszliwie wyczerpana dźwiganiem pakunków, po zapłaceniu marynarzowi za kosz i maszynę, i łóżka, siedzę wreszcie w bardzo nie odpowiednim miejscu na okręcie. Okręt jest obszerny, dwupokładowy, ale na tyle ludzi, jak cały transport zesłańców, absolutnie za mały. Widok stłoczonych kobiet, mężczyzn, dzieci śpiących, przerażonych, spoconych – to prawdziwy czyściec. Ogonek przed kuchnią po obiad – to gehenna. To też po zjedzeniu obiadu (zupy ogórkowej i kaszy) i umyciu naczyń byłam już śmiertelnie na ten dzień znużona. Posiedziałam, względnie powstałam trochę z dziećmi na pokładzie, skąd mimo całego zgnębienia musiałam podziwiać cudo olbrzymiej rzeki Ob, oświetlonej zachodzącym słońcem, okolonej zieloną tajgą z kwitnącą, pachnącą odurzająco czeremchą. Potem kupiłam dzieciom porcję kompotu, rozścieliłam siennik i zasnęliśmy natychmiast.

**8 /VI. Niedziela!** Już trzecia podczas tej tragicznej podróży. Skoro tylko syberyjskie słonko zeszło, musiałyśmy wstać, bo siennik zawadzał w przenoszeniu skrzyń i poczty w osiedlu przy którym zatrzymał się okręt. Kołpaszewo nazywa się. Na widok siłaczy, dźwigających z dołu okrętu skrzynie, czuję się podwójnie nikła i zagubiona w tym kraju, w którym może bytować tylko krzepkość, hart i wytrzymałość na głód, mróz i ciągłą walkę o byt. Co tu będę robiła? Jak długo wytrzymam? O Jezu Eucharystyczny, którego bym dziś w normalnych warunkach przyjęła, zlituj się nad dziećmi moimi i tych wszystkich nieszczęśniczek jadących ze mną! Na Rany Twoje Święte zaklinam Cię, okaż przewagę Twoją nad światem szatana. Spójrz na te wątłe ciała dziewczęce śpiące, krzywo oparte o tłumoki, i ześlij na nie błogosławieństwo swoje! Daj mi odczuć, że w tym bezdennym umęczeniu naszym jest jakiś Twój Boski cel. Nie daj popaść w zwątpienie. Pozwól zejść się kiedyś z Kazikiem. Dziś dzień jego urodzin. Oddaję go opiece Twojej.”<sup>2</sup>

### **Ust'-Sielga nad brzegiem Wasiuganu**

Nie pamiętam miejsca i okoliczności „przesiadki” z okrętu na barkę-barżę. Nie ma też o tym w „Dzienniczku”. Musiało się to stać zapewne jeszcze na rzece Ob przy ujściu Wasiuganu, jej dopływu, w którą już duże statki widocznie nie wchodziły. Utrwalił mi się obraz barży, przycumowanej przy wysokim brzegu Wasiuganu w posesiołku Ust'-Silga, naszym miejscu docelowym. A matka zapisała:

Nasz adres: SSSR, Nowosibirskaja obłast', kargasokskij rajon, naunakskoje pocztowoje otdelenije, posesiołok Ust-Sielga.<sup>3</sup> Prowadzimy tu życie na poziomie bardzo prymitywnych wieśniaków, którzy dopiero stawiają sobie dom. Nie wolno nam poruszać się po okolicy bez przepustki opiekuna NKWD.

<sup>2</sup> Dopiero od 1994 roku wiemy, że ojciec już wtedy nie żył, rozstrzelany najprawdopodobniej w Kijowie i zakopany w Bykowni (ukraińska lista katyńska 71/2-57, nr 91). Obie z siostrą uczestniczyłyśmy w uroczystym poświęceniu cmentarza wojkowego w dniu 21 września 2012 roku.

<sup>3</sup> W literaturze rosyjskojęzycznej Ust'-Silga i tej nazwy będę dalej używać.

Tak miało być przez 20 lat. Osoby wysadzone z tej barki na brzeg zostały zakwaterowane w parterowym drewnianym baraku czteroklasowej szkoły. Zapamiętałam wspólną dużą salę z jasnymi oknami – nic dziwnego po doświadczeniach ciemnego wagonu, czy statku. Na około pod ścianami rozłożone na ziemi posłania i różne formy tworzenia sobie bardziej własnego intymnego świata mimo wszystko: gdzie-niegdzie jakaś serwetka, obrazki święte, flakonik... Na ścianie naszego miejsca zawisł nieduży, oprawiony w dyskretne złote ramki obraz Matki Boskiej z kędzierzawym dzieciątkiem, chwytającym korale matki. Obraz daleki od kanonu ikonicznego, przypominający czarnobiałą fotografię, prawdopodobnie proveniencji włoskiej.

– To ty ze starszą córką? – zapytał, lustrujący salę enkawudzista. Matka bez chwili wahania odpowiedziała – Tak! Matka Boska została z nami. Wszystkie inne obrazy święte i krzyżyki musiały zostać z sali szkolnej usunięte.

Przed początkiem roku szkolnego trzeba było znaleźć sobie jakieś inne lokum. Zamieszkałyśmy w wąskiej bokówce z oknem w chacie dwojga starszych ludzi, jak mawialiśmy – dziadków Kowalowych. Wchodziło się do niej przez ich izbę z dużym chlebowym piecem, na którym spali; nie wprost z sieni; było ciepło! To ogromnie ważne zważywszy, że to był teren, gdzie mrozy mogły przekraczać 50° C. Problemem był brak odpowiedniej odzieży zimowej. Mama kupiła nam miejscowe walonki, rodzaj obuwia do kolan z grubego sukna, a ją ratowały przysłane przez Basię Rewieńską z Kazachstanu ciepłe łuninieckie pimy po zmarłej cioci Wandzie i jej ciepły płaszcz zimowy. Na głowę własnoręcznie zrobiłam sobie na drutach grubą chustkę z uprzedzonej wcześniej na drewnianym ręcznym wrzecionie białej waty (dwie cienkie nitki skręcone razem), którą mi dała miejscowa felczerka za opiekę nad jej niemowlęciem. Ten znamienity eksponat odzieżowy przechowuję do dziś. Może jakieś muzeum Sybiraków chciałoby się tym zainteresować?

„Нина Ивановна, ты негорюй, ты к нам прыехала, а мы в тайгу были выброшены. Мы в тайге жили, где не было ничего. Сколько народу умерло. Мы сами рубали эти кедры, строили дома. И никто нами не интересовался. ... А ты уже к нам прыехала”<sup>4</sup> – rzeczowo pocieszał Matkę brodaty dziadek Kowalow. Okazało się, że Ust'-Silga nie jest zwykłą wsią z miejscową ludnością a *specposiolkiem*, zbudowanym w tajdze zaledwie o 10 lat wcześniej przez zesłańców z różnych stron ZSRR w okresie kolektywizacji wsi (głównie w roku 1931). Można przytoczyć jedno ze świadectw tamtych wydarzeń: „Nas przywiezli, wysadili на берег. Стали дефат wsio, czto možno, cztob kak to naczat' žyt'.”<sup>5</sup>

<sup>4</sup> Nino Iwanowna, ty nie rozpaczaj, tyś już do nas przyjechała, a my do tajgi byliśmy wysadzeni. Myśmy wprost w tajdze mieszkali. Ileż narodu pomarło. Myśmy sami te cedry ścinałi, budowaliśmy domy. I nikt się nami nie interesował ... A ty już do nas przyjechałaś”.

<sup>5</sup> Zemla kargasokskaja, s. 180 (przekład własny ES) „Przywieźli nas i wysadzili na brzeg. Zaczęliśmy robić wszystko, co możliwe, żeby jakoś zacząć żyć. Postawiliśmy namioty, szalały z gałęzi. Do zimy postawiliśmy dwa baraki, gdzie spaliśmy na pryczach. W każdym po 8 rodzin, czyli 30 osób. Żywiliśmy się chlebem z trawą i opłkami, po 40 deko dla pracujących i po 200 dla dzieci i innych nie mogących pracować. Miejscowi mieszkańcy udostępniali nam kubek gotowanych obierek z kartofli za chustkę na głowę. W ciągu miesiąca zmarł ojciec i dwie siostry z powodu głodu i tyfusu. My z matką chorowaliśmy na tyfus przez dwa miesiące.”

Nasza sytuacja, jako zesłańców, była już istotnie lepsza, mieliśmy dach nad głową i ludzi z jakoś zorganizowanym od kilku lat życiem. Można było niektóre rzeczy z odzieży wymieniać na pokarm, którego by się inaczej nie kupiło. Porcje chleba, który można było nabyć na kartki pozostały takie same jak i u naszych poprzedników: 400 gramów dla pracujących i po 200 gramów dla osób przez nich utrzymywanych. Jak już wspomniałam, we wsi była nawet felczerka z izbą szpitalną na kilka łóżek, głównie dla położnych. Gdy się czyta opowieści o zsyłkach lat trzydziestych do Narymskiego Kraju widać wiele analogii organizacyjnych i wręcz wzorowanie się odpowiednich organów władzy na wcześniejszych sowieckich deportacjach z okresu kolektywizacji.

Teraz, chcąc przekazać historyczne geograficzne i administracyjne wiadomości o Narymskim Kraju, do którego trafiłyśmy, trzeba już odnieść się do literatury przedmiotu: polsko- białorusko- i rosyjskojęzycznej. Nazwa Narymski Kraj pochodzi od miejscowości Narym ('bagno' po selkupsku), położonej u ujścia rzeki Ket', prawego dopływu Obu<sup>6</sup>. Wasiugan to kręta z rozlewiskami, bagienna rzeka o ciemnym kolorze wody. Jest lewym dopływem Obu, położonym wyżej ku północy niż Ket'. Okręg Narymski, jako jednostka administracyjna istniał od 1932 do 1944 roku.<sup>7</sup> W jego skład wchodziło 13 rejonów, w tym „nasz” – Kargasocki, z komendanturą NKWD, której podlegałyśmy. Ten odległy, izolowany wskutek warunków przyrodniczych, teren był wykorzystywany jako miejsce zsyłek i nazywany „więzieniem bez krat” już znacznie wcześniej. Od czasu rosyjskiej kolonizacji tych ziem zesłańcy stanowili zasadniczy trzon osadnictwa. Autochtoni: Selkupowie, Chantowie i Ewenkowie – początkowo koczownicy, byli rozrzućeni w odległych od siebie osadach. Zajmowali się głównie polowaniem, łowieniem ryb i hodowlą jeleni<sup>8</sup>. Mieszkańców wsi Naunak, w której nigdy nie byliśmy, a położonej stosunkowo niedaleko „naszej” Ust'-Silgi, Matka nazywała Ostiakami, zbiorową nazwą narodów Syberii.

Nasze życie w tajdze, uzależnione przede wszystkim od pory roku, wyglądało zupełnie inaczej latem i w zimie. Warto podkreślić, że wiosna i krótkie gorące lato zlewały się prawie w jedno. Matka zatrudniona była przy koszeniu siana po drugiej, zalewowej stronie rzeki. Kosiarze po wiele godzin pracowali stojąc w wodzie. Matka dostała wrzodów na nogach, których od ciągłego stania po kolana w wodzie nie dawało się długo wyleczyć. Z tymi sianokosami wiąże się jeszcze jedno trudne dziecięce wspomnienie. Nie zawsze było komu przewieźć przez rzekę kosiarzy oczekujących wieczorem po jej drugiej stronie. Starłam się wówczas odszukać kogoś z rówieśników, odcumowaliśmy dużą łódź i „powozać” dwoma dużymi wiosłami przepławialiśmy się na drugi brzeg. Zwykle zносиło nas prądem dość daleko od oczekujących, ale wtedy powoli pod prąd płynęliśmy do nich tuż przy brzegu. Pewną dozę nieodzownego strachu (szerokość i głębina rzeki, a pływać nie umiałam)

<sup>6</sup> Rzeka ta w cytowanym artykule A. Pankiewicz nosi błędną nazwę Kieł, a to dlatego, że u E. Kowalskiej, *Adaptacja polskich zesłańców lat 1940-1941 do warunków życia na Syberii*, [w:] *Syberia w historii i kulturze narodu polskiego*, pod red. naukową A. Kuczyńskiego, Wrocław 1998, s. 419; znalazł się absurdalny błąd (po ł nie może być znaku miękkości) zapis Kieł' zamiast Kiet'.

<sup>7</sup> Waler Kalinouski, *Pani Elżbieta. Historyja adnoj pryjazni*, Smoleńsk 2016, s. 46.

<sup>8</sup> Ibidem, s. 46, za: *Земля каргасокская: сборник научнопопулярных очерков*, ред. Я. Я. Яковлев, Томск 1996, с. 150 и дальше.

przewyciężało przekonanie, że jadę po Matkę, że trzeba jej dać odpocząć, osuszyć i opatrzyć nogi; pobyc z nami! Przecież od następnego ranka znowu ta sama praca – „zawtra opiat’ na rabotu” – ta upowszechniona już w literaturze konstatacja łagierników utkwiała mi mocno w pamięci.

Z czym jeszcze kojarzy mi się wielka syberyjska rzeka? Z dziewczynką, która prowizorycznie zrobioną wędką bardzo chciała pod nieobecność Matki (patrz wyżej – sianokosy) złowić w tej rzece choć kilka rybek na obiad. Siedziałam wpatrując się w napięciu w wodę, moczyłam robaki, bezskutecznie niestety. A przecież było tam dużo pięknych gatunków ryb. Doznawany zawód i żal musiałam przeżywać głęboko, skoro tak wyraźnie pamiętam go do dziś.

Tajga w lecie kojarzy mi się z zaprzyjaźnioną rówieśnicą Katią Kołbiną, z którą chodziliśmy zrywać bujnie w niej rosnące czarne porzeczeki, a później grzyby. Zbierając trzeba było bardzo uważać na żmije – zwinięte w pobłyskujące w słońcu kłębki na pniach ściętych drzew, na które skakałyśmy, omijając grzędzawiska. Uczyłyśmy się wówczas pilnowania drogi. Zabłądzić w tajdze było bardzo łatwo. Jedno takie traumatyczne doświadczenie przeżyłam. Opatrzność Boża wyprowadziła mnie jednak z lasu przed nocą.

Latem tajga była całkowicie nieprzejezdna. Pozostawał jedynie niezorganizowany transport wodny. Poniżej streszczam opis z lat 30-tych ubiegłego wieku, w latach czterdziestych, przez nas doświadczonych, nic się nie zmieniło. Regularnego transportu nie było. Wielodzietna rodzina Darii Turkowej zesłana podczas kolektywizacji do Żółtego Jaru pow. Kargasok, gdzie absolutnie nie dało się żyć, aby przepłynąć do bardziej zasiedlonej wsi Bondarka rozebrała wcześniej zbudowany przez siebie barak, zrobiła z tego materiału tratwę i tak dotarła do Bondarki<sup>9</sup>.

Największą plagą lata była meszka (maszk`a) – gęsto latające w powietrzu drobnutki muszki – ostro kąśliwe i klejące się do oczu. Ratunkiem przed nimi były zawieszane na okryciu głowy siatki, moczone w dziegciu, którego zapach odstraszał wprawdzie meszkę, ale przykry był także dla oddychających nim ludzi.

A tajga zimą? Też bardzo piękna ale i trudna do przebycia. Nasza Matka, aby uzyskać zgodę na przeniesienie się do Kargaska, miasteczka powiatowego, przechodziła przez tajgę przy ponad 30 stopniowym mrozie 60 kilometrową odległość. Na 30 kilometrze tej drogi był tzw. „postojajj dwor”, gdzie wędrowcy mogli zaopatrzyć się we wrzątek (kipiatok) i pokotem przespać się na gołych narach. Matka tak to opisała w liście do Tymona Terleckiego:

Zima tutaj jest śliczna. 40 stopniowe mrozy są tylko przy wietrze przykre; bez wiatru znośne zupełnie. W celu uzyskania pozwolenia na zamieszkanie w miasteczku rejonowym Kargasek, gdzie od 10.04. mieszkamy, zrobiłam przy 36° mrozu 60 km pieszo do Kargaska i 60 km z powrotem. W ciągu zimy przechodziłam się tak trzy razy. Dwa razy samiuteńka. Na saneczkach ciągnęłam za sobą prowianty. W ciągu takiej drogi przeżywa się przez dwa dni więcej niż we Lwowie przez cały rok i więcej.

Nam opowiadała dodatkowo o tym, że w drodze towarzyszyło jej z oddali charakterystyczne wycie wilków, a na pewnym odcinku drogi przebiegło w pobliżu niej ich stado, nie zwracając na samotnego piechura uwagi. Taka droga mogła się odbyć tylko zimą po zamarznięciu bagien i innych mokradeł.

<sup>9</sup> Ziemiła kargasokskaja, s. 182.

W dzienniczku Matki utrwalone zostały jeszcze dwa wydarzenia dotyczące naszego pobytu w Narymskim Kraju. 1. Opis pierwszych na obczyźnie świąt Bożego Narodzenia i 2. jej reakcja na wybuch wojny niemiecko-rosyjskiej, jako zupełne odcięcie nas od Lwowa i pozostałych tam bliskich.

Drzewko z tajgi przyniósł drwal, pocziwy z kośćcami pracownik przy „klopce”<sup>10</sup>, jodełkę o cudnych długich igiełkach, zgrabną i proporcjonalną. Zrobiliśmy różne cacka z tutaj dostępnych materiałów i było zupełnie ładne drzewko. Szopkę zrobiłam z kory brzoźowej z gwiazdą i napisem Gloria in excelsis Deo! Do szopki wstawiłam obrazek z mszału o Bożym Narodzeniu. Wziąwszy pod uwagę gorzkie łyzy, które padały podczas klejenia – można powiedzieć, że szopka była droższa od wszystkich lwowskich sklepowych. A zresztą naprawdę była ładna. Na wigilię zaprosiłam naszych azjatyckich gospodarzy, u których mieszkamy – bo bałam się samej siebie. Nie wierzyłam sobie, czy potrafię zapanować nad sobą i nie postraszyć dzieci płaczem. Ugotowałam zupę kartoflaną z grzybami (Elżunia latem nazbierała w tajdze) i fasolę, jeszcze resztkę ze Lwowa. Kupiłam pół litra wódki, 2 kg sera (twarogu). Dziadek Kowalów dał kilka solonych rybek, a babka – orzeszków cedrowych. Po kolacji zaświeciłam choinkę (było pięć świeczek z jednej pociętej) i kołędowałam z Elżunią. Maryla pomagała jak mogła i umiała. Wówczas poznałam jak wielki jest Bóg i jak cudowną skarbnicą bogactw i łask jest religia! Kochani moi wszyscy najbliżsi, choć tak daleko od Was – byłam z Wami przez tę rocznicę narodzenia Jezuska Zbawiciela. Wiem, że myśleliście wtedy o nas i nie tracę nadziei, że się zobaczymy.

Dzięki opracowaniu Walerego Kalinowskiego<sup>11</sup> wiem, że wsi Ust'-Silga już nie ma. Podobnie jak i wielu innych osad dla przesiedlonych z Polski, krajów nadbałtyckich ZSRR, z Ukrainy i innych sowieckich obywateli z wielu odległych miejscowości. Tajga odwojuje swoje terytoria, zajęte wcześniej przez zesłańców i służbę ich dozorującą. Geolodzy prowadzący prace wiertnicze w 1962 roku obserwowali na miejscu posesiołki Ust'-Silga tylko 3-4 walące się domki w zaroślach. Mapy pokazują Narymski Kraj jako „pustosz”, a dawne drogi przy posesiołki jako zarosłe. Zdjęcia wojskowe z lotu ptaka świadczą, że tajga na miejscu Ust'-Silgi jest nieco jaśniejsza (rzadsza), czym dalej na południe.

### **Kargasok (Kargas`ok)**

Umowa Sikorski – Majski<sup>12</sup> anulowała 20-letnie przywiązanie polskich zesłańców do miejsca przeznaczenia. Dzięki temu matka przeniósł się z nami do miasteczka powiatowego Kargasok, gdzie było więcej Polaków, gdzie mogliśmy chodzić do szkoły, a mama pracowała w szwalni, nie tak ciężko fizycznie jak w Ust'-Sildze. Mnie osobiście było jednak znacznie trudniej niż poprzednio we wsi. Mieszkałyśmy w parterowym budyńeczku z płytą kuchenną zamiast pieca, w byłej bani, czyli łaźni domowej naszych gospodarzy Pietuchowych. Było bardzo zimno, płyta dymiała, a moim zadaniem było pod-

<sup>10</sup> Wyrób klepek beczkowych.

<sup>11</sup> W. Kalinowski, *Pani Elżbieta. Historyja adnoj przyjaźni*, Smoleńsk 2016, s. 51-52.

<sup>12</sup> 30 lipca 1941 roku premier polskiego rządu na uchodźstwie Władysław Sikorski (1881-1943) i ambasador ZSRR w Londynie Iwan Majski (Jan Lachowiecki 1884-1075) w obecności premiera Winstona Churchilla (1874-1965) podpisali umowę o odnowieniu stosunków dyplomatycznych między Polską i Związkiem Radzieckim, jednostronnie zerwanych przez ZSRR napaścią na Polskę 17 września 1939 roku.



trzymywanie ognia pod nieobecność Matki. Zdobywanie opału ze względu na nasze wątłe siły i duży mróz było bardzo trudne. Zwykłymi dziecinnymi saneczkami jeździliśmy z siostrą po wykarczowane latem pnie, przymarznięte do ziemi, zasypane śniegiem i co mniejsze starałyśmy się wciągać na sanki, a w domu rozpiłowywać i rąbać na części odpowiedniej wielkości. To drzewo było mokre; siedziałam przy otwartych drzwiczkach i dmuchałam, dym szedł na izbę. Czasem wracała mama i jakoś ratowała tę zgnębną „dmuchawkę”.

Do izdebki, w której mieszkaliśmy wchodziło się wprost ze dworu. Nie było żadnej sionki, ani wiatrołapu. Żywo stoi mi w pamięci wykopany w śniegu tunel, wyższy dużo ode mnie, którym z zewnątrz dochodziłyśmy do drzwi, jakie dzięki tej śniegowej dwustronnej osłonie można było otwierać.

W tych warunkach przeżyłam ostrą syberyjską malarię. Dreszcze były tak silne, że nie pomagało ciepłe okrycie i dopiero gdy Matka, lub siostra kładły się na mnie i mocno mnie otulały stopniowo ustępowały. Że nie rozwinę już wątku okresowych napadów wysokiej temperatury.

Trudno nie poruszyć jeszcze jednej syberyjsko-wojennej plagi, jaką były wszy we włosach i odzieżowe. Matka bardzo dbała o higienę. Przygotowywała ług z domowego popiołu, w tym prała bieliznę, mydła brakowało. Iskała nasze głowy prawie codziennie, a wszy mimo wszystko były. Pamiętam jej przestraszoną, zmartwioną twarz przy pierwszym znalezisku.

Całkiem wyjątkowym przeżyciem, wstrząsającym pięknem i grozą, było wiosenne pęknięcie i topnienie lodów na dużych syberyjskich rzekach, w naszym przypadku Obu. Bogate doświadczenia dźwiękowe i piętzące się w różnych kształtach bryły lodu, jak ruchome skały – stopniowe wyłanianie się tafli wody po przepłynięciu kry – wiosna i szybko przemijające, upalne lato.

W Kargasku na wiosnę posadziłyśmy trochę kartofli i za poradą Pietuchowej zrobiłyśmy wysoką grzędę z obornika, jako źródła wilgoci i ciepła i dopiero na tym podłożu posadziłyśmy do przyniesionej ziemi ogórki – były dość drobne, ale obrodziły. Taki tam był zwyczaj. W samej ziemi nie rosły. Warto dodać, że te wyczyny ogrodnicze odbywały się w wydzielonej przez gospodynię części jej przydomowego ogrodu pod ścianą lasu. Tajga prawie dotykała naszej chałupki, a po wodę Matka chodziła do rzeki.

Kilka zdań trzeba powiedzieć o ówczesnym miasteczku Kargasok, a i jego późniejszych losach. Pamiętam błotniste niczym nie wysadzone drogi, a w „centrum” dość wysoko na palach osadzone drewniane chodniki. Cytowany już niejednokrotnie Walery Kalinouski, na podstawie regionalnej literatury formułuje następującą opinię: Nazwa Kargasok oznacza po selkupsku „pysk niedźwiedzia”. W czasie kiedy tam byliśmy miejscowość liczyła 3000 mieszkańców, miała zburzoną cerkiew, szpital na 15 łóżek i centralę telefoniczną na 50 numerów. Nieplanowa zabudowa, przeważnie domów parterowych. Dróg brukowanych, a tym bardziej asfaltowanych nie było. Przemieszczano się po groblach z drągów i gałęzi. Wieś, jak osadę nazywa autor, z jednej strony zamykały piękne dorodne cedry, a z drugiej szeroka, (poławodnaja) wspaniała rzeka Ob – jedyny pewny łącznik z resztą kraju, jednak tylko do mrozów! W ziemie Kargasok był odcięty od świata. Do najbliższej stacji kolejowej w Tomsku ponad 500 km.

Rejonowa osada Kargasok do obecnego czasu nie ma praw miejskich, mimo wielkiego bumu gazowego i wydobywania ropy naftowej, począwszy od lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Obecnie mieszka tam 9.000 osób, a miej-

scowa gazeta „Siewiernaja prawda” skarży się, na beznadziejne drogi i na to, że wydobywany tu gaz, przekazywany do Europy, nie został dotychczas podłączony do miejscowych domów.

Z Kargaska mam jedno miłe wspomnienie. Tam mogłam pójść do szkoły, zaczęłam się uczyć pisać i czytać po rosyjsku. Spotkałam się tam z bardzo dobrą, młodą, przystojną i wymagającą nauczycielką – Maryją Siemionowną – „świat nie biez dobrych ljudiej”!

Tym akcentem kończę wspomnienie z pierwszego etapu naszej zsyłki – z Narymskiego Kraju. Były jeszcze dwa całkowicie odmienne: samodzielnym wysiłkiem naszej Matki – wyjazd do Tomsku (to czas pod każdym względem najtrudniejszy) i zorganizowane już odgórnie zbiorowe przesiedlenie wymizeryowanych Sybiraków na stepy północnego Kaukazu w rejon Armawir, Krasnodarskiego obwodu do Urupskiego Siemsowchozu<sup>13</sup>, którego centrala mieściła się w miejscowości Sowietkaja Stanica, a my trafiłyśmy do jego drugiego oddzielenia (działu) na bałce<sup>14</sup>.

---

<sup>13</sup> Siemsowchoz – sowchoz nasienny. Uprawiano tam określony gatunek pszenicy na nasiona.

<sup>14</sup> Bałka – wąwóz, jar, parów; rodzaj doliny stepowej, w której mieściła się nieduża osada ludzka oddalona od centrali sowchozowej o około 10 km.

---

---

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Obecnie zesłańcze relacje drukuje też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

\*

### **Maria Sadłowska – *Kazachstan, mama i ja***

#### **1. Wołowe koło Lwowa**

Ojciec mój Józef Franczuk urodził się 16 kwietnia 1899 r. w Milatyczach koło Lwowa. Jako młody chłopiec wstąpił do Polskiej Armii i brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Po jej zakończeniu służył jako policjant we Lwowie, a po ślubie z moją mamą Anielą w 1931 r., zamieszkali w niewielkiej miejscowości Wołowe, które do 1939 roku należało do Polski. Mama była nauczycielką, dlatego mieszkaliśmy w budynku szkolnym. W tym czasie, gdy rodzice pracowali opiekowała się mną niania Ludwinia. Mama bardzo długo źle się czuła po urodzeniu braciszka, przez długi okres czasu dochodziła do zdrowia, ale mimo to, cały czas aktywnie pracowała. W tej sytuacji opiekę nad braciszkiem przez pewien czas sprawowali dziadkowie ze strony mamy.

Ojciec we wsi Dawidów niedaleko Lwowa kupił dwa lub trzy hektary ziemi i w czasie wolnym od służby jeździł tam rowerem na budowę. Najpierw wybudował parterowy domek z dwoma pokojami i kuchnią. Zamieszkała w nim babcia (ze strony taty) i wraz ze służbą doglądała budowy. Budynek ten później miał służyć za magazyn dla jabłek, bo ojciec założył duży sad. Już w sierpniu 1939 r. dom był gotowa do zamieszkania, niestety wybuch wojny uniemożliwił nam przeprowadzkę. Działania wojenne nie zniszczyły zabudowań i stoją tam do dzisiaj a w części z nich znajduje się ośrodek zdrowia. Są nieco przebud-

wane, ale cieszę się, że dzieło rąk mojego ojca, jego pomysły i rozwiązania żyją w tym obiekcie i służą ludziom.

Z wczesnego dzieciństwa niewiele zachowało się w mojej pamięci. Są to raczej krótkie epizody. Ojca w domu prawie nie bywało, ale pamiętam, że w stołowym pokoju w szufladzie trzymał dla mnie czekoladki. Pamiętam także z nim zabawę choinkową przygotowaną dla dzieci policjantów i jakąś uroczystość w Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół” we Lwowie. Z babcią kojarzy mi się scena, kiedy to postawiła mnie na taborecie i włożyła na moją szyję sznury korale składające się z kilku sznurów. Wtedy sięgały mi aż do kolan. Powiedziała, że dostała je od swojej mamy, a ona dostała od swojej mamy i teraz otrzymuję je ja, bo jestem najstarszą wnuczką. Była to bardzo cenna darowizna, bo wtedy za te korale można było kupić dwie krowy. Nie znam dalszych ich losów, bo wraz z innymi kosztownościami zostały na czas wojny przekazane zaprzyjaźnionej osobie, której nie udało się odnaleźć po powrocie do Polski. A osobą tą była panna Lesia. Nie wiem jak to było zorganizowane ale przyjeżdżała ona na wieś w czasie wakacji i dla dzieci z okolicznych wsi organizowała półkolonie podczas których odbywały się zajęcia edukacyjne, zabawy ruchowe, festyny. Zajmowała się nimi tylko przez dzień bo na kolację dzieci wracały do domów.

Do klasy I poszłam jako sześciolatka i ukończyłam ją w czerwcu 1939 roku. Pod koniec sierpnia otrzymałam od rodziców nowy tornister, a ponieważ bardzo mi się podobał i bardzo chciałam z niego korzystać, z niecierpliwością oczekiwałam na rozpoczęcie roku szkolnego. Ale pierwszego września tuż po przebudzeniu, emocje związane ze szkołą zastąpione zostały wspólną modlitwą za polskich żołnierzy walczących na Westerplatte. Nie wyobrażałam sobie wojny, domyślałam się że jest to straszna rzecz, i przy odmawianiu pacierza gorliwie modliłam się, aby ci żołnierze zwyciężyli. Gdy mama zaczęła się modlić za żołnierzy, którzy zginęli na Westerplatte i bardzo przy tym płakała zrozumiałam, że dorośli nie są wszechmocni. Do tego momentu uważałam, że jeśli coś mi się nie udaje to mama, tata lub niania rozwiążą mój kłopot. Tymczasem widziałam, że mama płacze, czyli jest bezradna.

Z tamtym okresem kojarzy mi się także dźwięk samolotów, które z bombami leciały na Lwów i słupy ognia nad miastem widoczne z okolicznych wzniesień. Maszerujące oddziały wojska polskiego miejscowa ludność starała się nakarmić. Nie zawsze były ku temu sprzyjające warunki, pamiętam, że do jednego z oficerów, który zamiast czapki na głowie miał zakrwawiony bandaż mama zwróciła się z informacją, że ma dla nich jedzenie, ale ponieważ nie mieli czasu na zatrzymanie się, zgodził się na tzw. rozluźnienie szeregów, a my w tym czasie z koszyczków lub bezpośrednio z fartuszków rozdawaliśmy żołnierzom jabłka.

Gdy Armia Czerwona wkroczyła na terytorium Polski część oddziałów wojskowych i policyjnych przemieszczających się ku granicy z Rumunią musiała zawrócić, bo droga ich ewakuacji została odcięta. Ojciec i jego dwaj koledzy wrócili do domów. 4 listopada 1939 r. ojciec wyszedł do Bóbrki i już nie powrócił. Przez kilka dni pozostawał w niewielkim więzieniu, a właściwie w pomieszczeniu, które wcześniej służyło jako areszt policyjny. Nie wiem przez kogo mama otrzymała wiadomość od taty, a także pierścionek zaręczynowy, obrączkę i zegarek. Ponieważ strażnicy więzienni nie przygotowywali

posiłków, rodziny aresztantów zaopatrywały ich w żywność. Miało to dobre strony, bo tą drogą przekazywano informacje. I myślę, że w taki sposób dowiedzieliśmy się o możliwości zobaczenia się. Zaprzyjaźniona rodzina wpuściła nas na balkon swojego domu, z którego blisko było widać więzienie. Jego okna były wąskie, ale bardzo wysokie i zakratowane prętami. Ojciec podciągnął się na rękach, wiadomo, że nie mógł nic mówić, patrzył tylko na nas, a my na niego. Matka zapłakana mówiła do nas zapamiętajcie, zapamiętajcie ojca. Chyba coś przeczuwała. Braciszek miał 3 lata i nie bardzo rozumiał, o co chodzi. Nigdy więcej nie zobaczyliśmy taty. Ja miałam 7 lat i doskonale pamiętam widok ojca uwieszonego na kratkach celi.

Mama nadal pracowała w szkole. Zbliżała się rocznica rewolucji październikowej. U zaprzyjaźnionego Żyda kupiła cukierki na które otrzymała pieniądze od władz szkolnych, ale dzieci nie chciały ani cukierków, które były poukładane pod portretem Stalina, ani recytować wierszyków. Sabotowały występy. Mama uprosiła dziewczynkę, aby wyrecytowała wierszyk – Julciu, posłuchaj, mego męża zabrali, w domu została Rysia i Julek, proszę nie rób mi kłopotów, ja cię proszę, powiedz ten wierszyk. Zgodnie z planem 7 listopada odbyła się akademie, Julcia deklamowała wierszyk, ale im dłużej go mówiła tym obfitsze łzy spływały po jej policzkach.

Po kilku dniach od naszego spotkania ojciec został przewieziony do prawdziwego więzienia NKWD we Lwowie, na Brygidki. Ile w nim przebywał nie wiemy, bo raz przyjmowano paczki, innym razem nie. Mamy pokwitowanie, że otrzymał 70 rubli. Ale z pewnością ojca tam już nie było kiedy nocą, 13 kwietnia 1940 r. po nas przyszli.

## 2. Deportacja

Obudził nas łomot do drzwi, weszło kilku żołnierzy sowieckich z karabinami na których osadzone były bagnety oraz przedstawiciel wsi. Z tamtego zamieszania utrwaliły się w mojej pamięci wydawane rozkazy – zbierać się, zbierać, wszyscy jedziecie. Mama nie płakała, była zdenerwowana, ręce się jej trzęsły, ale nie płakała. Ubrała nas w grube płaszczyki, bo, mimo że to był kwiecień, ziemia pokryta była śniegiem. Zawieziono nas saniami na miejsce zbiórki. Znajdowało się ono między dworcami. Było to celowe działanie władz sowieckich, bo chcieli, aby ludzie, którzy nie byli przeznaczeni do deportacji nic nie widzieli i nie pomagali. Na miejscu zastaliśmy płaczące kobiety, dzieci i wrzeszczących enkawudzistów. Jakoś nas wreszcie załadowano do wagonów, zaryglowano drzwi i ruszyliśmy. We Lwowie doładowano resztę ludzi i pojechaliliśmy w stronę daleką nie wiedząc dokąd jedziemy.

Szczególnie wryło się w moją pamięć ogromne pragnienie, które towarzyszyło mi cały czas podczas pobytu w pociągu. Bardzo chciałam pić, braciszek także. Ciągłe płakał i prosił pić, pić. Ja nie prosiłam, bo wiedziałam, że nie ma, co pić. Dostawaliśmy raz na 2 dni, dwa wiadra wody, a ludzi było mnóstwo, dlatego wody nie wystarczało dla wszystkich. Nie tyle odczuwałam brak jedzenia jak wody. Jak przez mgłę pamiętam jakąś kaszę z oliwą smakującą jak pokost. Z domu mama wzięła wodę w butelce, nie wyrzuciła butelki i dzięki temu gdy udało się ją napełnić co jakiś czas po łyżeczce dawała nam pić. Pamiętam, że ciągle patrzyłam na mamy ręce, kiedy sięgnie i te dwie łyżeczki wody wpadną do mojej buzi. Do dziś dnia mam uraz, zawsze mam w domu

wodę chociaż wiem, że nie jest mi ona potrzebna, ale nie zasnę bez pewności, że zapas znajduje się w kuchni. Nie wiedziałam, że takie przeżycia tak głęboko zapisują się w świadomości i rzutują na całe życie.

Gdy pakowaliśmy się, nasza gospośnia wrzuciła na sanie worek z chlebem, w jednym z bochenków ukryła nóż. Tym nożem między deskami wydrążono dziurkę i dorosli przez nią patrzyli, bo do granicy z Polską okienka znajdujące się tuż pod dachem były na czarno zakryte i zadrutowane. Gdy te druty zdjęto, to w wagonie zrobiło się jaśniej i lżej było oddychać.

Mimo wyjątkowo podłego traktowania nas przez strażników, doświadczaliśmy dobroci ze strony zwykłych, rosyjskich ludzi. Gdy była możliwość, to po cichu podchodzili do wagonów i pytali jest „rebionok”, a potem na sznurku podawali np. pół litra mleka. Tak samo działało się, gdy nasze matki wyrzucały z wagonów karteczki z informacją o kierunku transportu i prośbą, aby je wysłać. Po latach okazało się, że dużo z nich doszło. Były to takie ludzkie odruchy, o których nie można zapomnieć w kontekście krzywdy wyrządzonej przez władze sowieckie i funkcjonariuszy NKWD.

Wagon zabudowany był dwoma rzędami prycz. Pod nimi znajdowały się bagaże, pakunki i różnego rodzaju tobołki. Przez cały czas siedzieliśmy na górnej pryczy, na dół nie schodziliśmy. Chyba pośrodku wagonu, znajdowała się toaleta, czyli dziura w podłodze. Gdy byliśmy już na stronie rosyjskiej, to pociąg się zatrzymywał między stacjami, otwierano drzwi i mogliśmy wychodzić i załatwiać się.

Z naszego transportu udało się uciec młodej dziewczynie, niestety enkawudziści ją złapali. Nie pamiętam czy był to wieczór czy noc, bo już zasypiałam, gdy mama mnie zbudziła powiedziała, posłuchaj i zapamiętaj. Było cicho, prowadzili ją wzdłuż wagonów, te kroki wydawały mi się takie głośne, ciężkie, głucho dudniące, a ona krzyczała mamó, nie płacz cud nad Wisłą był i będzie. Później rozległy się strzały, nie wiemy, czy one były nam na postrach, aby nikt nie uciekał czy naprawdę ją zastrzelili. Nikt tego nie wiedział, ale ludzie, którzy się obudzili zaczęli się modlić i śpiewać „Pod twoją obronę” i „Z dymem pożarów”.

O tym jak traktowali nas nadzorcy NKWD świadczy jedna z zapamiętanych sytuacji. Kobieta w zaawansowanej ciąży zaczęła mieć bóle, mama zaczęła krzyczeć dajcie wody, bo kobieta rodzi i umrze, a oni na to niech umiera, pochowamy ją. Jakoś szczęśliwie bóle ustąpiły i już w kołchozie chłopiec urodził się zdrowy.

Pociąg zatrzymał się na stacji w Dżurunie, niedaleko Aktubińska. Kazano nam wysiadać i zabrać ze sobą wszystkie rzeczy. Nikt nie wiedział co się dzieje, co mamy dalej robić. Pamiętam, że tą jedną noc siedzieliśmy w okolicach stacji na tych naszych tłumokach, trochę nam było zimno, bo to były chłodne, majowe noce. Rano, jak się później okazało, z różnych kołchozów przyjechali przedstawiciele, jakby kupcy po niewolników, bo każdy chciał zabrać ze sobą ludzi do roboty.

W naszym transporcie były akurat same kobiety i dzieci. W poprzednim jak i późniejszych transportach byli mężczyźni, dlatego, że deportowano Polaków całymi rodzinami. Transport z 13.04.1940 roku to rodziny mordowanych w tym czasie w Katyniu, Miednoje, Ostaszkowie, Bykowni oficerów, policjantów, żołnierzy. Ale o tym świat dowiedział się dużo później.

### 3. Kołchoz

Jakimś traktorem z przyczepą przywieziono nas do kołchozu Pachar, wieś Dmitrowka nr 8 rejon Dżuruński obwód Aktiubiński. Nie wiem ile osób przywieziono, w każdym bądź razie jak znalazłam listę ludzi, którzy byli kołchozie w 1941 r., a która zapewne sporządzona była na potrzeby rządu Sikorskiego, to znajdowało się na niej około 100 nazwisk. Były to osoby z dwóch transportów, czyli z lutego i kwietnia 1940 roku. Deportacja z 10 lutego objęła nawet te osoby, które przebywały w więzieniach. Zwalniano je, dołączano do rodzin i razem wywożono. W naszym transporcie jechały same kobiety; żony policjantów, wojskowych, leśniczych i nauczycielki – bo one także zaliczane były do wrogów. Według takiej hierarchii dla władzy radzieckiej większego wroga od mojej matki nie było, bo była nauczycielką a mąż nie tylko był policjantem, ale także żołnierzem Piłsudskiego walczącym w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku.

Po pierwszej nocy spędzonej w budynku szkolnym, mamy poszły szukać mieszkań, bo powiedziano im, że kołchoźnicy wypróżnili niektóre lepianki i muszą sobie same znaleźć lokum. Pouczono także, że jesteśmy specjalnymi przesiedleńcami i obowiązuje nas przede wszystkim obowiązek pracy i możemy się poruszać swobodnie tylko w promieniu 3 km. Kołchozy, w których rozmieszczono ludzi z naszego transportu oddalone były od siebie daleko, nie wiem jak to wygląda w kilometrach, ale miarą była odległość np. 3 dni jazdy wołami. Mieszkańcy byli dla nas życzliwi. Z opowiadań wiem, że gdy do sąsiedniego kołchozu dotarła grupa Polaków, których podobnie jak i nas pozostawiono bez żadnej pomocy i wystraszeni nie wiedzieli, co dalej ze sobą robić, zostali bardzo przyjaźnie powitani przez tubylców. Po krótkiej naradzie której przewodniczył najstarszy wiekiem Kirgiz lub Kazach kobiety z jurt zaczęły wnosić dzbanki z mlekiem i dawać je dzieciom.

Dom w którym zamieszkaliśmy, to lepianka wykonana z glinianych cegieł, których nie wypalało się w piecu tylko suszyło na słońcu. Dach wykonany był z krokwi, które jednocześnie były sufitem. Sień dzieliła lepiankę na dwie części, w jednej mieszkała właścicielka, a drugą zajęła mama z nami dwojgiem, pani Stasia z córeczką Basią i młoda żona oficera nazywana przez nas ciocią Emą. Zamieszkiwał a właściwie spał tylko zimą, bo całe lato pracował jako stróż w kołchozowym ogrodzie dziadek Basi. Jedyne mężczyzna, który znalazł się w całym transporcie. Ojciec pani Stasi, przyjechał do córki w odwiedzin. Nie był zakwalifikowany do wywiezienia, bo wcześniej zmuszony został do przyjęcia sowieckiego paszportu. Miał przy sobie ten paszport, ale żołnierze nie słuchali jego tłumaczeń, wzięli go na wszelki wypadek mówiąc, że zawsze może wrócić do Polski. Niestety nie wrócił, pozostał w kazachstańskiej ziemi.

Na drugi dzień po zajęciu lokum, a spaliśmy jeszcze na podłodze, bo nie było łóżek, mama zapytała gospodynię gdzie można kupić drzewo, bo przecież w okolicach Lwowa paliło się tylko drewnem. Na zadane pytanie usłyszała, „jakie drzewo?” „No a czym wy palicie w piecu? – Mama usłyszała wtedy po raz pierwszy obco brzmiące słowo „kiziak”. Wtedy to ona wyraziła zdumienie – a co to jest ten „kiziak”. Ponieważ rozmowa i tak niczego by nie wyjaśniła gospodyni zaferowała, że następnego dnia rano zagotuje nam czajnik wody abyśmy miały wrzątek na herbatę, a później pokaże jak się zbiera opał. Rzeczywi-



ście tak było, wszystkie zabrałyśmy worki. Dołączyła do nas pani Irma, młodziutka żona oficera, która później z ciotką Emą wstąpiła do Pomocniczej Służby Kobiet. Od naszej lepianki nie odeszłyśmy zbyt daleko, gdy gospodyni zatrzymała się i wskazując na zaschnięte odchody krowie powiedziała, że to jest właśnie „kiziak” i mamy go zbierać do worka, bo tym będziemy palić. Najbardziej tą pracą przerażona była Irma, która w białych rękawiczkach i z wielkim obrzydzeniem zmuszała się do podnoszenia tego łajna.

Nawiązując do tego opał wspomnę, że szczególnie trudno mieszkało się nam zimą. Gdy się paliło w naszej kuchni tym mało kalorycznym opałem, to ściany rozmarzały i woda ściekała, ale nocą ściany ponownie zamarzały. Wyglądało to może i bardzo malowniczo, bo mróz się pięknie skrzył, ale do snu musieliśmy się przykrywać wszystkim, co tylko było dostępne. Jednej nocy okazało się, że jakoś wysunęłam się spod tych okryć i przymarzłam do ściany. Nie wiem jak to było, bo jak się zbudziłam, to był jeden wielki ruch i krzyk. Pamiętam, że ciotka Ema złapała miednicę i bosko wyskoczyła po śnieg. Pozostali coś krzyczeli do mnie, szarpali, nacierali śniegiem i ręcznikami, a ja tylko pragnęłam, aby dali mi święty spokój. Było mi ciepło, dobrze, a oni robili wszystko, aby przerwać mi ten błogi stan. Okazało się, że byłam niebezpiecznie wychłodzona i nie było to tak przyjemne jak mi się wydawało. Mogło się to zakończyć moją śmiercią.

W kołchozie znajdowali się ludzie różnych narodowości, najwięcej było Kazachów i Kirgizów, wielu Ukraińców i Rosjan. Duża grupa pracowników przeznaczona była do wypasania bydła i owiec, a po 1941 roku, do pracy pozostały nam głównie woły, osiołki i wielbłądy. Opiekę nad deportowanymi sprawował oficer NKWD, ale nie mieszkał z nami, przyjeżdżał tylko od czasu do czasu na kontrole. Nasz kołchoz oprócz hodowli zajmował się uprawą roślin, głównie pszenicy, prosa i niezbyt dużej ilości słonecznika. Na tak zwanych *basztanach*, czyli stepowych ogrodach uprawiano melony i kawony. Pola były pilnie strzeżone, najczęściej jakiś starszy człowiek jeździł na osiołku i odstraszał potencjalnych złodziei, do których najczęściej należały dzieci. Mnie także namawiano do kradzieży, ale jak powiedziałam, że mama nie pozwala mi kraść, bo to jest grzech to usłyszałam od nich: „*Ot durak, to padochniesz od gołoda*”. W trakcie naszego pobytu na terytorium ZSRR bywały dni, kiedy nie mieliśmy nic w ustach.

Dorośli pracowali zazwyczaj w dużych odległościach od kołchozu, my dzieci, nieco bliżej. Pracowały wszystkie dzieci, nie tylko zesłańców. Można było plewić pola i warzywniki, pilnować zwierząt. Musieliśmy również truć susły. Występujący na terenie Kazachstanu suseł długoogoniasty jest pospolitym gryzoniem i szkodnikiem pól uprawnych. Zjada dosłownie wszystkie ziarna zbóż a i nie omija warzyw. Proceder zabijania tych zwierząt był okropny, tym bardziej, że dla mnie jako dziecka te stworzenia były bardzo sympatyczne i miłutkie. Do dziś pamiętam, że rano trzeba było iść do kołchozu ze swoją butelką, do której nalewano ciemno brązowego płynu i bardzo szybko ją zamykano. Musieliśmy mieć także trochę przygotowanych gałązek na czubku których znajdowały się waciki wykonane z burej bawełny. Były to tzw. „szariki”. Chodziliśmy dwójkami, jedna osoba niosła butelkę i waciki a druga łopatę. Para zatrzymywała się nad norką, jedna osoba szybko wrzucała namoczony w płynie „szarik” a druga natychmiast zasypywała go ziemią. Należało to robić bardzo szybko i sprawnie, bo ciecz z butelki w kontakcie z powietrzem natychmiast zamieniała się w gaz,

który drażnił oczy i drogi oddechowe. Zastawiano na susły także łapki, bo z nich ściągano skórki na futra. Bardzo cieszyłam się gdy dorosłym susełkom udało się uciec. Pewnego dnia, gdy szłam z mamą w parze, z norki wyskoczył młody osobnik i zamiast uciekać siadł przy kopczyku, przecierał łapkami pyszczek i płakał. Musiało coś w tym być i to nie było moje przywidzenie, bo mama wzięła go i włożyła do kieszeni. Siedział tam i spał do wieczora. Wieczorem, gdy wróciliśmy do domu, mama ugotowała na kolację kaszę kukurydzianą, którą jeszcze ktoś z Polski przysłał, bo dopóki wojna z Niemcami nie wybuchła, to do czasu do czasu przychodziły od rodziny jakieś paczki z sucharami, mąką, czymś trwałym. I dopiero jak nastąpiła ciemna noc i Jurek spał to poszliśmy z mamą daleko za kołchoz i tam wypuściliśmy malucha. Odbywało się to w pełnej konspiracji, bo mama za swój czyn mogła zostać oskarżona o sabotaż i srogo ukarana.

Do moich dziecięcych obowiązków należało także zbieranie opału na zimowe dni, oraz opieka nad Jurkiem. Na zbieranie opału najczęściej wybierałam się z kolegą Jasiem, bo mieliśmy podobne obowiązki, ja opiekowałam się swoim braciszkiem, a on swoim. Najłatwiej nam było pracować, gdy braciszków nosiliśmy „na barana”, bo wtedy ręce były wolne i swobodnie mogliśmy do worków wrzucać „kiziak” oraz wyschnięte byliny, a maluchom nie groziło ukąszenie żmii. W końcu kwietnia na stepie pojawiały się łany tulipanów, kolorowych roślin i różnorodnych traw. Step wyglądał wtedy bardzo malowniczo. Jednak do końca czerwca wszystko już zazwyczaj było wypalone i właśnie te pozostałości zbierało się do palenia.

Pamiętam, że pewnego dnia, gdy byliśmy na podwórku, wozem drabiniastym przywieziono mamę z pola i starano się ją oprzeć o stojącą w pobliżu beczkę, ale mama strasznie jęcząc osunęła się na ziemię. Osoby, które ją przywiozły narobiły krzyku i do pomocy przybiegły dwie starszki. Gdy ułożyły mamę na łóżku, zawołały mnie, uklęknęły i zaczęły się modlić. Ale modliły się nie o uzdrowienie, ale o duszę mamy, za zmarłą mamę. Byłam przeświadczona, że mama żyje i nie mogłam tego słuchać, tym bardziej, że zawodziły jakimś wiejskim slangiem i w międzyczasie same tworzyły słowa modlitwy – Matko przenajświętsza przyjmij tę zmarłą kobietę do raj. Wybiegłam na zewnątrz i pamiętam, że biegałam w kółko, ale nie wiem, dlaczego, a w myślach prosiłam mamę: „mamusiu nie umieraj, mamusiu nie umieraj”, a z drugiej strony myślałam; „Boże, co ja zrobię z Jurkiem, co ja mu dam jeść, gdzie będziemy mieszkać, jeśli mamy nie będzie, co zrobię?” Prerażenie moje było ogromne, po jakimś czasie, nie wiem jak długo to trwało, obie kobiety wyszły i jedna z nich powiedziała do mnie – żyje. Strwożona weszłam do lepianki, mama leżała na łóżku, była taka blada, prawie niebieska, ale żyła. Po raz pierwszy w swoim krótkim życiu zrozumiałam, że mogłam mamę stracić. Tak bardzo się tym przeraziłam, że spokojna byłam tylko wówczas kiedy ją widziałam. Jeśli musiała iść do pracy gdzieś daleko lub gdy traciłam ją z oczu, stawałam się niespokojna, wpadałam w panikę i zaczynałam płakać. Nie dawałam sobie rady z tym uczuciem, które mnie dopadało i uniemożliwiało jakiejkolwiek funkcjonowanie. Znowu zadziały te starsze panie. W dobrej wierze przekazały mi, że jak dotąd mama nie umarła, ale jeśli nadal będę tak płakać to mama niestety umrze, i to umrze przeze mnie. Byłam tymi słowami ogromnie przerażona, jak to możliwe, że przyczynię się do śmierci mamy? Jak zatrzymać łzy, jak opanować strach? Wiedziałam, że nie mogę płakać, ale nie mogłam się powstrzymać.

W tych momentach napadu panicznego strachu zapychałam sobie buzię rękawem wełnianego swetra albo gryzłam rękę. Trudno mi dziś oddać emocje z tamtego okresu, ale łatwo sobie wyobrazić rozterki i myśli małej dziewczynki, bo przecież pomimo tego, że byłam dziecina byłam jeszcze dzieckiem, które szybko musiało dorosnąć do obowiązków będących domeną ludzi dorosłych. Byłam bezradnym dzieckiem w obcym kraju z dala od bliskich, zdana na samą siebie. Latem raniuteńko mama szła na pole, a ja z Jurkiem zbierać „kiziak”. Pod wieczór gdy mama przychodziła do domu zmęczona to paliło się w piecu, coś tam mama robiła do jedzenia i padliśmy spać. Nie było czasu na okazywanie uczuć, pieszczot i przytulania, chociaż mama wykorzystywała każdą sytuację aby to robić oraz nas wspierać i uczyć. Czas spędzany z Jurkiem zacieśnił bardzo nasze siostrzano-braterskie więzy, lubił, gdy wspominałam rodzinny dom, opowiadałam bajki, do kanonu bajek zaliczałam też opowiadanie na jego prośbę jak wyglądają cukierki. Był ładnym, grzecznym i bardzo sympatycznym chłopcem. Bardzo często podczas kołchozowych spotkań z Rosjanami, na ich prośbę stawał na przyzbie śpiewał lub recytował różnego rodzaju piosenki i wierszyki. Ten, który zapamiętałam cieszył się wśród słuchaczy największą popularnością;

Nasze małe żołnierzyki na placówkach stoją  
i ćwierkają bolszewikom, że się ich nie boją.  
Tam żołnierze zawodowi tu małe dzieciaki  
mają tylko do obrony ducha i kułaki.

I pokazywał słuchaczom małe piąsteczki. Mama zaś w tym czasie truchlała ze strachu, ale nie mogła nic zrobić. Przygodni słuchacze słysząc słowa bolszewik nie reagowali wrogo, bo uważali, że malec chwala bolszewików.

Gdy skończyły prace polowe, czyli pod koniec września lub października rozpoczęłam edukację w szkole. W swoim uczniowskim życiu ukończyłam klasę I polskiej szkoły podstawowej, klasę pierwszą ukraińskiej szkoły podstawowej a teraz nastał czas na naukę w klasie pierwszej rosyjskiej szkoły podstawowej. Szkoła podstawowa była do klasy czwartej, od piątej do siódmej niepełna szkoła średnia a po ukończeniu 10 klas uzyskiwało się wykształcenie średnie. Pamiętam, że siadałam do ławki razem z Jasiem. Niestety rozmawialiśmy między sobą po polsku i rosyjska nauczycielka strasznie nas skrzyczała i rozsaadziła. Siedziałam z Wanią, który wkrótce w dowód sympatii podarował mi medal. Jak się w domu okazało był to medal bezbożnika. Dzieci rosyjskie wychowywane były w duchu ateizmu. Jeden z moich kolegów Boria, tak mówił do mamy, ciocia Nela, bo tam wszystkie młode osoby to były ciocie lub wujkowie a starsi to *dieduszka* i *babuszka*, „Boga nie ma, ale jak ja go złapię, to tak go spiorę że się nie pozbiera”.

Ze szkoły pamiętam także inne przeżycie, pewnego dnia rano Wania powiedział do mnie, że mój ojciec był „*bandit*”. Nie zastanawiałam się wcale jak na to zareagować, bo rzuciłam się na niego jak mały kotek, złapałam za włosy, szarpałam i przez cały czas głośno płakałam. Jak nas rozdzieli to miałam pełną garść włosów. Jako osoba dorosła zrozumiałam, że nie chciał mi dokuczyć, powtórzył tylko to co usłyszał w domu, ale wtedy czułam się tak strasznie skrzywdzona, że było mi wszystko jedno, co dalej ze mną będzie. Gdy byłam w klasie drugiej mama zdecydowała, że wystarczy mi już tej rosyjskiej szkoły

i że dalszą moją nauką sama się zajmie. Było to tym bardziej uzasadnione, że mama dbała o naszą – polskich dzieci edukację, wieczorami szczególnie w okresie jesienno-zimowym siadaliśmy wokół mamy, która opowiadała nam baśnie i legendy np. o Lechu, Czechu i Rusie, o tym jak powstała Polska, jakie są zwyczaje i tradycje. Uczyła nas katechizmu na podstawie zabranej z Polski biblii. Wkrótce okazało się, że była nam ona bardzo przydatna.



I Komunia św. (w stroju krakowskim autorka)

Nie wiem, w jaki sposób mama dowiedziała się o tym, że biskup połowy Józef Gawlina, który przebywał w ZSRR w 1942 r. postarał się o rozlokowanie w większych miastach, w których skupiali się Polacy kilku księży, którzy objęli

opieką duszpasterską ludność cywilną. Udało się jej skontaktować z księdzem Janem Kapustą, salezjaninem, który po zwolnieniu z łagrów działalność duszpasterską prowadził w Kazachstanie i objeżdżał teren Dżurunu i Aktiubińska. Na przygotowanie nas do sakramentu pierwszej komunii świętej miała około 3 dni. Była nas szóstka, cztery dziewczynki i dwóch chłopców. Msza święta odbyła się w jednej z lepianek specjalnie do tej uroczystości przygotowanej. Nasze mamy wraz z Ukrainkami, które czynnie włączyły się do pomocy wybieliły ściany i udekorowały izbę. Pamiętam, że byłam odświętnie ubrana w strój krakowski. Dlaczego w krakowski? – Podczas deportacji ludzie wkładali do bagażu różne rzeczy, jedną z takich był właśnie ten strój, moja koleżanka miała sukienkę robioną na drutach. Na pamiątkę sakramentu otrzymaliśmy krzyżyk i obrazek.

Mama opowiadała i uczyła nas także dużo o otaczającej nas rzeczywistości, jednego dnia zaprowadziła mnie na cmentarz Kirgizów i pokazała ich groby. Powiedziała, że ceremonie pogrzebowe w różnych religiach mają swoisty charakter. Ciało zmarłego Kirgiza owijało się w płótno i umieszczano w pozycji siedzącej twarzą skierowaną w kierunku Mekki. Wykopanej jamy w ziemi nie zasypywano lecz przykrywano deskami i zabezpieczano gliną. Zupełnie inaczej niż w naszej tradycji wyglądał pierwszy katolicki pogrzeb szesnastoletniego Polaka, który zgiął śmiercią tragiczną podczas prac polowych. Na cmentarz przyszli prawie wszyscy mieszkańcy kołchozu. Pochówek odbywał się bez księdza, Polacy śpiewali pieśni religijne, a prawosławni i grekokatolicy uczcili zmarłego według swojej tradycji przygotowując tzw. „*koływo*”, którym częstowano żałobników. Zazwyczaj przygotowywało się go z gotowanego ryżu, miodu i rodzynek. Ponieważ ryżu nie było, wykorzystano ziarno pszenicy i suszone owoce.

Na wiosnę 1942 r. otrzymałam od cioci Army dwie używane, ale bardzo ładne sukienki, które mama miała tak przerobić, aby na mnie pasowały. Sukienki cioci nie były już potrzebne, bo razem z innymi młodymi dziewczynami ruszyła w kierunku Buzułyku zasilić oddziały pestek. Pod koniec 1941 r. z inicjatywy gen. Władysława Andersa podczas tworzenia Polskich Sił Zbrojnych powołano Pomocniczą Służbę Kobiet (PeStKi), popularnie zwaną „*pestki*”. Ochotniczki pracowały nie tylko w szeregach wojska, ale także w szpitalach, kuchniach, w szkołach dla sierot, jako personel administracyjny. Irma zostawiła mamie siedem serwetek wykonanych ręcznie – 6 małych i jedną dużą, mówiąc „*Wie pani, to nie jest duża wartość, ale dla mnie mają ogromną wartość sentymentalną i dlatego chciałabym aby pani przywiozła je do Polski*”. I ja te serwetki przechowuję do dzisiaj, bo mama cały czas je pilnowała. Mimo poszukiwań, nie udało mi się znaleźć Army. Posiadam także zdjęcia 2 chłopców – synów nauczycielki, która zaginęła i nie wiadomo, co się z nią stało. Miała jechać do Aktiubińska, jeszcze mama pomogła jej wsiąść do pociągu i ślad po niej zaginął. Chłopcy byli w naszym domu dziećmi, poszukiwałam ich w Polsce, ale nigdy nie trafiłam na ich ślad.

Kazachstan jest ogromny, tam gdzie my byliśmy, w lecie bywało bardzo gorąco, dlatego w ciągu dnia pracy przewidziane były dwugodzinne przerwy. Do pracy w polu brygada jeździła wozem z plandeką, by przez okres upału móc schronić się w jej cieniu, bo inaczej można było dostać udaru. W zimie natomiast bywało strasznie zimno, występowały duże opady śniegu, często pojawiał się „*buran*” – czyli silny wiatr, taka śnieżna burza. Doskonale pamiętam pierwszy buran, bo strasznie wtedy wyło i śnieg w całości zasypał naszą lepiankę, a komin

znajdował się niżej niż pokrywa śniegowa. Gdy tunelem w śniegu do nas dotarto nie mogłam zrozumieć, że tak wysoko, gdzieś pod niebem kończy się śnieg.

Z okresem zimowym wiążą się także kłopoty z wodą do picia dla ludzi i zwierząt. Studnie były bardzo głębokie i jak ciągnięto wodę do góry, to z wiader woda się wychlapywała. Chlapała, chlapała i zamarzała. Po pewnym czasie otwór był już tak wąski, że wiadro się nie mieściło, woda w studni była a nie można jej było wydostać. Początkowo rozpuszczano śnieg i gorącą wodą polewano zamrożony otwór, a gdy nie dało się go poszerzyć to w wiadrze spuszczano chłopca, który obrąbywał lód. Nie było to jednak bezpieczne zajęcie, ale nigdy nie doszło do żadnej tragedii.

#### 4. Dżurun

Po zawarciu układu Sikorski – Mąjski na uwolnienie mogły liczyć między innymi deportowane rodziny. Wiadomości jednak docierały z opóźnieniem i gdy tylko na jesieni 1942 roku okazało się, że mimo zerwania umowy możemy opuścić kołchoz wyjechałyśmy do Dżuruna. W kołchozie na lepsze życie się nie zapowiadało, a mama miała nadzieję, że do Polski będzie łatwiej wrócić z miasta. Dżurun, to było małe powiatowe miasteczko, składające się z lepianek – szpital to była lepianka, NKWD lepianka itd. Miasto podzielone było na dwie części, a to za sprawą przebiegających torów, po których kursowały prawie bez przerwy pociągi, jedne z bronią, inne z rannymi. Szczególnie dużo było pociągów sanitarnych.

Na początku po przyjeździe do Dżuruna pracowaliśmy z mamą w artelu „Drużba” to coś tak jakby spółdzielnia. Na front potrzeba było dostarczyć żołnierzom rosyjskim ubrania. Ja gręplowałam wełnę ręcznie, bo nikomu nie przyszło do głowy, że można wykorzystać maszyny, inne kobiety przędły, jeszcze inne dziergały skarpetki, rękawiczki, swetry itd. Mama miała przydział na chleb, co nie znaczyło że dostawała chleb. Dostawy nie były codzienne a jeśli w określonym czasie się go nie odebrało, to przydział przepadał. Rosjanki odpowiadały, „*piereżyła, eta charaszo*”. Trudność w zrealizowaniu kartek polegała także na tym, że można było go dostać tylko w budce na bazarze, który znajdował się po drugiej stronie miasta. Aby przedostać się na bazar należało pokonać chyba 9 torów, po których cały czas odbywał się ruch pociągów. Nauczyłam się obserwować parę wydobywającą się z lokomotywy i na tej podstawie rozpoznawałam, czy pociąg jeszcze stoi czy tylko czeka na znak do ruszenia i decydowałam czy zdążę razem z Jurkiem przejść pod wagonami.

Z okresu pracy w artelu pamiętam, moje pierwsze zetknięcie z realizmem wojny. Każdy z pracowników dostał po trzy płaszcze żołnierskie do uprania. Mama rozkładała je kolejno na podłodze i za pomocą rozsypywanej na szyniele kredy szorowałyśmy je i splukiwały wodą. Czynności te powtarzałyśmy wielokrotnie, aż do momentu, kiedy woda stała się w miarę czysta. Wykorzystywałyśmy zmieloną kredę, bo nie było mydła. Przy jednym z mundurów mama zwróciła moją uwagę na to, że pochodził on od rannego żołnierza, który otrzymał strzał z przodu ciała, bo w nim była tylko mała dziurka wlotowa, natomiast tył cały był sztywny od zaschniętej krwi.

Do moich obowiązków należało także przynoszenie wody, która z rzeki Ilek (prawy dopływ rzeki Ural) ciągnięta była do wieży ciśnień i dopiero z niej można było mieć wodę do picia.

Cechą charakterystyczną kazachstańskiego klimatu były silne wiatry. Szczególnie groźne były te wiejące późnym latem, bo miały wtedy ogromną siłę. Jedna z takich trąb powietrznych rozniosła w drobny mak drewniany płot chroniący torowiska przed zasypywaniem przez śnieg. Wyrwane jak zapałki, elementy płotu rozrzucone były na dużej powierzchni miasta. Rosjanka, która w pobliżu nas mieszkała, powiedziała do mnie, biegnij, weź, trochę tych desek, będziesz miała czym palić. Poszłam i przyciągnęłam kilka. Wiedziałam, że te deski są państwowe, bałam się milicji, może nie tyle milicji jak NKWD, dlatego schowałam je do rozwalonej lepianki i tam za pomocą noża i kamienia odłupywałam po kawałku drewniane szczapki. Wydawać by się mogło, że rozpalanie ognia nie nastreczało kłopotów. Była to prawda tylko w takiej sytuacji, gdy w domu były zapałki. A niestety to była rzadkość. Zazwyczaj radziliśmy sobie za pomocą sąsiedzkiego wsparcia. Gdy widać było dym unoszący się z komina szło się do tego domu i prosiło gospodarzy o łyżkę ognia. Gdy pomoc sąsiedzka zawiodła, trzeba było samemu skrzesać ogień. Brało się kawałek metalu, kamyczek, szarik i tak długo uderzało kamyczkiem o metal, aż pojawiała się iskra. To było krzesiwo.

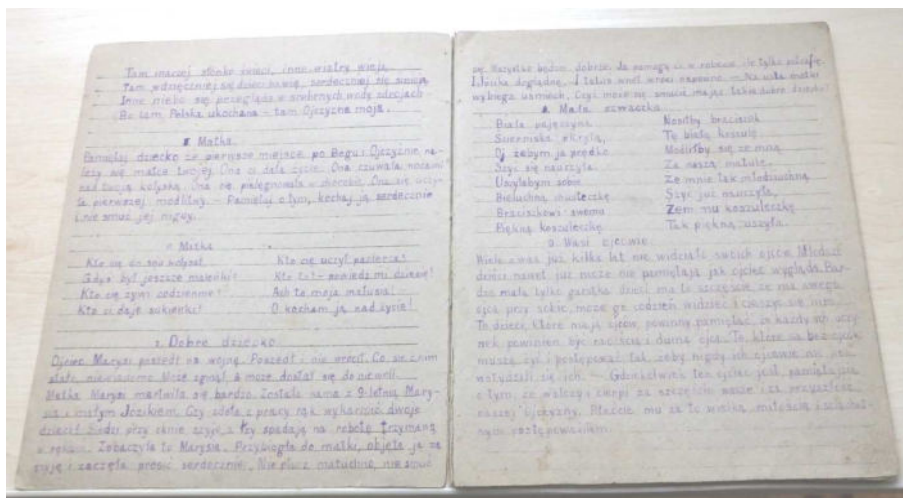
Wydawało mi się, że jakoś sobie radzimy w tych trudnych czasach i to tylko kwestia czasu, kiedy wrócimy do Polski. Ale kłopoty i nieszczęścia nie omijały nas i wciąż musiałam zdawać egzamin z życiowej zaradności. Drugi raz od czasu deportacji mama ciężko zachorowała, chyba na zapalenie stawów, bo była opuchnięta, miała gorączkę i leżała nieprzytomna. W domu nie było opału, zapałek i jedzenia, był tylko 7 letni brat i ja, Boże i co mam zrobić? Ktoś poradził mi, aby robić okłady. Pamiętam, że grzałam piasek i takie gorące woreczki przykładalam mamie na opuchnięte miejsca, a na serce zimny kompres. Kirgizka, która w pobliżu mieszkała dała mi jakieś zioła. Ale, aby mieć czym rozpalić w piecu, musiałam bardzo wcześnie wstać i biec na step gdzie zbierałam różne trawy na opał. Wracałam do domu, grzałam piasek i parzyłam ziółka. Musiałam także zatroszczyć się o jedzenie. Kolejny raz dokładnie przeszukałam walizkę, znalazłam w niej jakieś koraliki, używane wstążki, odprułam kilka guzików i poszłam na bazar. Za to wszystko dostałam szklankę kaszy jaglanej, którą wykorzystałam na przygotowanie dwóch posiłków.

Tak naprawdę głód zaczął nam doskwierać już pod koniec pobytu w kołchozie, ale nie było takich sytuacji abyśmy przez cały dzień nic nie jedli. Natomiast okres pobytu w Dżurunie to ciągłe poszukiwanie pożywienia i dwudniowe lub trzydniowe okresy zupełnego postu. Szczególnie dotkliwy był rok 1943 i to nie tylko dla nas zesłańców, ale także dla wszystkich mieszkańców. Nasza gospodyni, aby przeżyć z całą swoją rodziną wyjechała do kołchozu. Wszystko co tylko było możliwe wysyłano na front, a gdy zerwana została umowa Sikorski – Majski skończyły się dary rzeczowe. Jednego dnia mama przyprowadziła Rosjankę, która chciała kupić pierścionek. Był to pierścionek z brylantem. Gdy okazało się, że nie miał czerwonego oczka Rosjanka nie bardzo była zainteresowana jego zakupem, mama zaś była bardzo zdeterminowana zdobyciem czegokolwiek do jedzenia, bo już od trzech dni nic nie jedliśmy. W efekcie targu pierścionek z brylantem został wymieniony na 4 półlitrowe



garnuszki połamanego ryżu. Gdy mama wyjmowała z walizki pierścionek uwagę Rosjanki przykuła czerwona wstążka, z której jeszcze w Wołowym mama zawiązywała mi kokardę we włosach. I ta wstążka stała się kolejnym celem zakupu, ale w tej sytuacji mama nie określiła ceny, bo jak porównać pierścionek z brylantem do używanej wstążki. Rezolutnie zapytała Rosjankę – „A ile dacie?” Okazało się, że wstążka dla niej warta była pół garnuszka ryżu. Cóż więcej można powiedzieć!

Z okresem głodu kojarzy mi się także kawior. Mama poprosiła znajomego, polskiego Żyda, który wyjeżdżał poza Dżurun w poszukiwaniu żywności, aby i dla nas zakupił cokolwiek do jedzenia. Dała mu 5 litrową bańkę, mając nadzieję, że uda się kupić jakąś kaszę, makaron, mąkę w najgorszym przypadku jakieś suchary. Otrzymała zaś całe naczynie wypełnione rybnią ikrą tzw. kawio-rem. Była to brudno granatowa galareta, w której znajdowały się pojedyncze jajeczka i kryształki soli. Do przygotowania kawioru pobraną ikrę soliło się, aby zabezpieczyć ją przed zepsuciem i zlepianiem się jajeczek. Ale wiadomo, głód zmuszał do kradzieży. Aby waga produktu się zgadzała, każdy kto ukradł kawior to dosypywał soli. Gdy już sól nie mogła się rozpuszczać, to pozostawała w postaci niezmięnionej czyli grubych kryształków. I taki kawior zjadaliśmy na śniadanie, obiad i kolację. Brało się łyżkę tej gorzkiej i słonej mazi i popijało garnuszkiem gorącej wody. Po 2 tygodniach takiego jedzenia do końca życia nie tknę tego rarytasu.



Książeczka napisana przez mamę – Anielę Franczuk i jeden z tekstów

Jurek jak tylko mógł też starał się nam pomóc. Pamiętam, że od kogoś dowiedział się, że na dworcu pękła cysterna i wycieka z niej ropa, którą można palić. Znalazł jakieś 2-3 puszki po wojskowych konserwach wyrzucanych z pociągu i po próbie palenia przeprowadzonej z mamą zaczął przynosić to paliwo i gromadził tuż przed lepianką w wykopanym dołku. Co prawda było ono mało kaloryczne, ale przez kilka dni mogliśmy odпочząć od zbierania *kiziaku*.

W Dżurunie zaczęła się masowa paszportyzacja Polaków, zaczęli nam na siłę przyznawać obywatelstwo radzieckie. Wybór był – albo paszport, albo wię-

zienie. Rozterek nie miały matki, które wiedziały, że jeśli nie podpiszą, to idą do więzienia, a dzieci zabiorą do sowieckiego domu dziecka.

Gdy powstał Związek Patriotów Polskich objął swoją opieką założony jeszcze za czasów Sikorskiego sierociniec, w którym mama zaczęła pracować. Polski dom dziecka składał się z niewielkiego pomieszczenia, w którym rozłożono jeden przy drugim 40 sienników. Nie było krzesła, stołu, nie było nic. Była to jednocześnie sypialnia, jadalnia i miejsce do nauki. Personel składał się z trzech osób; kucharki, pani Halinki Kępskiej, która starała się o żywność oraz mamy, która była nianią, wychowawczynią i nauczycielką. Pani Halinka wychodziła na cały dzień w poszukiwaniu jedzenia i dzięki jej zaradności można było dać dzieciom po kawałku chleba. Niestety mimo tych starań stale odczuwaliśmy ogromny głód. Gdy dzieci zaczęły jeść jakąś trawę, zaniepokojone panie zwróciły się do lekarza o opinię. Okazało się że jest to dziki czosnek i że tak naprawdę w sytuacji małej ilości pożywienia powinno się go jeść, bo dostarczał cennych witamin.

W sierocińcu był jeszcze osiołek, dzięki któremu woziło się ciężkie rzeczy np. opał, chleb, od czasu do czasu jakąś kaszę. Wykorzystywany był nie tylko do transportu artykułów żywnościowych, ale często przewoził zwłoki osób, które zmarły. Nie było trumien, a umarłego trzeba było zaszyć w jakimś worku i dopiero można było go pochować.

Mama organizowała zajęcia, uczyła polskich liter, pisowni, czytania i rachunków. Ręcznie pisała podręczniki, w których przekazywała najważniejsze treści; dlaczego trzeba się uczyć, kim jesteśmy, uczyła miłości do rodziców, do Boga i ojczyzny.

Ojczyzna  
 Czemuś od nas tak daleko Polska matko nasza?  
 Czemu nas po obcych ziemiach zły wiatr porozpraszał?  
 Kiedy Bóg się ulituje nad nami biednymi  
 I pozwoli nam powrócić do rodzinnej ziemi?  
 Tam inaczej słońko świeci, inne wiatry wieją.  
 Tam wdzięczniej dzieci się bawią, serdeczniej się śmieją,  
 Inne niebo się przegląda w srebrnych wody zdrojach  
 Bo tam polska ukochana – tam Ojczyzna moja.

O tym, jaki był poziom nauczania w polskiej szkole niech zaświadczy zachowany w mamy dokumentach:

#### **PLAN NAUCZANIA W SIEROCIŃCU POLSKIM W DŻURUNIE**

– na miesiąc marzec

##### **Język polski**

##### **Klasa I**

Czytanie przez nauczyciela bajki o Czerwonym Kapturku i o Jasiu i Małgosi. Rozmowy z dziećmi na tematy z życia codziennego i rozmówki okolicznościowe. Rozkładanie zadania na wyrazy i wyrazów na głoski. Pisanie liter: d, m, n, k, t, l, b, s, r, c, p, A, O, g. Wyodrębnianie ich w wyrazach i kreślenie.

##### **Klasa II**

Głośne poprawne czytanie przez dzieci. Opracowanie czytanek; Dobre dziecko, Mała szwaczka, Wasi ojcowie, Rozmowa z ojcem. Rozpoznawanie wielogłoskowości wyrazów. Wyszukiwanie i pisanie wyrazów na oznaczone głoski (litery). Pisanie ze słuchu.

**Klasa III**

Poprawne czytanie ze zwróceniem uwagi na interpunkcję. Opracowanie czytanek; Kogut Weroniki, Skrzat w komorze, Moja chata, Stara prządka. Miękczenie przez i i za pomocą kreski. O zmieniające się na ó. Ćwiczenie i pisanie ze słuchu.

**Klasa IV**

Głośne, wzorowe czytanie dłuższych opowiadań. Próby streszczenia przerebionych czytanek. Samodzielne opowiadanie. Pisanie krótkich opowiadań na tle przeżyć dzieci. Ćwiczenia w użyciu ó i u, ż i rz. Pisanie końcówek; p, b, f, w. Rozwijanie zdań prostych. Określanie podmiotu i orzeczenia. Prawidłowa budowa zdań.

**Rachunki****Klasa I**

Dodawanie i odejmowanie w zakresie 10. Rozwiązywanie zdań złożonych. Zadania mieszane. Ilość dni w tygodniu i ich nazwy. Przekroczenie 10. Numeracja liczb w zakresie 20. Dodawanie i odejmowanie w zakresie 20 z specjalnym uwzględnieniem progu dziesiętkowego. Ilość miesięcy w roku i ich nazwy.

**Klasa II**

Dalsze powtarzanie materiału I klasy drogą ćwiczeń. Rozwiązywanie zadań na 1-2 działań w zakresie 100. Dodawanie i odejmowanie liczb mianowanych. Tabliczka mnożenia.

**Klasa III**

Piśmienne dzielenie przez pełne dziesiątki i przez liczbę jednocyfrową. Rozwiązywanie zadań na 3-4 działania. Nawiasy. Przekraczanie tysiąca. Podział liczb na klasy (dziesiętny). Numeracja liczb wielocyfrowych. Ćwiczenia w bieżym ustnym odejmowaniu w zakresie 100.

**Klasa IV**

Odpowiednie do planu przerebionego w szkole. Cztery działania w zakresie miljarde. Rozwiązywanie zadań na 3-4 działań. Działania na liczbach wielomiejscowych.

**Historia****Klasa IV**

Według lekcji szkolnych uzgodnionych z dyrektorem Szkoły polskiej. Specjalne zwrócenie uwagi i podkreślenie stosunku Niemców do Polski, począwszy od czasów Piastów.

**Przyroda****Klasa III**

O glebie i jej składnikach. Gлина, piasek, czarnoziem. Przepuszczalność wody i inne ich właściwości. Działanie ciepła i zimna na górskie skały. Powstanie gliny i piasku. Zużytkowanie ich w budownictwie. Cegielnie, garncarnie i huty szklane.

**Klasa IV**

Według lekcji uzgodnionych z dyrekcją szkoły polskiej

Geografia również według lekcji szkolnych.

Śpiew – wszystkie dzieci uczą się razem. Przerobię piosenki „Parla Kasieńka”, „Tam koło młyna”, „Dwa wróbelki” i „Rotę”. Łatwiejsze piosenki na dwa głosy.

**5. Aktubińsk**

Aktubińsk, to miasto, do którego przyjechałyśmy w maju 1944 r. z pozwoleniem na utworzenie większego domu dziecka. W nim po raz pierwszy od wywózki zobaczyłam drzewa, były to akacje i nie bardzo przypominały nam mi drzewa bo rosły w formie krzewiastej.

Jeszcze nie było dla nas wyznaczonego lokalu więc za jakieś wymienione rzeczy mama z koleżanką wynajęły lepianki. Pierwsze dzieci przybyły 8 maja, było ich sześcioro. Początkowo spaliśmy na siennikach wszyscy razem, ale już na początku jesieni otrzymaliśmy swoje lokum. Z tamtego okresu pochodzi piosenka ułożona i śpiewana przez dzieci.

A nasz sierociniec jest bardzo kochany  
Choć ma dach dziurawy i przewiewne ściany  
Pełno w nim radości i gwaru wielkiego,  
Chociaż czasem mało chleba powszedniego.  
Pani dyrektorka po urzędach puka  
Dla swojej dzieciarni pożywienia szuka  
Pani Dyrektorko, daj ci Boże zdrowie,  
że swym trudem trzymasz, to sieroce mrowie.  
Nasza panna Tosia to dobra kucharka  
Czasem da do zupy na dwóch po pół skwarka  
Kuchareczko nasza nie żałuj nam szperki  
daj po pełnej misce kaszy lub zacierki

Poprzednio w tym budynku mieściła się szkoła, później szpital. Na parterze utworzono rosyjski dom dziecka, a na piętrze nasz, polski. Do naszego domu dzieci przybywały lawinowo, znajdowano je głównie na dworcach, wałęsające się po ulicach, czasami NKWD przyprowadzało jakiegoś malucha. Kierownictwo otrzymywało porcje żywnościowe zawsze dla mniejszej liczby dzieci niż wynosił stan rzeczywisty, np. przydział obliczony dla 100 osób, a dzieci przebywało 150. I tak oto małe porcje trzeba było jeszcze dzielić na mniejsze.

Mimo, iż w jednym budynku mieściły się dwa domy dziecka, nie mieliśmy wspólnych zajęć, zabaw, tylko nasze delegacje wzajemnie uczestniczyły w akademiach organizowanych np. z okazji rocznicy rewolucji październikowej lub święta 1 Maja. Naszym nauczycielkom przy tej okazji udawało się przemyścić nieco tekstów i piosenek dotyczących Konstytucji Majowej. W mieście był park, a w nim letnie kino. Od czasu do czasu po zakupieniu biletów wstępu chodziliśmy na filmy. Tam też po raz pierwszy obejrzałam film w kolorze, był nim „Złodziej z Bagdadu”

Jak wyglądało nasze życie w domu dziecka najlepiej odzwierciedli sprawozdanie mojej mamy, które napisała na potrzeby jakiegoś urzędu, a które w formie brudnopisu zachowało się do dnia dzisiejszego (zachowana oryginalna pisownia):

Aby dać wyrazisty obraz życia i pracy naszego sierocińca, nie ograniczę się w sprawozdaniu do samego pierwszego półrocza tego roku szkolnego, lecz cofnę się wstecz do początku 1945 r.

Na 1. Stycznia 1945 r. kontyngent sierocińca wynosił 100 dzieci. Na tyleż dzieci był ułożony nasz budżet. Dzieci jednak z każdym dniem przybywało, tak, że na 1. lipca 1945 r. liczba ta wzrosła do 133. Dzieci wyszły z zimy dość słabe, wskutek chorób, jakie zimą tutaj panowały. Wskutek usilnych starań kierownictwa i pracowników, przy pomocy miarodajnych czynników rządowych, stan ten został prawie całkiem likwidowany. Dzieci nabrały sił, z zapalem zabrały się do pracy nad nauką szkolną i tak że koniec roku szkolnego nie przyniósł dzieciom ni kierownictwu żadnych przykrości. Wszystkie dzieci sierocińca, będące uczniami szkoły polskiej w Aktiubińsku a było ich 127, przeszły do klas wyż-

szych z wyjątkiem kilkorga nieklasyfikowanych z powodu długiej, ciężkiej choroby. Wakacje dzieci spędziły na podchozie (wyjaśnienie, odpowiednik polskiego PGR). Wyjątek stanowi grupa dzieci najmłodszych i dzieci słabych. Dzieci używały tam ruchu na świeżym powietrzu, kąpały się w rzece i pomagały przy pracy na roli. Miejsowość jednak, gdzie znajdował się podchoz okazała się malaryczna i wszystkie dzieci nabawiły się złośliwej malarji, która bardzo zrujnowała ich zdrowie. Pomimo usilnych starań zapobiegawczych, stan ten trwał dość długo, tak że początek obecnego roku szkolnego zastał dzieci słabe i bardzo wycieńczone. Kierownictwo sierocińca poczyniło starania u władz miejscowych, zaalarmowało Komisję Opieki Społecznej, zdobyło wszelkie możliwe fundusze i pomoc i postawiło dzieci na nogi. Na dzień dzisiejszy nie ma w sierocińcu ani jednego dziecka poważniej chorego, a wygląd ich nie pozostawia nic do życzenia. Jest wprawdzie kilkoro dzieci słabych, zagrożonych chorobą płucną, ale są to takie dzieci, które już do sierocińca przybyły w stanie pozostawiającym dużo do życzenia. Robi się jednak, co można, nawet więcej niż można, aby ten stan usunąć. Dzieci te są na specjalnych prawach, żywienie ich nie jest ograniczone ani normą ani porą dnia. Są one pod opieką lekarza i siostry – pielęgniarki, która czuwa nad polepszeniem ich zdrowia.

Na 1 stycznia 1946 r. kontyngent sierocińca wynosił 144 dzieci. Z tej liczby 11 dzieci w wieku przedszkolnym, a 133 dzieci uczęszcza do szkoły polskiej. Są one rozmieszczone jak następuje; klasa I – 45 ucz., klasa II – 36 ucz., klasa III – 27, klasa IV – 13 uczniów, klasa – 10 ucz. Dwoje dzieci nie objęte nauką z powodu choroby, a raczej z powodu bardzo słabego zdrowia. Dzieci uczęszczają do szkoły regularnie. Uczą się pilnie i z zapałem.

Wyniki klasyfikacji półrocznej są następujące. Na ogólną liczbę 131 uczniów 4 dzieci otrzymała wynik niezadowolający z jednego przedmiotu – 6 dzieci nieklasyfikowano z powodu choroby. Reszta dzieci uzyskała wyniki dobre i bardzo dobre. Ma tu wielkie znaczenie pomoc w nauce, jaką dają wychowankom naszym wychowawczynie. Lekcje przerabia się w domu starannie w sposób zorganizowany. Wychowanie i uświadamianie polityczne przeprowadza się drogą pogadanek, czytania gazet i omawiania przypytanych artykułów. Wyrabia się w dzieciach poczucie patriotyzmu i poczucia obowiązku jaki mają względem naszej ojczyzny. Wielki nacisk kładzie się w wyrobienie uczucia przyjaźni dla ZSRR oraz na wyrabianie znaczenia tej przyjaźni dla Polski.

W celu przyuczenia dzieci do pracy i jej poszanowania zorganizowano pracę w kole rękodzielniczym, gdzie dzieci dzieją na drutach, naprawiają swoją bieliznę i ubrania, chłopcy naprawiają drobniejsze uszkodzenia w inwentarzu. Z puszek od konserw, chłopcy porobili bardzo ładne garnuszki, przez co skrócili czas zużywany dotychczas na śniadanie (było mało naczyń). Prócz tego zaprowadzono dyżury dzieci w sypialniach, jadalni, kuchni i na korytarzu. Wieli nacisk kładzie się na samoobsługę.

Poza nauką szkolną dzieci uczą się deklamacji, śpiewu, tańców rytmicznych i narodowych. Wszystkie te prace wykonuje się w kołach zorganizowanych. Kół takich jest cztery; chór, koła taneczne, koła dramatyczne, koło rękodzielnicze. Każde koło ma swego kierownika z grona wychowawczyń. Wyniki pracy w tych kołach dzieci pokazywały w szeregu uroczystości, które były obchodzone w sierocińcu i które nader życzliwie były przyjęte i ocenione przez przedstawicieli władz i szeroką publiczność. Dzieci brały także udział w uroczystościach ogólnopolskich urządzanych przez obwodowy ZPP występując z tańcami i śpiewem.

W ciągu 1945 r. były w sierocińcu obchodzone następujące uroczystości.

1. Choinka – 3 stycznia
2. Dzień śmierci Lenina – 21 stycznia
3. Dzień Armii Czerwonej – 23 lutego

4. Międzynarodowy Dzień Kobiety – 8 marca
5. Obchód ku czci 1-3 Maja – 3 maja
6. Imieniny W. Wasilewskiej – 23 czerwca
7. Rocznica Rewolucji Październikowej – 7 listopada
8. 25- lecie Kazachstanu – 18 listopad
9. Choinka – 31 grudnia

Podręczników szkolnych jest bardzo mało. Najlepiej zaopatrzona jest w podręczniki klasa I, którą zaopatrzyliśmy w podręczniki przechowane z ubiegłego roku szkolnego. Zeszytów jest wystarczająco. W tym roku z zeszytami i przyborami szkolnymi jest o wiele lepiej niż w roku ubiegłym.

Zimowe wakacje dzieci nasze spędziły wesoło, bawiąc się i odpoczywając. Na przeciąg wakacji, był opracowany specjalny plan. Były więc odpowiednie pogadanki, rozmowy wychowawczyń z dziećmi, czytanie, były żywe rebusy, które grupa najmłodsza urządziła dla wszystkich dzieci, była także rewia na tematy aktualne i tematy wzięte z życia domu dziecka. Dwa razy zorganizowano wyświetlanie filmu, co dało dzieciom dużo wrażeń. Poza tymi rozrywkami, dzieci używały dużo ruchu na powietrzu.

Wielką bolączką naszą jest niedostatek ubrania i obuwia. Za mało mamy odzieży wierzchniej, bardzo mało bielizny i pościeli. Dotychczas te braki nie były wielką przeszkodą w uczęszczaniu do szkoły, ze względu na dość łagodną w tym rok zimę. Jeśli jednak nastaną silniejsze mrozy, sytuacja ta zmieni się na gorsze, gdyż dzieci są źle ubrane i narażać je na przeziębienie nie można. Z opałem dotychczas jest nienajgorzej. Wprawdzie nie zostaliśmy zaopatrzeni w odpowiednią ilość opału w przepisowym terminie, ale stopniowo wypisują nam węgiel i dzieci dotychczas nie znają zimna.

Pracowników etatowych jest 19. Z tych jeden zastępca dyrektora do spraw pedagogicznych) i 6 wychowawczyń, reszta to personel techniczny. Prócz tego jest jeszcze lekarz i buchalter, który pracuje jako przychodni, wszyscy pracują szczerze i oddaniem się, starają się zastąpić dzieciom dom i rodzinę.

Wspomniany w sprawozdaniu pobyt wakacyjny spowodował, że łącznie z nami bardzo dużo dzieci zachorowało na malarię. Pomimo interwencji u władz radzieckich lekarstw tym chininy nie otrzymywaliśmy. Zażywaliśmy co prawda bardzo jaskrawe żółte pigułki nazywane akrychiną, po których nasza skóra przybierała charakterystyczne dla Chińczyków zabarwienie. Dopiero później dowiedziałam się, że była w nich minimalna ilość chininy. W sytuacji, gdy na lekarstwa nie można było liczyć, mama nawiązała nieformalną znajomość z jednym z lekarzy ze szpitala wojskowego, który w zamian za chleb dostarczał nam leki. Nie była to bezpieczna zamiana, bo przecież lekarz dokonywał kradzieży. Zapamiętałam taki obrazek, który wywarł na mnie ogromne wrażenie. Za kradzież kartek na chleb jedna kobieta i dwóch mężczyzn, zostali skazani na karę śmierci. Tych skazanych prowadzili pod karabinami ulicą, tuż przy naszym sierocińcu, a stojący obok mieszkańcy pluli na nich i rzucali kamieniami. Byłam bardzo roztrzęsiona tym widokiem, co prawda po pewnym czasie wrażenie poszło w zapomnienie, ale odżyło w momencie, kiedy na prośbę mamy poszłam do szpitala odebrać „wygospodarowane” dla dzieci lekarstwa. Były one nam bardzo potrzebne, bo już dwójka dzieciaków zmarła i dlatego mama zaleciła mi pośpiech. Niosąc ukryty pod fartuszkami owinięty bochenek chleba, bardzo się denerwowałam, bo wiedziałam, jaka spoczywa na mnie odpowiedzialność. Bałam się przede wszystkim o mamę, bo jeśli mnie coś

się nie uda, to myślałam, że mamę spotka coś złego. Długo czekałam wtedy na lekarza, niestety nie mógł się ze mną spotkać. Z tamtej pełnej stresu wędrówki pamiętam jeszcze, ciepło smoły, w której znalazły się moje nogi. Nie mając butów chodziłam w kaloszach, a ponieważ wysoka temperatura rozpuściła nawierzchnię ulicy wylanej smołą, kalosze mi w niej ugrzęzły a uwolnione stopy zatopiły się w ciemnej, gorącej mazi.



Oprócz tabletek inną, stosowaną metodą leczenia był rozgrzewający kompres, który mama stosowała według zaleceń przychodzącej do nas lekarki. W wodzie o pokojowej temperaturze należało namoczyć prześcieradło, zawinąć nim dziecko a następnie owinąć jeszcze 2-3 kocami i trzymać tak, aż do momentu wypocenia się. Zabieg ten pomagał w obniżeniu temperatury i oczyszczał organizm z toksyn.

W 1945 roku zmarło najwięcej osób na tyfus. Nam udało się go pokonać. Jako pierwszy zachorował Jurek, później ja a mama najpóźniej. Przez 35 dni leżałam nieprzytomna, W tym czasie przychodziła do nas moja koleżanka, paliła w piecu, nawet nie wiedziałam, że mnie karmiła. Gdy tylko mogłam siadać dano mi gazetę i grzebień, aby usunąć wszy, które podczas choroby rozpleniły się niesamowicie. Było ich takie mnóstwo, że słyhać je było jak spadały. Wszy i pluskwy były cały czas, a w Dżurunie towarzyszyły nam jeszcze stonogi, były ciemnopopielate z bardzo wyraźnymi białymi paseczkami. Strasznie się ich bałam i nie położyłam się spać, jeśli dokładnie nie sprawdziłam łóżka. Jeszcze gdy byłyśmy w kołchozie i pojawiły się pierwsze insekty mama poprosiła rodzinę z Polski o przysłanie grzebienia takiego z gęstymi zębami dzięki któremu wyczesywałyśmy owady. To czyszczenie włosów należało do stałych obowiązków, było to dla nas tak naturalne jak utrzymanie codziennej higieny. Przeznaczoną do tego celu mieliśmy jeszcze przez przypadek zabraną z Polski białą pieluszkę. Niestety, wysoka gorączka podczas choroby i insekty bardzo zniszczyły moje włosy. Gdy wyzdrowiałam poszłam do fryzjera i powiedzia-



łam, że ma brzytwą zgolić moje włosy. Wyglądałam tragicznie, bo moja łysa głowa była cała niebieska. Z czasem zaczęły mi odrastać pięknie włosy. Mama dłużej dochodziła do zdrowia, gdy tylko mogła samodzielnie jeść otrzymała od kogoś owoc granatu. Bardzo jej smakował i miałam wrażenie, że ją wzmocnił. Gdy przyszła kolejna fala gorączki zamieniłam kawałek chleba na jeszcze jeden owoc. W sierocińcu poza niewielką umywalką nie mieliśmy możliwości kąpieli. Dlatego co pewien czas odprowadzani byliśmy do miejskiej bani, a tam pracownica z drewnianą łyżką obdzielała nas niewielką ilością mydła w płynie. W tym czasie nasze ubrania były odwszawiane.

Starania działaczy ZPP umożliwiły przekazanie potrzebującym Polakom części produktów żywnościowych i sprzętu zatrzymanego po zerwaniu umowy o amnestii. Nasza kuchnia otrzymała czterdziesto kilogramową beczkę smalcu. Dziewczynki dyżurujące w stołówce (po zważeniu chleba, aby nie było posądzeń o kradzież) maczały kromki chleba w rozpuszczonym tłuszczu, a my pochłanialiśmy taką pajdkę z takim apetytem, jakby to był produkt najwyższej jakości. Dopiero od niedawna wiem od mojej wychowawczyni z Aktubińska – panny Wandzi, bo tak ją zawsze nazywaliśmy, że mama w porozumieniu personelem naszego sierocińca podzieliła się tym smalcem z dziećmi z parteru, czyli z dziećmi rosyjskiego Dietdomu.

Nasz Dom Dziecka regularnie odwiedzał Rosjanin, był to pierwszy skrzypek opery z Leningradu lub z Kijowa, miał może około 40 lat, a pamiętam go, bo grał dla nas i pisał nuty. A pisanie polegało na tym, że wołał mnie, kazał śpiewać i w tym samym czasie zapisywał nuty, bo nie znał naszych narodowych tańców np. krakowiaka, poloneza, kujawiaka. Takie zajęcia z nim były dla nas dużym urozmaiceniem, a ponadto potrafił bardzo pięknie opowiadać.

Z naszego dawnego kołchozu wyjechało kilkoro dzieci licząc, że dostaną się z armią Andersa za granicę. Niestety przyjechały za późno, granica już była zamknięta i okazało się, że zostały gdzieś pod Ałma-Atą bez pieniędzy i bez opiekunki, która ich przywiozła. Najstarsza z grupy, 13 latka zebrała błakające się dzieci i podjęła próbę powrotu. Udało im się powrócić dzięki pomocy oficerów Armii Czerwonej, którzy po leczeniu wracali z powrotem na front. Zabrali dzieci do wagonów i tam ukrywając przed prowadnikiem czyli takim opiekunem wagonu i dzieląc się swoją żywnością dowieźli je do Aktubińska. Część tych dzieci wróciła do swoich matek, część do naszego sierocińca. Tylko dzieciom, które wcześniej wyjechały z Dżurunu udało się wydostać z ZSRR.

Pamiętam przygotowania do świąt w 1945 r. Do Aktubińska dotarło pięć choinek. Nasz dom dostał jedną z nich na trzy dni. Jednej z choinek obcięto czubek i zostałam nim obdarowana. Wcześniej szukałam czegoś zastępczego, co mogłoby służyć za choinkę, dlatego z podarunku byłam ogromnie zadowolona i chciałam zawiesić na niej coś bardzo tradycyjnego. Każdy z nas na śniadanie dostawał kromkę chleba. Tą właśnie kromkę zamieniałam na rynku na bombkę. W ten sposób pozyskałam 7 bombek. Wtedy mama o tym nie wiedziała, bo bym dopiero się nasłuchiwała. Do dnia dzisiejszego pozostały mi jeszcze 3, zawsze, gdy je wieszam mówię do najbliższych uważajcie i pamiętajcie, że każda bombka to jest moje śniadanie. Większość zabawek wykonywaliśmy wcześniej i samodzielnie. Nie było materiału na ozdoby, dlatego kupowało się papier na kartki oraz farbki do farbowania wełny. W naszej polskiej tradycji do zdobienia choinki wykonywało się z różnokolorowych ogniw długie łańcu-

chy. Mama miała z tego powodu nie lada kłopot i musiała się jakoś mądrze wytłumaczyć, by nie było żadnych konsekwencji. Wyjaśnienie dotyczyło, dlaczego wolną, radziecką choinkę mama pozwoliła zakuć w łańcuchy.

W sytuacji, gdy prawie wszyscy Polacy wyjechali z Aktiubińska, kierownictwo domu dziecka zaczęło obawiać się, że ich sierociniec nie zostanie przeznaczony do repatriacji. Dlatego mama wysłała pismo zredagowane wspólnie z dziećmi do Przewodniczącej Opieki Społecznej w Moskwie z prośbą o umożliwienie wyjazdu do Polski. Nie wiem czy faktycznie to miało jakieś znaczenie, ale wkrótce z wydziału oświaty w Moskwie przyszedł telegram, aby przygotować się do ewakuacji i że na czas transportu do Polski dostaniemy osobowy wagon. Niestety, trójki dziewczynek nie mogliśmy ze sobą zabrać, bo ich matki przebywały w więzieniu. Formalnie matki te zostały skazane na 5 lat za sianie propagandy i kładzenie pasjansa. A tak naprawdę za to, że nie przyjęły sowieckiego obywatelstwa. Nie mogliśmy zabrać ze sobą także dzieci pochodzenia ukraińskiego i białoruskiego. Bardzo rozpaczaliśmy, bo w tych trudnych warunkach wszyscy byliśmy bardzo życzliwi, stanowiliśmy jedną wielką rodzinę.

Mama zapisała się do ZPP dopiero w maju 1945 r., kiedy już nie było wyjścia, bo miała 150 dzieci, które chciała wywieźć do Polski. Licząc, że ta przynależność jej pomoże, postanowiła adoptować te trzy dziewczynki, które nie dostały zgody na wyjazd, bo już pogodziła się z tym, że część dzieci musi pozostać w ZSRR. Uzyskała zgodę matek i rozpoczęła formalne starania, i wtedy NKWD wezwało ją, jak zwykle w nocy, bo oni tylko w nocy pracowali i mówią „słuchaj dyrektor masz 150 dzieci masz, masz 2 swoich masz, jeśli chcesz pojechać na zachód a nie na wschód to się uspokój”. Po wielu latach dowiedziałam się, że dziewczynki te wróciły do Polski.

Jechaliśmy do Polski mając do dyspozycji 5 wagonów osobowych. W jednym z wagonów jechała grupa starszych chłopców z wychowawczynią, w drugim dziewczynki, w kolejnych tzw. średniacy no i maluchy takie 3-5-letnie.

Wychowanka mamy, Stefania, miała starszego, szesnastoletniego brata, który z racji wieku nie mieszkał razem z nami, bo skończył 2 letnią szkołę przysposobienia i był już samodzielny, czyli pracował. Takich szesnastolatków traktowano jak dorosłych. Czasami przychodził do siostry w odwiedzin, a mama, gdy tylko miała możliwość, przypominała; Tadiusiu, idź wyrób sobie dokumenty, że jesteś Polakiem, przecież nikt za ciebie tego nie może zrobić. Czekamy już na dworcu na podstawienie pociągu, gdy przebiega Tadiusiu, oczywiście bez dokumentów i błaga o dołączenie go do listy osób uprawnionych do powrotu do kraju. Mama zaryzykowała i wzięła go licząc chyba na cud. Obcięto mu włosy tak jak innym dzieciom, ubrano w drelichowe ubranie i włączono do grupy chłopców. Do granicy z Polską opiekowała się nami z ramienia radzieckiego kuratorium urzędniczka, która dysponowała pieniędzmi na potrzeby podróżujących dzieci i do jej obowiązków należało zaopatrywać nas w pożywienie. Niestety zbyt nas nie rozpieszczała. Dzięki przezorności mamy mieliśmy zapasy i tylko one pomogły nam przetrwać tygodnie jazdy pociągiem. Ponieważ Rosjanka zaoszczędziła na nas dużo pieniędzy, mama powiedziała dobrze, Szurka, ja ci dam te zaoszczędzone na dzieciach pieniądze, ale ty będziesz milczała o Tadiusiu. Zgodziła się. Na granicy radziecko-polskiej wszystkie dzieci musiały opuścić wagony, które zostały sprawdzone a następnie rozpoczę-

ło się wyczytywanie nazwisk. Syn naszego intendenta, polski Żyd był wpisany w papierach intendenta i w papierach domu dziecka. Jak wywołali z drugiej listy nazwisko Zukenberg Milek to Tadziu za niego odezwał się i w ten sposób przeszedł kontrolę. Mama była bardzo szczęśliwa, że wszystko się udało, gdy nagle podczas żegnania się z urzędniczką usłyszała, „nie wszystko jest dobrze, ja ciebie zaskarżyłam”.

I nagle zaczęły się wielkie problemy, bo zabrano mamę z pociągu, a wagon z nami skierowano na boczny tor. Od momentu, kiedy wyruszyliśmy z Aktubińska każdy dłuższy postój wywoływał w nas niepokój, że może jednak nie dane nam będzie dojechać do Polski, że każą zawrócić pociąg. I oto strach przybrał realny kształt. Siedzieliśmy cichutko w wagonie, jak długo, nie wiem? Mama opowiadała, że trafiła na bardzo dobrego człowieka, bo gdyby trafiła na typowego enkawudzistę, to by ją wziął do aresztu, a tylko dzieci polskie przeszłyby przez granicę. Bała się także o mnie i o brata, zastanawiała się czy ma nas zostawić w Polsce czy wziąć ze sobą do ZSRR, bo liczyła, że już nie wróci. Tłumaczenia mamy, że nie miała wyboru i musiała dołączyć brata do siostry, bo obydwój rodzice zmarli na zesłaniu chyba przekonały starszego, siwego już podpułkownika, bo gdy siedziała w poczekalni z Tadzikiem to słyszała, że kilkakrotnie dzwonił do Moskwy. Jak to się stało, że ktoś z Zarządu Głównego Związku Patriotów Polskich oddzwonił, nie wiadomo. Cud, na który mama liczyła, dokonał się. Po wielu godzinach, nocą przyszedł podpułkownik ze słowami: „no dyrektor weź swojego chłopaka, niech rośnie na dobrego i uczciwego człowieka”. Wspominając te chwile pełne niepokoju mama zawsze mówiła, że modliła się za jego mądrość, dobroć i rozsądek.

## 6. Polska

W maju 1946 r. dotarliśmy do Gostynina, do Domu Rozdzielczego, bo to tutaj były kierowane dzieci repatriowane z domów dziecka w ZSRR. Gdy kończył się dwutygodniowy okres kwarantanny, mama musiała wybrać do którego miasta chce pojechać. Do wyboru miała Elbląg, Kwidzyn, Malbork i Sztum, ale przecież nie знаła tych terenów i siedząc nad niemiecką mapą zastanawiała się co wybrać. W tym też czasie napatoczyłam się i mama zapytała mnie o zdanie. Rezerolucie zapytałam, a które z tych miast jest największe, chyba Elbląg i zaraz dodałam, czy w Elblągu są takie same tramwaje jak we Lwowie? I tak oto zadecydowałyśmy o pobycie w Elblągu. Wyruszyliśmy 24 maja 1946 roku. Z podróży pociągiem mama wspominała, że jak dojechalismy do Malborka, dyspozytor gdy dowiedział się że jedzie 94-osobowy transport dzieci z Kazachstanu ściągnął w nocy kucharki, aby nas nakarmiły. Nikt mu nie wyjaśnił, że nie był to transport bezpośredni i że głód należy już do przeszłości. Ale jaki to piękny przykład ludzkiej solidarności. W Elblągu umieszczono nas na ul. Saperów, zastaliśmy piętrowe łóżka, na których spało się nam wygodnie, a po 3 dniach przeniesiono na ul. Królewiecką.

Po przyjeździe do Elbląga mama poprosiła żeby dzieci napisały, co wiedzą o swoich bliskich, aby mieć informacje jak dalej postępować. Niektórzy wiedzieli że mogą się spodziewać powrotu ojca lub matki z wojny lub że mają rodziny w Polsce. Jako dziecko, przez wszystkie lata miałam nadzieję, że w tym bałaganie wojennym nasz tata wkrótce się znajdzie. Mama także się nie poddawała i wciąż miała nadzieję na rychłe jego spotkanie z rodziną. Już podczas

pobytu w kolchozie rozpoczęła poszukiwania. Lwowski prokurator udzielił informacji, że Józef Franczuk wjechał do Kijowa, a kijowski, że ma zwrócić się do NKWD w miejscu zamieszkania. Z Moskwy przyszła odpowiedź, że NKWD nie prowadzi poszukiwań więźniów i nie wie gdzie się ojciec znajduje. Poszukiwania kontynuowane z Polski przez Czerwony Krzyż również niczego nie wniosły. Jako osoba dorosła, gdy straciłam nadzieję, że ojciec odnajdzie się żywy marzyłam o tym, aby znaleźć jego prochy i zlokalizować miejsce jego pochówku. Pomógł mi w tym Pan Andrzej Przewoźnik. Kiedy przyjechał z odczytem do Elbląga poprosiłam go o pomoc. Na podstawie Ukraińskiej Listy Katyńskiej ustalono, że został rozstrzelany w Bykowni. Byłam tam na poświęceniu czwartego wojennego cmentarza katyńskiego 21 września 2012 roku. Na zakończenie chciałabym dodać, że miałam zwyczajną, ciepłą i troskliwą matkę. Ale była ona jednocześnie wspaniałym człowiekiem, gorącą patriotką, oddanym nauczycielem osobą pełną hartu ducha i niezwykłym pedagogiem.

\*

## **Elżbieta Pancer-Koteja**

### ***Syberia – kronika z lat 1940-1946***

Dla całej mojej Rodziny – bliższej i dalszej – starałam się spisać zeszłocześnie zdarzenia przeze mnie zapamiętane lub zasłyszane od Rodziców. Jak wiadomo, przy wspomnianiu dzieciństwa nie są to źródła łatwe do odróżnienia. W miarę możliwości usiłowałam jednak sygnalizować, które wypadki lub obrazy jawią mi się jako moje własne przeżycia.

#### **1940 r.**

Czerwiec (wydaje mi się, że około 20-go). Wywieziono nas na Syberię z Włodzimierza Wołyńskiego do łagru w okolicy Bieriegajewa (Beregayev, Beregayev). Zabrano całą rodzinę – mojego Ojca Michała Pancera (40 lat), Matkę Alinę (41), Babcie Celinę Sienicką (z domu Dobrzańska, 71 lat) oraz troje dzieci: Danutę (prawie 12 lat), mnie (niecałe 7 lat) i Marię (niecałe 3 lata).

Tu chyba konieczna jest dygresja. Moi Rodzice urodzili się na Ukrainie i tam ukończyli rosyjskie gimnazja jeszcze przed październikową rewolucją 1917 r. Po I wojnie światowej osiedlili się w Warszawie. Ojciec pochodził ze starej warszawskiej rodziny i miał tam krewnych, a Matka przyjechała do Warszawy, ponieważ pragnęła zdobyć wyższe wykształcenie i podjęła studia na Wyższej Szkole Handlowej. Poznali się w pracy – w Komunalnej Kasie Oszczędności, pobrali w 1927 r. i nadal mieszkali w Warszawie, ale parę lat przed wojną kupili kawałek ziemi (14 ha) w Chrobrowie na Wołyniu. Babcia i Mama spędzały tam z dziećmi całe lato, a Ojciec urlopy. Latem 1939 roku Ojciec dostał urlop dopiero w ostatnich dniach sierpnia. W Chrobrowie zdążył pobycć chyba tylko 1 dzień (a może kilka godzin?) i zaraz na wiadomość o wojnie wyruszył z powrotem do Warszawy – to było Jego służbowym obowiązkiem. Reszta rodziny, po rozmaitych perypetiach, wyjechała do Łucka (mieliśmy tam krewnych Mamy). Ojcu nie udało się już przedrzeć przez linię frontu, wrócił po paru tygodniach i odnalazł nas w Łucku. Rodzice przeżyli na własnej

skórce bolszewicką rewolucję, stąd zataili fakt posiadania ziemi na Wołyniu (pamiętam, jak mnie uczono by nikomu obcemu nic nie mówić o Chrobrowie) i za wszelką cenę usiłovali dostać się pod niemiecką okupację. Już umówione przejście przez „zieloną granicę” to właśnie ja udaremniłam przez zachorowanie na odrę. Po otwarciu przejścia granicznego we Włodzimierzu Wołyńskim Rodzice tam pojechali podając się za „bieżeńców” (uciekierów) z Warszawy.

Te okoliczności zaważyły na naszym losie. Wyjaśniają skąd my – warszawiacy – znaleźliśmy się tak daleko na wschodzie Polski, pod radziecką okupacją. Ale może ważniejsze jest to, że biegła znajomość języka rosyjskiego oraz specyfika zawodu – finansowość – uchroniły moich już nie najmłodszych Rodziców przed wyrąbaniem tajgi. Zaraz po przybyciu do obozu więźniowie musieli podać swój zawód i Rodzice po paru dniach zostali zatrudnieni w kancelarii. Nie chroniło to od głodu, ale oznaczało pracę pod dachem. Jestem przekonana, że – jak tyłu innych – nie przeżyliby pracy w tajdze.

Samego aresztowania we Włodzimierzu Wołyńskim prawie nie pamiętam. Z opowiadań Mamy wiem, że Rodzice byli na to przygotowani, ponieważ rozeszła się pogłoska, że będą tej nocy wywozić „uciekierów”. Ktoś nam radził by się schować, ale byliśmy tam tylko przejazdem i nie znaliśmy nikogo. Rodzice zatem spakowali swoje skąpe bagaże (już byli po wojennej tułaczce) i położyli dzieci spać, a sami siedzieli całą noc i czekali. Kiedy zrobiło się widno, Ojciec podszedł do okna i powiedział „no, chyba nas ominęli” i w tym momencie zobaczył, że przez furtkę ogródka już wchodzi uzbrowieni. Mama wyszła do drzwi i poprosiła żeby byli cicho, bo dzieci śpią i ona sama nas pobudzi. Nasi strażnicy zachowali się spokojnie i przyzwoicie, w przeciwieństwie do tych, którzy wywozili ludzi w zimie 1940 r. Zimową wywózkę Polaków „z listy” przeżyliśmy na przykładzie najbliższych sąsiadów w Łucku. I to właśnie brutalność tamtych wydarzeń – walenie kolbami w drzwi i wrzaski – pozostawiła we mnie ślad – długo budziłam się nocami (ostatni raz w 1981 r. – gdy moje dzieci tylko, na szczęście, śmiały się z żartów typu: „wejda – nie wejda”). To przeżycie z Łucka opisałam w „Wywiadzie” dla Marysi – mojej Wnuczki.

Podróż pociągiem tzw. „bydlęcym” trwała około miesiąca. To, co zapamiętałam z niej opisałam dokładniej też w „Wywiadzie”. Tych wspomnień jest niewiele i nie pamiętam też by Rodzice na ten temat rozmawiali. Dojechaliśmy do jakiejś stacji, potem parę dni koczowania na brzegu rzeki w oczekiwaniu na statek i podróż statkiem. Potem jeszcze jakaś przesiadka? Na jakieś łodzie?, tratwy? Ale być może to już tylko wyobraźnia.

Pamiętam, że w obozie była jakaś nieduża rzeka, zapomniałam jednak jej nazwy (na „i”, Iszym – ale to dopływ Irtyszu, a miejscowość Bieregajewo według mapy leży nad Czutyłmem – dopływem Obi)?

Po przyjeździe do obozu znowu koczowaliśmy jakiś czas nad rzeką, bo w barakach jakoby trwała „dezynsekcja”. Nie przyniosła ona żadnych rezultatów i ilość pluskwów była nieprawdopodobna – odsuwanie prycz od ścian nie skutkowało, bo pluskwy spadały z sufitu.

### 1941 r.

To był głodny rok, bo tyle było porcji jedzenia ilu pracujących – u nas to było jak 2:4. Zima. Dochodzi do nas paczka, chyba od wujka Mietka Sienickiego, poprzez Czerwony Krzyż. Jedyna, chociaż rodzina w kraju wysłała kilka.

Paczka była duża, zawierała odzież, trochę jedzenia (pamiętam tylko kawałek suchej kiełbasy) oraz dwie książeczki: Konopnickiej „O krasnoludkach i sierotce Marysi” i „Wieczory pod lipą” – autora (ów) nie pamiętam. Zwłaszcza ta ostatnia pozycja to był nieoceniony skarb. Była to historia Polski przedstawiona w formie opowieści dziadunia dla gromadki wnucząt. Na okładce był odpowiedni rysunek, co nie jest bez znaczenia – kiedyś niespodziewany rosyjski „wizytator” (strażnik?) zainteresował się książką. Na to moja Mama spokojnie: „widzicie - to bajki dla małych dzieci”. I na tym się skończyło. Do dziś widzę tę scenkę tak dokładnie, że mogłabym narysować gdzie stała oniemiała Babcia. „Wieczory pod lipą” dały mi fundamenty wiedzy o historii Kraju – przede wszystkim chronologię głównych wydarzeń. Książka, wielokrotnie pożyczana, po pewnym czasie zaginęła. A tak nawiasem: był to mój jedyny kompletny kurs historii Polski, ponieważ jestem ofiarą powojennych reform szkolnictwa – tworzenia 11-latek. W rezultacie ani razu nie uczyłam się historii Polski!! W ogóle w szkole uczono takiej historii, (jaka by ona nie była), ale akurat moja klasa wpadła w swoistą dziurę programową.

Zachorowałam na ciężką malarię i spędzam parę dni w szpitalu obozowym. Obsługa życzliwa, ale ja nie umiem jeszcze rosyjskiego i wstydę się o cokolwiek poprosić. Zapamiętałam okropną gorycz lekarstwa (chinina), które ugrzęzło mi w gardle, a ja już nie miałam wody do popicia.

21 lipca, niedziela. Danusia skarży się na ból nogi w kostce, pokazuje zaczerwienienie. W baraku „dezynsekcja” – wszyscy mieszkańcy równocześnie (inaczej nie byłoby skutku) walczą z pluskwami; Mama bagatelizuje skargę – każdy ma czerwone, boląco-świerzbujące bąble, bo jesteśmy pogryzieni przez komary, pluskwy i meszkę. W poniedziałek wieczorem jednak prosi o pomoc lekarza współwięźnia (Polaka), bo noga spuchła. Lekarz orzeka zapalenie stawów i zaleca zimne okłady; odrzuca sugestię Mamy, że może to być zakażenie. W środę występują czerwone smugi na nodze. Lekarz obozowy zabiera Danusie do szpitala (pamiętam ten moment), ale jest bezsilny. Po dwu (?) dniach sugeruje Rodzicom przewiezienie Danusi do szpitala w jakimś mieście (Omsku?!, Tomsku?!), by tam przeprowadzić amputację nogi. Nie gwarantuje przeżycia operacji. To podobno podróż ponad 150 km, nie bardzo wiadomo, jakim środkiem transportu. Żadne z Rodziców oczywiście nie może towarzyszyć dziecku – jesteśmy więźniami. Rodzice się wahają, odrzucają propozycję, a chyba w sobotę pojawiają się plamy na całym ciele i już wiadomo, że nie ma ratunku. Do końca życia gnębiła ich ta decyzja. Mama, gdy o tym parę razy opowiadała, kończyła: „przynajmniej dziecko umarło na moich rękach”. Nie mogła sobie tylko darować, że nie wezwali od razu lekarza obozowego – Rosjanina.

28 lipca, niedziela. Wieczorem Danusia umiera. Mama zaprowadza nas, Marysię i mnie, byśmy pożegnały siostrę. Dobrze to pamiętam, choć jej leciutko uśmiechnięta twarz ledwo mi majaczy w pamięci. Babcia już nie wstaje z łóżka.

29 lipca. Danusia leży w pustej izbie, tuż za ścianą. Już ubrana w swoją granatową, plisowaną spódniczkę (moje dzieciinne marzenie) i białą bluzkę; obok różowo-fioletowe leśne kwiaty (dziś wiem, że to była koprzyca; Mama już w Polsce, w Lasowicach, poprosiła bym nie zbierać jej na bukiety). Rodzice kopią grób na niby-cmentarzu w tajdze. Na zmianę kuja kilofem zamrożoną ziemię (już pół metra pod powierzchnią zalega wieczna zmarzlina). Ojcu serce zaczyna odmawiać posłuszeństwa – pamiętam, jak leży na posłaniu półżywy.

Ludzie mówią, że grób musi być głęboki, bo grunt jest niestabilny („wyrzuca” wszystko na powierzchnię), a wilki i niedźwiedzie często rozkopują zbyt płytkie groby. Następnego dnia pogrzeb, który trochę pamiętam: kilka osób, słoneczny dzień, zielono. Po pogrzebie jakaś Rosjanka mówi do Mamy: „Ty durna, płacz nad tymi co zostały, a nie nad tą, co już bezpieczna”. Mama to wspominała dodając (bez ironii): to były prawdziwe wyrazy współczucia.

Przełom lata i jesieni. Do łagru dociera wiadomość o porozumieniu Sikorskiego ze Stalinem i o tworzeniu się Polskiej Armii pod dowództwem gen. Władysława Andersa – przestajemy być więźniami łagru. Pamiętam ogromne poruszenie i dyskutowane przez dorosłych liczne plany wyjazdu.

Wrzesień. Znaczna część więźniów (chyba ponad połowa?) decyduje się na spływ tratwami, aby dostać się do jakichś szlaków komunikacyjnych. W okolicy łagru tereny są bagienne (pamiętam drogi moszczone pniami drzew), nie ma żadnych dróg bitych, ani środków transportu. Moi Rodzice postanawiają przeczekać zimę, ponieważ Babcia jest ciężko chora, a Marysia jeszcze mała (4 lata). Po jakimś czasie dochodzą pogłoski, że większość z tych, którzy wyruszyli tratwami, nie przeżyła tej podróży.

2. grudnia. Umiera Babcia. Jeszcze w Polsce chorowała na nerki. Od wiosny nie podnosiła się z łóżka, ale dla mnie i tak była najważniejszą na świecie osobą. Nie przeczuwałam jednak, czemu w tym dniu Mama kazała nam bawić się u sąsiadów. W południe Mama przyszła z papuciami dla Marysi (uszytymi z koca przez sąsiadkę) i niesforna Marysia wbiegła wbrew zakazowi do naszej izby wołając: „Babciu mam butki, mam butki” i Babcia uniosła z uśmiechem głowę – wyraźnie bardzo się ucieszyła. O szóstej wieczorem Mama zawołała nas na posiłek – jadyśmy z boku, przy kaganku; Ojciec był w pracy, a Mama klęczała przy pościeli Babci. W pewnym momencie, cicho płacząc podprowadziła nas do pościeli i kazała się razem modlić. Za chwilę pochyliła się, pocałowała Babcie, złożyła jej ręce i nam kazała je ucałować. Ten wieczór pamiętam bardzo dokładnie. To wszystko było bardzo smutne, ale bardzo spokojne. Następnego dnia ktoś Rodzicom pomagał wykopać grób. Mam jednak wrażenie, że pozostał im cień niepokoju, że ten grób może nie spełnić swojej roli. Były trzaskające mrozy i głęboki śnieg.

Po śmierci Babci wydorosłałam. Trzeba było palić w piecu, obrać i ugotować ziemniaki, dopilnować małej Marysi. Robiłam to i przedtem, ale pod okiem Babci i na Jej odpowiedzialność. Rodzice w okolicy Nowego Roku byli szczególnie zajęci bilansem – musieli pracować do późnej nocy. Bali się pożaru (drewniany barak!), nie chcieli więc nas zamykać z zewnątrz, a nie można było też zostawić drzwi otwartych; nasz transport nie składał się z patriotów lecz ludzi zabieranych zupełnie losowo, nie brakowało i zwykłych zawodowych złodziei. Zamykałam więc od wewnątrz drzwi na haczyk i w nocy otwierałam Rodzicom. Oni na zmianę wybiegali z biura by posłuchać pod drzwiami, czy wszystko w porządku; kiedyś przeżyli wstrząs, gdy nie mogli się nas po powrocie dobudzić – wyobrazili sobie, że pewnie leżymy zaczadzone. W tym czasie największą pociechą Marysi i moją były dwa kociaki (zabierałyśmy je na wspólną pryczę). Ale o kotach chyba osobno napiszę.

### 1942 r.

Zima. W czasie tej zimy zaprzyjaźniłyśmy się z dwojgiem dzieci w naszym wieku – Tereską i Andrzejem (?) Kurowskimi (?). Ich matka już nie żyła,



ale nie wiem, kiedy i jak zmarła. Właściwie były to nasze jedyne poza-rodzinne kontakty. O ile pamiętam, dzieci nie było wówczas w naszym baraku dużo. Wiele osób prawie nie mówiło po polsku, a w każdym razie mówili łamaną polszczyzną – znaczną część więźniów stanowiła uboga ludność żydowska. Z Polaków pamiętam oprócz Kurowskich tylko młode małżeństwo, któremu niedługo po przybyciu do łagru urodził się synek. Po miesiącu zdarzył się wypadek – w ciasnej klitce przewrócił się na piecyku garnuszek gorącej kaszki i maleństwo zostało ciężko poparzone. Na szczęście przeżyło.

Mimo, że nie było kontaktów towarzyskich (trudno zresztą o życie towarzyskie wśród głodujących) często do nas przychodzili ludzie z prośbą o napisanie podania – Mama potrafiła to robić bardzo sprawnie. Niekiedy to Ona puszczała po cichu wiadomość, że coś tam należy się więźniom według przepisów (np. przydział kaszy mannej dla dzieci), co było skrzętnie ukrywane przez obozowe „naczalstwo”. Wtedy bywało u nas tłoczno.

Swoją wiedzę w tym zakresie Mama zawdzięczała Rosjaninowi – współpracownikowi w kancelarii obozowej, a jednocześnie współwięźniowi (siedział podobno za opowiedzenie politycznego dowcipu). Zapomniałam niestety jak się nazywał. Był życzliwy i niekiedy, co wspomniałam, starał się być pomocny. Pamiętam, że na Boże Narodzenie zdobył kilka (kilkanaście?) kolorowych czerwono-niebieskich ołówków i dał dla dzieci z obozu – tylko z zastrzeżeniem, by nikt nie dowiedział się od kogo pochodzą. Rodzicom mówił rozmaite rzeczy, ale tylko wtedy, gdy rozmowa była w cztery oczy – wystarczyło, że moi Rodzice byli razem, by milczał jak grób w sprawach nie służbowych. Oczywiście nie było też żadnych kontaktów poza biurowych. Od niego Rodzice dowiedzieli się, że nasz obóz został założony w 1933 r. (pamiętam, bo to rok mego urodzenia) i był przeznaczony dla więźniów politycznych. Więźniowie musieli sami pobudować sobie baraki w dziewiczej, nietkniętej ludzką stopą tajdze. Przed naszym przyjazdem ewakuowano ich robiąc dla nas miejsce; pozostało tylko kilku więźniów pełniących niższe funkcje administracyjne, bo „naczalstwo” było prawie niepiśmienne. On nam również zdradził, że po naszym przyjeździe nadszedł transport nowej odzieży ochronnej, który „rozpłynął się”, a ludziom wydano zużyte szmaty – podarte, stare „fufajki” i spodnie. Sam bardzo ostrożnie wypytywał o życie w Polsce, ale też o literaturę itp. sprawy dotyczące kultury. Rozbawił Ojca pytając go czy zna takiego pisarza, który nazywa się Sienkiewicz – kiedyś czytał go w przekładzie. Chętnie rozmawiał też o klasycznej literaturze rosyjskiej, którą moi Rodzice znali i cenili. Takie rozmowy miały miejsce oczywiście dopiero po paru miesiącach wspólnej pracy. Cóż, dzisiaj nasuwa mi się pytanie, czy jednak nie pełnił podwójnej roli? Czy pozostałby wobec nas lojalny, gdyby ktoś próbował zorganizować jakąś akcję? Moi Rodzice jednak ufali mu i byli wdzięczni za próby pomocy.

Marzec. Mama, Marysia i ja wyjeżdżamy do Załomnej; jedziemy całą dzień saniami przez tajgę, okutane czym się dało aż po same nosy. Załomnaja to niewielka osada, chyba nad Czufymem (?), do której jednak, po zejściu kry, dopływają statki – czekamy na pierwszą możliwość wyjazdu „do Andersa”. Mama znajduje pracę w jakimś biurze na przystani i wynajmuje małą izdebkę. Ojciec pozostaje jeszcze w obozie.

Którejś nocy o świcie obudziłam się i zobaczyłam, że siedzi jakiś człowiek i cichutko coś szeptem z Mamą. Rozpoznałam ojca Tereski i Jędrka, którzy po naszym wyjeździe zostali jeszcze w obozie. Mama kazała mi spać, a rano

absolutnie nikomu nie mówić o tej wizycie. Wytłumaczyła, że gdyby ktoś się dowiedział, tata Tereski mógłby trafić do więzienia. Otóż, p. Kurowski (nie jestem pewna nazwiska) popełnił „wielkie przestępstwo”, a mianowicie zebrał z ziemi trochę mąki (jeden czy dwa kilogramy!), która rozsypała się gdzieś przy magazynie. Ktoś doniósł i rzeczywiście groziło mu parę lat więzienia. Zdecydował się na ucieczkę, której szczegółów nie znam. Nie wiem komu powierzył dzieci; od mego Ojca dostał nasz adres w Załomnej, ale chował się u nas chyba tylko przez niecałą dobę, bo małej Marysi nie można było wytłumaczyć sytuacji. Nigdy niestety nie dowiedzieliśmy się czy udało mu się uciec (od nas odszedł bezpiecznie), ani co się stało z dziećmi, choć Rodzice próbowali się czegoś dowiedzieć przez Czerwony Krzyż.

Koniec maja? Początek czerwca? – Przyżywa statek, a zawiadomiony uprzednio Ojciec dociera do nas (nie pamiętam jak, chyba na piechotę). Jeszcze godziny (dnie?) niepewności, czy statek nas zabierze. Jednak płyniemy. Po pewnym czasie (nie pamiętam jak długim) dopływamy do Obi i – jestem tego prawie zupełnie pewna – następuje przesiadka. Po kolejnym bardzo nerwowym oczekiwaniu i licznych staraniach Rodziców, wsiadamy na duży, pasażerski statek i płyniemy w górę rzeki Ob. Rzeka jest ogromna – to jeszcze czas roztopów, pamiętam, że w pewnym miejscu nie widać było brzegów. To zresztą Mama, zafascynowana tym widokiem, wczesnym rankiem obudziła nas i zaprowadziła na pokład. Dziś mnie zdumiewa Jej ówczesna zdolność do zachwyty nad światem przyrody i chęć przekazania tego dzieciom. Ojciec był introwertykiem i jako dziecko nie miałam dostępu do Jego świata.

Razem z nami płynie jeszcze jedna polska, żydowska rodzina Zygelmanów – zamożni inteligenci, mówiący poprawnie po polsku (pamiętam słowa uznania moich Rodziców), z miłą córeczką Renatą (Natką) nieco ode mnie starszą. Pewnego dnia na tym statku usłyszeliśmy grany na fortepianie nasz hymn narodowy – pamiętam zszokowanych państwa Zygelmanów i minę mego Ojca. Okazało się, że to Mamusia weszła do jakiegoś pomieszczenia na górnym pokładzie i zobaczywszy fortepian nie umiała oprzeć się pokusie. *Nota bene* chyba tylko tyle Mama potrafiła zagrać – nie była muzykalna, ale tę melodię ćwiczyła jeszcze jako dziecko (w Uładówce – rosyjski zabór). To zdarzenie nie miało żadnych reperkusji, a zapamiętałam je tylko dlatego, że bardzo zaintrygowały mnie miny dorosłych.

Koniec lipca? – sierpień? Dojeżdżamy do Barnaulu i po następnych dniach koczowania (tym razem na dworcu) dostajemy zezwolenie na jazdę pociągiem, ale tylko do miasteczka Pospielicha, a nie do Semipałatyńska, o co Rodzice zabiegają. W Pospieliszce starania o dalszą podróż grzęzną w jakichś nieokreślonych przeszkodach. Rodzice wynajmują izbę (noce zaczynają być zimne) i dalej walczą o pozwolenie na kontynuowanie podróży. Taki stan zawieszenia i nerwowych starań w rozmaitych urzędach trwa dość długo. Wreszcie, chyba jeszcze w sierpniu, okazuje się, że dalsza podróż jest zabroniona. Dowiadujemy się, że Anders „zdradził” i wyprowadził wojsko. Nastrój władz staje się wrogi (nie pamiętam żadnych konkretów – to wspomnienie raczej atmosfery rozmów między Rodzicami). Rodzicom trudno znaleźć pracę. Po dłuższych staraniach obydwójga, Ojciec dostaje pracę jako „pisarz” w kołchozie Nowyj Mir – wyjeżdżamy koniem i furką przysłaną z kołchozu; jedziemy cały dzień (ok. 30 km).

**1943 r.**

Styczeń. Ojciec aresztowany za odmowę przyjęcia obywatelstwa radzieckiego; siedzi nie w kołchozie, lecz gdzieś dalej, w jakiejś większej miejscowości (mającą mi nazwy Pospielicha?, Rupcowka?). Po kilku dniach wraca, bo ugiął się pod groźbą, że Mamę też aresztują, a nas wezmą do „Dietsadu” (przytułku). Mamie od razu zagrozili odebraniem dzieci i dlatego podpisała zgodę na zmianę obywatelstwa. Mieszkamy w jednej izbie, Marysia i ja nigdzie nie wychodzimy, jest mroźna zima (ponad  $-40^{\circ}\text{C}$ ). Dobrze pamiętam atmosferę rozmów Rodziców, nie słowa, lecz twarze i ton głosów - prawie rozpacz, że teraz już chyba nie ma nadziei na powrót; przekonanie o możliwości każdego bezprawia. Rodzice nawzajem przekonują się, że nie można było postąpić inaczej, nie można ryzykować utratę, a co za tym idzie rusyfikację i komunizację dzieci. Nam mówią żebyśmy nigdy nie zapomnieli, że jesteśmy Polkami.

Przydziały kołchozowej żywności są dość skąpe i bardzo mało urozmaicone, ale z początku jest wcale nieźle. Pamiętam, że przez całą zimę 1942/43 jadłyśmy dwa posiłki dziennie: około godz.12 zupę ugotowaną z kartofli, z dodatkiem klusek z żytniej mąki, trochę okraszoną baraniami skwarkami, a wieczorem ziemniaki z odtłuszczonym mlekiem (kołchozowy przydział). Gdy było trochę więcej mąki Mama piekła tzw. „pyszki”. Nie wiem czy nazwa była miejscowa, czy to myśmy tak je nazwały, bo były pyszne - wyrosnięte na chlebowym zakwasie, pieczone na blasze. Zakwas przechowywało się z dnia na dzień w postaci kawałka surowego ciasta posypanego mąką. Nie wolno było na raz zjeść więcej niż jedną pyszkę, może dlatego tak smakowały. Mama próbuje sprzedawać jakąś mało przydatną odzież za czosnek i cebulę, by nie dopuścić do szkorbutu. My - dzieci - nie cierpimy głodu, bo przez całe dni siedzimy na pryczy, okutane, w co się da - na podłodze woda zamarza. Dla pracujących i niewystarczająco odzianych Rodziców to jedzenie jest jednak zbyt skąpe - pamiętam, że obydwójce są bardzo chudzi. Kiedyś nieznajomy chłopina zagadnął moją Mamę *per* „nu, starucha”, a Ona (trochę zaskoczona) zapytała na ile lat ocenia jej wiek. Oświadczył, że przecież na pewno jest starsza od niego, a on ma już dobrze po 60-tce! Mama miała wtedy niepełne 45 lat (urodziła się w listopadzie 1898 r.).

Tylko raz była uczta - gdy wilki zakradły się do kołchozowej owczarni. Nie wiem ile naprawdę było wilczych ofiar, ale kołchoz najadł się mięsa, a Ojciec, jako kołchozowy „pisarz” sporządził sążnisty raport o losowych stratach. Pamiętam to dobrze, bo Mama pomagała Mu pisać - lepiej władała językiem. Dylematem była odpowiedzialność jakiegoś biedaka - nocnego stróża; trzeba było możliwie zredukować jego winę.

W miarę zbliżania się przednówka jest coraz głodniej. Mama krąży po okolicznych kołchozach z resztkami rzeczy, które jeszcze można sprzedać (m.in. udało się wymienić zabytkowy pierścionek z brylantem za kilka kilo mąki; kolczyków nikt nie chce kupić - są zbyt misterne).

Z tego czasu pamiętam dramatyczny powrót Mamy w momencie przedczesnych roztopów. Tym razem Mama pojechała w podróż dwudniową saniami chyba do Pospielichi (miasteczko rejonowe). W drodze powrotnej powinna była przepłynąć się przez zamrzniętą rzekę Alej, a właściwie przez dwa cieki wodne, oddalone od siebie około 1 km, które w okresie roztopów

łączyły się tworząc jedno ogromne rozlewisko. Kołchoz Nowyj Mir leżał na wysokim urwistym brzegu Aleju. Pierwszą rzeczka przejechała Mama bezpiecznie po lodzie, lecz gdy dojechała do Aleju zobaczyła, że lód na rzece pokryła woda; na drugim brzegu stali ludzie z naszego kołchozu i coś krzyczeli wymachując rękami. Mama zesła z sań i zaczęła zastanawiać się co dalej robić – nie bardzo jak i gdzie miała wracać. Nagle zauważyła, że koń zaczyna bardzo powoli wchodzić na ten zalany lód – szedł ze łbem opuszczonym, jakby węsząc wodę. Mama, modląc się w duchu, puściła zupełnie luzno lejce i przysiadła na saniach. I tak powoli, powoli – idąc nie całkiem po linii prostej, ale jakby łagodnymi niewielkim zakosami – koń przeszedł bezpiecznie na drugi brzeg. Ludzie na brzegu stali jak zamarli, bo wiedzieli, że lody ruszają. Wkrótce po tym rozległy się potężne huki, to lody Aleju pękały i piętrzyły się. Dla każdego, kto znalazł się na ich drodze nie było ratunku, bo Alej to górską rzeką, wartką i wiosną bardzo niebezpieczną, choć latem był tam bród, przez który nawet ja mogłam przejść (woda sięgała mi prawie po brodę).

Maj (22 – to data „wstąpienia” do wojska). Ojciec dostaje powołanie do wojska (jest obywatelem ZSRR!). Wydaje mi się, że dopiero po pewnym czasie dowiadujemy się o tym, że został wcielony do polskiej dywizji (tzw. kościuszkowskiej). Zostajemy z Mamą, bez środków do życia. Mama intensywnie szuka zatrudnienia, ale stara się o nie gdzieś dalej, bo w kołchozie ogólny głód. Poza tym, jak uradzili z Ojcem, chce się przenieść bliżej większej miejscowości, m.in., dlatego, że rozchodzą się wiadomości o porozumieniu Wasilewska – Stalin i pogłoski o obiecanej repatriacji. Lepiej zamieszkać gdzieś, gdzie jest więcej Polaków. Mama wszystko to omawia ze mną, trochę mi tłumaczy, a trochę naradza, bo teraz jestem jej powiernicą (Marysia ma tylko 5 lat). Całkiem dobrze rozumiem sytuację, ale popłakuję, gdy Mama znika na całe dni. To dla mnie i Marysi okres najbardziej dokuczliwego głodu – na przydział jest tylko niełuskane proso w ograniczonych ilościach; Mama nawet nie ma z czego rezygnować na naszą korzyść.

Lato (lipiec?). Mama znajduje pracę jako księgowa w cegielni. Wyjeżdżamy do „Kir-Zawodu” – to cegielnia wraz z gospodarstwem pomocniczym i osiedlem pracowniczym parę kilometrów od Pospelichi.

Wrzesień. Marysia zapisana do przykładowego przedszkola, a ja idę do rosyjskiej szkoły, do drugiej klasy (w tym czasie dzieci w ZSRR zaczynały naukę w wieku 8 lat). Czuję się w szkole bardzo dobrze, umiem czytać i pisać nie gorzej niż inne dzieci, ale nie wiem, kiedy się tego nauczyłam. Jeszcze przed wojną umiałam czytać (może raczej sylabizować) i pisać litery (to pamiętam, bo pisałam wiosną 1939 r. prośbę do Zmartwychwstanek w Warszawie o przyjęcie mnie do szkoły od września – prośbę zresztą odrzucono, bo nie miałabym skończonych 6 lat). Nie wiem natomiast skąd znałam alfabet rosyjski, sądzę, że Mama mi go pokazała.

Dopiero teraz, w Kir-Zawodzie mamy po raz pierwszy kontakt z rosyjskimi dziećmi. (Teraz dziwię się, że nie bawiłyśmy się z żadnym dzieckiem w kołchozie, nie wiem, dlaczego tak było). Wspominam te kontakty ze szkolnymi koleżankami bardzo dobrze, nawiązałam pierwsze w życiu przyjaźnie, zwłaszcza z jedną dziewczynką – Wierą. Były wrogie wystąpienia, ale raczej na zasadzie „chłopcy przeciw dziewczynkom”. Rzucali w nas kamieniami, a my bynajmniej nie byłyśmy dłużne. Śliczna, wielkooka Marysia, która

ze swoimi złotymi loczkami była podobna do aniołka, nie wiem czemu wywoływała agresję u 10-13 -letnich podrostków. Rosyjskie koleżanki pomagały mi jej bronić. Oczywiście w czasie tych potyczek wyzwisko „polaczka” lub mocniej: „proklataja polaczka” nieraz padało i oczywiście już nawzajem wyzywaliśmy się „jewrej” (żyd). Jakoś nigdy nie odbierałam tego w kategoriach prawdziwego antypolonizmu lub antysemityzmu, choć Mama surowo zabraniała wyzywać się od „jewrejów” (a także od „kacapów”).

Ze szkołą w Kir-Zawodzie łączy się jedno zupełnie niezrozumiałe dla mnie zdarzenie. Po 2 lub 3 miesiącach nauczycielka powiedziała mojej Mamie, żeby zabrała mnie ze szkoły, ponieważ dzieci mnie prześladują. Ja zupełnie się z tym nie zgadzałam, prosiłam z płaczem, żeby mi pozwolono nadal chodzić do szkoły – nauczycielka była dla mnie miła i dostawałam dobre stopnie, czułam się akceptowana przez dzieci, lubiłam uczyć się wierszyków (to były wiersze Puszkina, Lermontowa, sama klasyka, niektóre pamiętam do dziś). Nauczycielka jednak nalegała i Mama jej uwierzyła. Po jakimś ataku malarii już nie wróciłam do szkoły. Ta sama nauczycielka przynosiła mi zresztą do czytania w czasie choroby naprawdę dobre książeczki - dwie z nich jeszcze pamiętam. Dlaczego praktycznie wyrzuciła mnie ze szkoły? Przypadkiem wróciło to wspomnienie po latach już w Polsce i rozmawiałam o nim z Mamą – była zawsze przekonana, że nauczycielka mówiła prawdę, a ja tylko udawałam, żeby nie martwić Matki. Ja jednak wiem, że tak nie było – przecież dziecko nie może nie odczuć prześladowania! Co się naprawdę wydarzyło? Czy nauczycielka dostała „prikaz z góry”? Dlaczego chciała się mnie pozbyć, choć wyraźnie okazywała mi sympatię? Dla swojego, czy dla mojego dobra? Szkoda, że nie dowiem się tego. W chwili, gdy to piszę, przyszło mi do głowy, że być może opowiadałam koleżankom o Polsce?? Nic takiego jednak nie zapamiętałam.

W Kir-Zawodzie przeżyłam najbardziej spektakularne spotkanie z wszawicą. Walka z wszami zaczęła się zresztą jeszcze w kołchozie (wcześniejszych tego typu kłopotów nie pamiętam). Otóż przez jakiś czas mieszkaliśmy w izbie na zapleczu biura administracji kołchozu. W biurze odbywały się cotygodniowe (?) zebrania kołchoźników, w których ojciec, jako „pisarz”, musiał uczestniczyć z urzędu. Po każdym takim zebraniu ojciec wracał z mnóstwem wszy. Pamiętam, że raz nie wytrzymał i w trakcie zebrania wbiegł do naszej izby, zdjął onuce, podwinął nogawki spodni i zaczął zbierać wszy – naliczył ich ponad 30! To już wtedy, w Nowym Mirze, nauczyliśmy się dwa razy dziennie sprawdzać odzież. Wieczorem przed spaniem każdy szew w zdejmowanej odzieży trzeba było odgiąć i sprawdzić. To samo robiło się rano przed włożeniem każdej sztuki ubrania. Mama pilnowała, by na noc wkładać inną odzież (nocnych koszulek dawno już nie było). Tak już było do końca pobytu na Sybirze i stało się odruchem; pamiętam, jak Mama upominała mnie po powrocie do Kraju, że tego już nie trzeba robić.

W Kir-Zawodzie zaczęła się plaga wszy głowowych – ciągle się pojawiały, mimo że miałyśmy włosy obcięte króciutko – „na języka”. Całe osiedle, podobnie zresztą jak i miasteczko Pospielicha było zawszawione – normalnym zajęciem było iskanie. W letnie niedzielne dni odbywało się ono publicznie, na przyzbie (gliniana ława – raczej szeroki niski murek ciągnący się wzdłuż domu). Członkowie rodzin, a także sąsiadki, iskały się nawzajem. Osoba iskająca siedziała na przyzbie, a iskana u jej kolan, wprost na ziemi. Iskająca rozgar-

niała włosy nożem i na nim rozgniatała złapane wszy. Do tej wypróbowanej techniki Mama nie mogła się przemóc – nóż był narzędziem stosowanym do wszystkiego – od krojenia chleba do szorowania podłogi; tę ostatnią funkcję u nas zresztą też pełnił.

W pewnym okresie inwazja wszy głowowych stała się niezwykle silna, aż wreszcie Mama wpadła na pomysł by sprawdzić, co się dzieje we włosach Niny, naszej dziesięcioletniej współlokatorki. Nina zamieszkała ze swoją babką (Rosjanką – gospodynią lokalu) i z nami, gdy została całkiem sama w jakichś nieokreślonych okolicznościach. Była bardzo nieśmiała (zastraszona?), nie bała się z nami, a babka była dla niej niezbyt dobra. Dziecko nosiło na głowie chusteczkę, której nie zdejmowało z głowy przez okrągłą dobę. Nasza Mama z trudem nakłoniła ją, by pod nieobecność babki pozwoliła ją sobie zdjąć. Na widok kłębu włosów wymieszanych z krwią, ropą i wszami Mamie zrobiło się niedobrze (nie w przenośni!), a nas wygoniła na podwórko. Po obcięciu dziecku włosów, umyciu i oczyszczeniu głowy oraz upraniu chustki wszystko wróciło do stanu normalnego – tj. do normalnego poziomu walki z wszami. Była jakaś ostra rozmowa z babką Niny, ale to pamiętam bardzo mętnie.

#### 1944 r.

Wczesna wiosna. Mama rzuca pracę w księgowości, ponieważ, jak mówi, w zakładzie jest mnóstwo rozmaitych nadużyć, a to grozi więzieniem – przede wszystkim księgowemu. Prezydent (prezes?) odpowiada w drugiej kolejności, a pierwszy sekretarz partii, czyli najwyższa władza, jest praktycznie bezkarny. Księgowa – Polka to zbyt oczywista ofiara dla takiej kliky. Są podobno wściekli, ale Mama absolutnie nie godzi się na sporządzenie następnego bilansu. Poszukiwanie zatrudnienia kończy się objęciem stanowiska kierownika manufaktury, w której robione są na drutach rękawice dla wojska, a potem, już latem, Mama zostaje nocnym stróżem w oborze przyzakładowej. Perypetie związane z tymi etatami opisałam w wywiadzie dla Marysi (mojej Wnuczki).

Lato. Chyba w tym czasie powstaje w Pospielisze Związek Patriotów Polskich i Mama zostaje wybrana „mężem zaufania”. Wyjeżdża w sprawach Związku do Barnaułu. Zapamiętałam to, bo dłuższa nieobecność Mamy to był duży stres. Zaczyna jednak być troszkę lżej – pojawia się jakaś pomoc materialna (pojedyncze sztuki odzieży, wydaje mi się, że z UNRR-y?), a Ojciec uzyskuje status najpierw podoficera, potem oficera (kończy wojnę jako porucznik) i do nas, jako rodziny wojskowego, zaczyna docierać dodatkowy przydział żywności. Choć nadal bywa dość głodno. Marysia, po przejściu choroby (chyba odry) jest tak osłabiona, że nie wstaje z łóżka; pamiętam jak leży bledziutka i śpi – w dzień i w nocy. Przerażona Mama pewnego dnia na rękach zanoszą ją do lekarza w Pospielisze; sama jest też wycieńczona i wraca półżywa. Pod koniec lata, przez krótki okres czasu Mama dorabia przy sporządzaniu finansowych sprawozdań w jakimś przedsiębiorstwie pracującym dla wojska i dostaje jako nielegalną zapłatę 2 duże kromki białego chleba. To rarytas. Musimy pilnować Marysi, żeby nikt z sąsiadów nie zobaczył tego chleba, co jest niełatwe przy ruchliwym z natury dziecku, które nie rozumie, o co chodzi. Jednak po paru takich ucztach o mało co nie dochodzi do wpadki. Mamę, wychodzącą z chlebem w teczce, zaczepia jakaś władza; na szczęście teczka robi wrażenie

pustej – to tylko dwie kromki. Mama – coś tam odpowiadając – instynktownie macha swobodnie rękami by podkreślić, że teczka jest lekka, a ona nic nie ma w kieszeniach trencza. Udaje się. Mama wraca jeszcze przerażona i tłumaczy, że za taką „zbrodnię” grozi kilka lat więzienia. Koniec z białym chlebem, ale doskonale rozumiem, że cudem uniknęliśmy straszego nieszczęścia.

To w tym okresie zaszło wydarzenie, które Mama kazała mi zapamiętać na całe życie. Pewnego dnia zabrakło zupełnie żywności, bo „pajok” (przydział) nie dotarł na czas. Mieszkająca z nami Polka z 6-letnim synkiem Waldkiem sama ledwie była w stanie wyżywić chorowite dziecko. Mama poszła do Pospielichi prosić lepiej sytuowaną polską rodzinę o jakąś pożyczkę. Kiedy zaczęła opowiadać w jakiej znalazłyśmy się sytuacji, gospodyni – gotując wcale obfity posiłek – natychmiast wylała potok narzekań na ciężkie życie i braki w zaopatrzeniu. Mamie (jak opowiadała) prośba o pożyczkę stanęła w gardle. Ale w domu naprawdę nie było nic do jedzenia i nic nie udało się wymienić na żywność. Zaszła jednak do naszej sąsiadki – Rosjanki. Ta, po wysłuchaniu Mamy, natychmiast wyciągnęła glinianą miskę z mąką, odsypała połowę i powiedziała: „nic nie kupię, ale masz tu mąki – tylko słuchaj Francewna (to tzw. „otczestwo” – córka Franciszka) – musisz mi zwrócić najdalej pojutrze, bo to wszystko, co mam, a przecież wiesz, że też mam dzieci”.

Nie pamiętam jak się ta sąsiadka nazywała, ale całe zdarzenie zapamiętałam i kilka razy starałam się o nim opowiedzieć. Nie wiem tylko czy ktoś, kto nie zna głodu – tzn. prawdziwego głodu, z niepewnością jutra, a nie tylko zaostrenia apetytu – zdoła docenić czyn tej kobiety.

A całkiem inną przygodę „spożywczą” przeżyła matka chorego Waldusia. Nie wiem, jakim cudem zdobyła kurę. Kłopot polegał na tym, że kura była żywa, najbliższe sąsiadki miały opory przed dokonaniem egzekucji, a mama Waldka nie chciała się tą kurą zbyt szeroko afiszować. Sytuacja była patowa chyba przez dwie godziny. Nagle właścicielka kury zjawiała się w izbie, tryumfalnie niosąc pozbawiony głowy *corpus delicti*. Pamiętam okrzyk naszej Mamy: „jak Pani to zrobiła?!”, a ona: „po prostu wzięłam siekierę, położyłam kurę na pieńku, zamknęłam oczy i pomyślałam, że to ...” – tu padło nazwisko sekretarza partii w Kir-Zawodzie. Mama wyraziła pełne zrozumienie.

Wczesna jesień. Przeprowadzamy się do Pospielichi, w której ma powstać polska szkoła. Mama nareszcie dostaje jakąś mało odpowiedzialną pracę w biurze, ale nie w samym miasteczku – codziennie idzie do pracy parę kilometrów, więc jeszcze mniej czasu ma dla nas. Szkoła powstaje (nie wiem, kiedy dokładnie), ale my z początku nie mamy butów, więc w zimie, jak prawie, co roku, nie wychodzimy z domu. O ile dobrze pamiętam, tylko w Kir-Zawodzie wychodziłam w zimie na dwór w jakichś starych walonkach, ale te się chyba po prostu rozleciały.

### 1945 r.

Jeszcze w zimie (a może wczesną wiosną?) przenosimy się do innego mieszkania, by zamieszkać wspólnie z p. Janiną Zielińską i jej córką, 17-letnią Halinką, oraz p. Marią Michalską z synami: Michaś jest troszkę starszy ode mnie, a Jurek nieco młodszy (między chłopcami jest tylko rok różnicy). Na każdą rodzinę przypada odrębna prycza. P. Maria pracuje i prowadzi odrębne gospodarstwo (bardzo głodne), natomiast Mama z p. Zielińską tworzą spół-

kę, co zostało ukartowane jeszcze zanim p. Zielińskiego wraz z synem zabrano do wojska. Mama pracuje, natomiast chorowita i niezaradna p. Janina opiekuje się dziećmi. Nie wiem, czemu Mama boi się nas zostawiać samych na całe dni i uważa, że w miasteczku nie jesteśmy całkiem bezpieczni. Halinka ma jakieś kłopoty z pracą – zbyt mętnie to sobie przypominam – wiem tylko, że próbowano ją „wrobić” w jakieś nadużycia. Po pewnym czasie został zwolniony z wojska mąż p. Janiny (ze względu na stan zdrowia) i Halinka ustąpiła swemu ojcu miejsca na pryczy. Sama przeniosła się na spanie na podłogę, przezornie umieszczając głowę pod stolikiem, by jej ktoś w nocy nie nadepnął.

P. Zieliński został zatrudniony w jakimś odzieżowym magazynie wojskowym i zaczął przynosić do domu stare wojskowe ubrania oraz swetry. Swetry były przez nas prute i na drutach przerabiane na „nowe” (roilo się w nich od węzełków). Jedno z ubrań było natomiast przeznaczane na łaty naszywane na pozostałe spodnie i bluzy. Byłam dumna ze swego udziału w tym procederze – oczywiście nielegalnym od początku do końca. Efekty przeróbek były sprzedawane w niedzielę na targu przez p. Zielińskiego i Mamę. Pamiętam jak Mama opowiadała o takiej scenie: kupujący wyraził opinię, że spodnie nie warte są wymaganej ceny, bo są stare i podarte, a Mama z oburzeniem i swadą stwierdziła, że jak się naszyje takie wspaniałe, mocne „akoszczka” (czyli „okienka” = łaty) to spodnie można uznać za nowe! No i kupił.

Zaczynamy uczęszczać do polskiej szkoły. Szkoła mieści się w jednej dużej izbie i chodzą do niej wszyscy polscy niepełnoletni – od lat 8 do 18. Jest nas około dwadzieścioro – dzieci uczące się czytać i kilkunastoletnie dryblasy, zresztą też bynajmniej nie biegłe w tej sztuce. Mamy tablicę i polską książkę (a może było kilka egzemplarzy?) do nauki czytania – nie pamiętam tego zupełnie, natomiast matematyki uczymy się z rosyjskich podręczników. Piszemy, jak we wszystkich szkołach (również rosyjskich), na zeszytach robionych własnoręcznie z gazet. Wydaje mi się, że w szkole jest jakieś dożywianie (mleko?, zupa?) z UNRR-y. Lekcje prowadzi tylko jedna nauczycielka, w średnim wieku. Nie bardzo pamiętam jak wyglądała, poza tym, że jak się śmiała to było widać tylko 2 wielkie, chwiejące się zęby (pewnie efekt szkorbutu). Miewała czasem 1-2-dniowe nieobecności z powodu choroby i wtedy jej dwoje bardzo mizernych, białych dzieci – moja rówieśnica Bogusia, którą bardzo lubiłam i młodszy chłopiec, często u nas przesiadywali. Dopiero w Polsce, gdy byłam już całkiem dorosła, dowiedziałam się od Mamy, że „nasza pani” była alkoholiczką. W chwili, gdy to piszę, z pewnym zdumieniem uświadomiłam sobie, że w tej szkole wcale sporo się nauczyłam – jak np. podstaw polskiej gramatyki i rozwiązywania matematycznych zadań tekstowych, których mnóstwo przerabialiśmy. Przygotowywaliśmy też akademie i przedstawienia, ale to muszę osobno opisać. Tu znowu spotkałam się z Natką Zygelman, która na tle naszej grupy wyróżniała się zdolnościami – śpiewała i tańczyła o niebo lepiej niż którekolwiek inne dziecko. Podobno to ona, po powrocie, została piosenkarką i występowała pod pseudonimem Natasza Zylska?

Naprawdę nieoceniony jednak był – jak to teraz widzę – zasób wiedzy przekazywany nam przez Rodziców, głównie przez Mamę. Najlepiej pamiętam Jej opowiadania o ulubionych książkach. Wróciłam do Polski znając imiona i nazwiska najważniejszych polskich poetów i pisarzy, tytuły oraz – z grubsza – treść najważniejszych dzieł. Wiedziałam co to jest i o czym *Trylogia*, *Quo vadis*,



*Dziady*, poznałam przynajmniej część zwrotek *Smutno mi Boże, Ody do młodości*, jakieś urywki wierszy Asnyka, itd., a także kim jest *Ania z Zielonego Wzgórza*, *Księżę i żebrak*, *Tajemniczy opiekun* i wiele innych. Pamiętam jak Mama opowiadała nam to wszystko wieczorami (czasami by nam zatkać głodne dzioby), a po pewnym czasie ze zmęczenia usypiała i przechodziła na słowne biurowe utarczki, oczywiście w języku rosyjskim. Pękałyśmy ze śmiechu i bezlitośnie budziłyśmy Mamę z żądaniem: „i co było dalej?”

Dość szybko Ojciec zaczął nam przysyłać z wojska wydawane dla I Dywizji Kościuszkowskiej pozycje z polskiej klasyki, oczywiście te o niedoli ludu oraz antyniemieckie. Do dziś mam Sienkiewicza *Opowiadania* (Biblioteczka Związku Patriotów Polskich w ZSRR, Moskwa 1943), a potem pamiętam, że był Mickiewicz: *Konrad Wallenrod* i *Grażyna*. Po zimie przesiedzianej na pryczy umiałam na pamięć całe ustępy Konrada Wallenroda, choć treść poematu pozostawała dla mnie dość tajemnicza. Marysia nauczyła się na Wallenrodzie czytać w ciągu tej zimy, jeszcze zanim poszła do szkoły; w poemacie było więcej dużych liter niż w prozie (początek każdego wersu) – tak się zaczęła ta nauka czytania.

W Pospielisze także wpadła mi do rąk (nie wiem skąd pożyczona, czy подарowana) książeczka do nabożeństwa dla dzieci idących do I Komunii św. Znalazłam w niej fascynujące treści. Po powrocie do Polski „z marszu” zdałam odpowiedni egzamin z katechizmu i zostałam dopuszczona do pierwszej spowiedzi i Komunii.

A tak w ogóle: ani razu w życiu nie udało mi się chodzić pełny rok szkolny do którejkolwiek klasy szkoły podstawowej. Mam za sobą kilka miesięcy II klasy rosyjskiej szkoły (1943 r.) oraz po kilka miesięcy klasy III i IV szkoły polskiej na Sybirze w latach 1944-46. W marcu 1946 r. wracaliśmy do Polski, a po powrocie przez maj i czerwiec chodziłam – na prośbę Rodziców – do klasy V u Sióstr Zmartwychwstańek na Żoliborzu. Dobre siostrzyczki uznały, że skoro czytam, piszę, liczę i orientuję się w historii Polski, to z resztą sobie poradzę i jakoś nadrobię stracone lata edukacji. I tak dostałam promocję do VI klasy. (Marysia poszła w Warszawie od razu do II klasy – właściwej swemu wiekowi). Ostatni rok opóźnienia nadrobiłam już w Lasowicach Małych dzięki długotrwałej chorobie – Rodzice uznali, że skoro uczyć się w domu (przy pewnej pomocy nauczyciela, za którą to pomoc otrzymywał drewno na opał) i na końcu roku szkolnego będę zdawała całość materiału, to mogę to zrobić w nieco szerszym zakresie. „Egzamin” z klas VI i VII w czerwcu 1947 r. wypadł pozytywnie; biorę to słowo w cudzysłów, bo atmosfera była mało oficjalna, a egzamin odbywał się w mieszkaniu Pani kierowniczkii szkoły. Moja Mama była obecna przy egzaminie i kiedy usłyszała, że niepewnie zaliczam jaszczurkę do kręgowców, z miejsca odruchowo zapytała „a wąż?”, na co ja już bez cienia wahania oświadczyłam, że wąż kręgowcem nie jest. Ale jesienią poszłam do gimnazjum w Kluczborku. Byłam jedną z najmłodszych – wiek uczniów w mojej klasie I wahał się od 15 do 21 lat, a moje braki wiedzy nie były bynajmniej rażące ani wyjątkowe.

Maj. Wojna skończona, ale w naszej sytuacji niewiele się zmienia, tylko przydziały żywności są większe (ojciec awansuje na porucznika). I coraz częściej słychać o powrocie. Wieczorami, gdy my, dzieci, już usypiamy, wpadają do nas Polki, by zasięgnąć wieści (Mama jest „mężem zaufania”. No i czyta gazety). Jeszcze dziś słyszę pełne nadziei pytania „to, co pani Alino, JADZIEM?!?”.

W tym czasie zmienia się natomiast zupełnie wygląd bazaru w Pospielisze, który teraz kipi życiem w każdą niedzielę. Stragany (długie ławy z desek) są zarzucone mnóstwem rzeczy przysyłanych rodzinom przez krasnoarmiejców z Niemiec. Tłumy się kłębią. Marysia i ja też wypatrujemy oczy oglądając cudowne dziecinne sukienki i pantofelki (do dziś niektóre pamiętam), kolorowe zasłony i rozmaite niewidziane nigdy (lub zapomniane) przedmioty. Krążą plotki o pokrwawionych ubraniach, jakoby przysyłanych wprost z zamordowanych Niemców. Nigdy takich rzeczy na własne oczy nie widziałam. Pamiętam natomiast jak przyszła do nas sąsiadka z pomarańczą i nieśmiało zapytała, co z tym zrobić, bo to takie gorzkie. Nie przyszło jej do głowy by obrać. I pamiętam, że Mama zabroniła mi kpić z tego, bo przecież to owoc, który na Sybirze nie rośnie i taka niewiedza jest niezawiniona.

Zimą tego roku z początku na zmianę chodziłam do szkoły z Marysią, bo były tylko jedne walonki. W tym czasie byłyśmy jednego wzrostu, mimo że ja miałam 12, a Marysia 8 lat; Rosjanki dziwiły się, że te bliźniaczki są takie różne – jedna bielutka (bielieńkaja), a druga czarniutka (czernieńkaja)?”. A ja tanim kosztem uchodziłam za tę bardzo mądrą.

Potem już obydwie miałyśmy to wspaniałe sybirskie obuwie. Pamiętam jednak, że na drogę do szkoły byłam opatulana z wierzchu jakimś pledem (Marysia też), bo nie miałyśmy odpowiedniej na mrozy odzieży – wstydziłam się tego i awanturowałam twierdząc, że wcale nie jest mi zimno. Pamiętam groźne ultimatum Mamy: „albo to włożysz, albo zostajesz w domu!”. To była straszna kara i oczywiście pozwalałam się obwiązywać „tą szmatą”. Przypomina mi się to zawsze, kiedy moje Wnuki tak pomysłowo usiłują uniknąć pójścia szkoły.

### 1946 r.

Marzec. Wracamy do Polski. Ładujemy się (około 15 marca) do wagonów tzw. „bydlęcych” i podobnie przystosowanych do podróży jak, w 1940 r., ale chyba mniej zatłoczonych i w jakże innej atmosferze. Mama jako „mąż zaufania” zdenerwowana i zabiegana do ostateczności. Część rodzin z dalszych kołchozów (wydaje mi się, że z odległości około 100 km, bo jechali kilka dni) nie dociera w wyznaczonym terminie na dworzec w Pospielisze. Mama stara się opóźnić odjazd i usiłuje poprzez władze i bezpośrednie telefony (oczywiście służbowe – innych nie ma) zdobyć o nich jakieś informacje. Ewidentnie niektóre lokalne władze szykanują Polaków – nie zawiadamiają w porę, nie dają środków transportu itp. Wreszcie część ludzi dojeżdża, chyba na trzeci dzień po wyznaczonym terminie. Na końcu zjawia się rodzina z noworodkiem. Jazda traktorem przyspieszyła poród – stąd opóźnienie; maleństwo urodziło się w pustym stepie, bez żadnej fachowej pomocy. Słyszałam później, że dziecko (chyba chłopczyk) dojechało żywe do Polski.

Dla mojej Mamy cała radość wyjazdu została jednak w końcu zmacona bardzo przykrym zdarzeniem, które było dla Niej prawdziwym cierpieniem do końca życia. Tuż przed terminem wyjazdu, w jednej z polskich rodzin mieszkających w Pospielisze, zachorowała dorosła córka. Matka dziewczyny wzywa miejscowego (rejonowego) lekarza, a ten stwierdza odrę. Choroba jest zakaźna i władze sanitarne odmawiają zgody na wyjazd. Lekarz tłumaczy zresztą, że wyjazd w takich warunkach zagraża życiu pacjentki. Matka dziewczyny jest zrozpaczona i gwałtownie usiłuje jednak dostać się do pociągu. Jest głucha

na tłumaczenia, że o wypadku powiadomiono polskie władze repatriacyjne, że z tego rejonu jeszcze nie wszyscy Polacy są ewakuowani i że planowany jest jeszcze jeden eszalon. Wieczorem przychodzi do nas i błaga moją Mamę o pomoc w przemyczeniu dziewczyny do wagonu. Mama jednak uważa, że w tych warunkach jest to niemożliwe i nierozumne. Tłumaczy, że w razie wykrycia takiego wykroczenia władze wysadzą je na pierwszej lepszej stacji, a wtedy mogą się znaleźć poza ewidencją repatriacyjną. Odmawia pomocy. Kobieta wychodzi przeklinając nas i życząc byśmy nie dojechały żywe do Polski. Bardzo było mi żal mojej Matki, ale i o tej naszej rodaczce myślę ze ściśniętym sercem – co ona przeżyła jak pociąg odjeżdżał. Mam nadzieję, że wróciła do Polski.

Marzec 21 (?). Wyruszamy z parodniowym opóźnieniem. W czasie postojów Mama wysiada (chyba w Alejsku, a potem jeszcze w jakimś dużym mieście) by jeszcze raz, tym razem osobiście upewnić się, że władze repatriacyjne mają spis polskich rodzin, które pozostały jeszcze w rejonie Pospielichi. Pamiętam te wyjścia doskonale, bo umierałam ze strachu, że Mama nie zdąży wrócić i pociąg odjedzie z nami bez Niej. Z samej podróży przez Rosję niewiele pamiętam. Śpiew – czasami ludzie śpiewali pieśni religijne i patriotyczne; niekiedy próbowali razem – umawiali się, że cały pociąg będzie śpiewał to samo. Ale to było rzadko. Może zresztą było różnie w różnych wagonach. Pamiętam też wysiadanie w szczerym polu podczas postojów i załatwianie się na poboczach, co było krępujące. Co bardziej wstydliwi włązili pod pociąg; kiedyś pociąg ruszył bez zwyczajowego gwizdu ostrzegawczego i podniósł się przerażający wrzask. Pociąg stanął i nic się nikomu nie stało. To chyba jednak z tego czasu pochodzi nawiedzający mnie przez całe życie koszmar: usiłuję wsiąść do pociągu i nie mogę, bo jest za wysoko... Rzeczywiście Mama podsadzała nas do wagonu.

Pamiętam jeszcze jeden drobiazg. Gdzieś chyba w okolicach Uralu patrzyłam przez okienko wagonu na dalekie zalesione wzgórza. Chciało się je głaskać – pomyślałam, że wyglądają jakby okryte szubą. SZUBĄ? To przecież po rosyjsku, szuba, szuba, jak jest po polsku „szuba”? Po dłuższej chwili zapytałam Mamę. Odpowiedziała tylko: „nie wiesz? to futro”, ale była tak zdziwiona i zgorzonna, że się skręciłam ze wstydu. Przeżycie było tak silne, że pamiętam je po tylu latach. Mama włożyła mnóstwo trudu by zapobiec naszej rusyfikacji – wróciłyśmy mówiąc swobodnie i poprawnie po polsku, a nie w każdej rodzinie tak było. Pamiętam jedną z Polek wołającą do dziecka: „zbiegaj dietka, zbiegaj, przynieś mi wirówkę” (ros. „wirowka” znaczy sznurek).

Kwiecień. Przejeżdżamy przez dawne polskie Kresy. Pamiętam nastrój w wagonie – cichy żal, że to już nie nasze, nie polskie; ale o tym ludzie mówią szeptem, do zaufanych znajomych. A potem, na jakiejś stacji, to okropne spotkanie z eszalonem jadącym na wschód; pociąg z wagonami zaplombowanymi i zakratowanymi okienkami, przez które ludzie krzyczeli po polsku, że ich wywożą na Sybir, że nie mają picia, są głodni. Z naszego pociągu ludzie wyskakują, chcą coś podać, ale natychmiast uzbrojona straż zagania naszych z powrotem i nasz pociąg rusza; jedzie tylko gdzieś poza stację i tam dalej stoimy czekając na wolną drogę – nie wolno wysiadać. To był kwiecień 1946 r. Lekcja nowej Polski.

Przekraczamy nową granicę Polski – chyba w Medyce? Potem pociąg zatrzymuje się w polu. Wszyscy dorośli płaczą. Ludzie wysiadają z wagonów i całują ziemię. Na drugi dzień dowiadujemy się, że zmarła p. Maria Kamińska

(?), która podobno jeszcze przed wojną była chora na serce, jednak wszystko przeżyła – wszystko prócz powrotu. Jej dwóch nieletnich synów zostało ze starą babcią.

Dojeżdżamy do Pyskowic. To stacja końcowa skąd ludzie mają się rozjechać do wybranych przez siebie miejscowości. Ale na razie jest późne popołudnie. Z bocznych torów gdzie stoi nasz pociąg widać wieżę kościoła. Nie pamiętam jak to się stało, ale wkrótce jesteśmy wraz z całym tłumem Sybiraków koło kościoła. Zjawia się proboszcz, otwiera kościół i zaczyna się improwizowane nabożeństwo (msze wówczas odprawiano tylko rano). Cały kościół szlocha, a proboszczowi też głos się łamie.

21 kwietnia dojeżdżamy pociągiem osobowym do Warszawy, gdzie czeka na nas Ojciec.

---

---

## KRONIKA

### • RDZENNE NARODY SYBERII W PRACACH POLSKICH BADACZY. PAMIĘCI EDWARDA PIEKARSKIEGO (1858-1934)

Osiemdziesiąta rocznica śmierci polskiego badacza języka i kultury Jakutów, była dogodną okazją do zaprezentowania nowych i przypomnienia prowadzonych od dłuższego już czasu badań nad dorobkiem polskich zesłańców w dziedzinie badań jakutologicznych. Trwałym efektem petersburskiej konferencji naukowej, było opublikowanie drukiem wygłoszonych na niej 16 referatów<sup>1</sup>. Postać polskiego zesłańcy i badacza języka jakuckiego Edwarda Piekarskiego, jest w Polsce bardzo mało znana i wydaje się, że zarówno ta jak i następne konferencje nie są w stanie zmienić tego stanu rzeczy. Jedną z referentek – Kjunnej Takaahaj – podsumowała, że polskim badaczom Jakucji i szeroko rozumianej Syberii w ostatnich kilku latach poświęcono pięć konferencji<sup>2</sup>. Jednak w polskim obiegu naukowym, sytuacja nie uległa istotnej zmianie. Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy jest fakt, że tylko jedna konferencja odbyła się w Warszawie, trzy w Jakucku i jedna nad Bajkałem. Nie mniej istotnym aspektem badań jest ich atrakcyjność dla polskiego historyka, gdyż to ich materiały mają największą szansę dotrzeć do polskiego odbiorcy. Pod tym względem większym zainteresowaniem badaczy cieszą się zesłania z okresu stalinowskiego, wiek XIX to już zbyt zamierzchła historia. Wreszcie oczywistym jest fakt, że na tych polsko-syberyjskich spotkaniach, większość referatów gloszona i publikowana jest w języku rosyjskim i to też zawęża krąg odbiorców.

Główny bohater obrad E. Piekarski i inni polscy badacze historii oraz kultury narodu Sacha, pozostają więc nadal nieznanymi polskiemu czytelnikowi. Powstaje pytanie skąd mieliby ją czerpać? Jedną z najnowszych wersji multimedialnej *Encyklopedii powszechnej* PWN (2008) zamieszcza o Piekarskim dosłownie jedno zdanie. Podane są dokładne daty życia i określenie: „języko-

---

<sup>1</sup> *Koriennyje narody Sibiri w trudach polskich issledowatelej. Pamjati Edwarda Piekarskiego (1858-1943). Matieriały Mieżdunarodnoj naucznoj konfierencii Sankt-Pietierburg, 25-26 sientjabria 2014 g.*, red. W.N. Iwanow, Jakutsk 2015. Publikacja sfinansowana została ze środków Konsulatu Generalnego Republiki Polskiej w Irkucku, a nakład 300 egzemplarzy z góry ogranicza możliwość dotarcia do większej liczby czytelników. O przebiegu konferencji zob. F. Nowiński, *Polscy badacze wschodniej Syberii w XIX w.*, „Zesłaniec”, 2014, t. 61, s. 140-144.

<sup>2</sup> K. Takaahaj, *Dwie postacie – dwa losy: Waclaw Sieroszewski i Edward Piekarski*, [w:] *Koriennyje narody Sibiri...*, s. 68-69. W informacji o autorach nazwisko referentki brzmi Takasajewa i czytelnik nie wie, czy to błąd drukarski czy tak powinno się poprawnie pisać to nazwisko.

znawca i etnograf, jakutolog”. Nie wspomniano nawet jednym słowem, że był Polakiem. W popularnej czterotomowej *Encyklopedii powszechnej* PWN nie ma co prawda wzmianki o polskim pochodzeniu, ale wymienione są dwie najwartościowsze jego prace naukowe, wspomniano także o związkach z polską orientalistyką<sup>3</sup>. Dopiero w Wikipedii, chociaż jego biogram liczy dosłownie pięć zdań, jest wyraźnie zaznaczone – „polski badacz Syberii”. Słusznie też podkreślono, że bardziej znany i ceniony jest w Jakucji – w Jakucku ma nawet swój pomnik. W tej sytuacji swoistym kompendium podstawowej wiedzy o polskich badaczach Jakutów, jest bez wątpienia monografia Witolda Armona<sup>4</sup>. Zamieszczono w nim informacje o 25 osobach, najobszerniejsza o Wacławie Sieroszewskim i nieco mniejsza o Edwardzie Piekarskim.

Sieroszewski i Piekarski są niewątpliwie wyjątkowymi postaciami wśród polskich badaczy Jakucji i dlatego nie dziwi fakt, że K. Takaahaj zwróciła na nich swoją uwagę w wygłoszonym referacie<sup>5</sup>. Obydwaj urodzili się w tym samym 1858 r., ale w różnych miejscach. Sieroszewski pod Warszawą, w centrum ziem etnicznie polskich, a Piekarski na Kresach Wschodnich pod Mińskiem. W młodości Sieroszewski związał się z polskim ruchem socjalistycznym, podczas gdy Piekarski z rosyjskim narodnictwem. Obydwo połączył tylko wyrok – zesłanie na Syberię do dalekiej Jakucji. Trafne i słuszne były postawione dwa pytania badawcze przez referentkę: „Jaki jest poziom wiedzy o tych dwóch postaciach we współczesnej Polsce” i „Czy ci dwaj Polacy (Sieroszewski i Piekarski) znali się osobiście i jakie mieli relacje”. Autorka, nie Polka, z pewnym zdziwieniem stwierdziła, że obydwaj nazwiska „znane są jedynie wąskiemu gronu osób”. Wpłynęła na to ich droga życiowa po odbyciu kary. Piekarski pozostał w Jakucji i kontynuował badania, których efektem było „dzieło życia” – *Słownik języka jakuckiego*, który doczekał się 13 wydań. Karierę naukową robił w Cesarskim Rosyjskim Towarzystwie Geograficznym, a później w Akademii Nauk ZSRR. Największym osiągnięciem naukowym Sieroszewskiego była monografia *Jakuty. Opyt etnograficznego issledowanija*. Później, już po wybuchu Wielkiej Wojny, Sieroszewski znalazł się w Legionach, a po odrodzeniu się państwa polskiego należał do kręgu osób bliskich Józefowi Piłsudskiemu. Był więc osobą w Polsce znaną. Dzięki opublikowaniu drukiem szeregu jego prac w okresie międzywojennym, jak i pełne dwudziestotomowe wydanie *Dzieł* na początku lat sześćdziesiątych XX w.<sup>6</sup>, sprzyjało jego

<sup>3</sup> *Encyklopedii powszechnej* PWN, t. 3, Warszawa 1975, s. 508.

<sup>4</sup> W. Armon, *Polscy badacze Jakutów*, w serii *Monografie z dziejów nauki i techniki*, t. CXII, Wrocław 1977, s. 82-113. W. Armon jest także autorem biogramu Piekarskiego w *Polskim słowniku biograficznym*, zob. W. Armon, *Polski słownik biograficzny*, t. XXVI/1, Warszawa-Kraków-Gdańsk-Łódź 1981, s. 60-62. Ciekawe materiały o polskich badaczach Jakucji zob. *Ssylnyje polaki w Jakutii: itogi, zadaczi, issledowanije pribywanija. Sbornik naucznych trudow*, red. P. L. Kazarian, Jakutsk 1999. Nazwisko Sieroszewskiego jest kilkakrotnie wymieniane w fundamentalnej pracy Michała Janika o zesańcach, ale Piekarskiego brak; M. Janik, *Dzieje Polaków na Syberii*, Kraków 1928, s. 464 (reprint z 1991).

<sup>5</sup> K. Takaahaj, op. cit., s. 68-79.

<sup>6</sup> W. Sieroszewski, *Dzieła*, t. I-XX, red. A. Lam i J. Skórnicki, Kraków 1959-1963. Szerzej o dorobku i twórczości W. Sieroszewskiego zob. H. M. Małgowska, *Sieroszewski i Syberia*, Toruń 1973.

popularności. Dorobek naukowy Piekarskiego drukowany był w Rosji, a do polskiego odbiorcy docierały jedynie pojedyncze artykuły w okresie międzywojennym, publikowane na łamach „Rocznika Orientalistycznego”.

Na drugie z pytań badawczych K. Takaahaj daje twierdzącą odpowiedź i przy tej okazji porusza zagadkowy problem krytyki dzieła Sieroszewskiego, płynącej z kręgu osób bliskich Piekarskiemu. Sam Piekarski nigdy z taką krytyką nie wystąpił<sup>7</sup>. U obydwu był jeszcze problem tzw. „jakuckich żon”, które bez wątpienia odegrały kluczową rolę w szybkiej nauce języka jakuckiego i dalszych badaniach naukowych. Sieroszewski swą przyszłą żonę Jakutkę Annę Slepcową poznał w 1880 r. i wkrótce urodziła im się córka Maria. Prawdopodobnie w 1887 r. Anna umiera, a w 1892 r. Sieroszewski z córką przenoszą się do Irkucka. Kiedy autor *Jakutów* zdecydował się powrócić do stron ojczystrych, córka nie czując się do końca Polką, pozostała do śmierci w Rosji<sup>8</sup>. Starszą siostrą żony Sieroszewskiego była Irina Slepцова, która wyszła za mąż za zesłańca postyczniowego Jana Zaborowskiego. Sylwetkę i zesłańcze losy tego praktycznie nieznanego Polaka, przedstawił w swoim wystąpieniu Piotr Koriakin<sup>9</sup>. Autor wykorzystał zachowane materiały z Narodowego Archiwum Republiki Sacha i chociażby z tego powodu zasługuje na uwagę. Zaborowski badań naukowych nie prowadził gdyż był niepiśmienny. Swoją przyszłą żonę poznał latem 1872 r. i najprawdopodobniej bez zgody władz wkrótce zawarli związek małżeński w obrządku prawosławnym. Zaborowski należał do tzw. niepokornych zesłańców i popadał często w konflikty z miejscowymi władzami. Najbardziej spektakularnym przejawem tej postawy, była odmowa złożenia przysięgi na wierność carowi Aleksandrowi III. Miejscowe władze nie ułatwiały mu życia i przez wiele lat wstrzymywały wydawanie przysługującego mu przydziału żywności. W trudnych warunkach jakuckiego klimatu, deputat żywnościowy wpływał w istotny sposób na życie tej niezamożnej rodziny. W gospodarstwie Zaborowskich, oprócz dwójki ich biologicznych dzieci, mieszkał jeszcze kilkunastoletni siostrzeniec żony (lub bratanek) i służący. Jan Zaborowski był jednym z wielu polskich zesłańców, którzy poza potomstwem nie pozostawili po sobie żadnego trwałego śladu. Zmarł w listopadzie 1905 r. i został pochowany na cmentarzu przy wierchojańskiej katedrze. Wszystko na to wskazuje, że zarówno dzieci jak i wnukowie nie czuli żadnych związków z polskością.

Kobiety w życiu Piekarskiego są do dziś zagadnieniem wywołującym niemałe problemy. Pisze o tym wspomniana już powyżej Kjunnej Takaahaj stwierdzając, że miał trzy żony: Annę Szestakową, Christinę (Krystynę?) Slepcową i Jelenę Kugajewską. Jedyne oficjalne małżeństwo zawarł w 1904 r. z Kugajewską, z którą pozostawał w związku aż do śmierci w 1934 r. Proble-

---

<sup>7</sup> O krytyce ustaleń Sieroszewskiego zob. W. Armon, *Polscy badacze Jakutów...*, s. 95-98.

<sup>8</sup> K. Takaahaj, op. cit., s. 75-76. Jest jednak problem z nazwiskiem żony Sieroszewskiego. Michał Pędracki, autor referatu o badaniach nad szamanizmem podał, że żoną Sieroszewskiego była Jakutka Arina Czelba-Kysa; por. M. Pędracki, *Szamanizm jakucki w ujęciu Wacława Sieroszewskiego*, [w:] *Koriennyje narody Sibiri...*, s. 47.

<sup>9</sup> P. I. Koriakin, *J. O. Zaborowskij w jakutskoj ssylkie*, [w:] *Koriennyje narody Sibiri...*, s. 119-124. Nie wymienia tego nazwiska nawet tak solidny badacz polskich zesłań jak Michał Janik.

mem są dwa wcześniejsze związki. Z Szestakową mieszkał przez 13 lat i jak twierdzi autorka, miał z nią dwoje dzieci: Susannę (Zuzannę) urodzoną w 1894 r. i Nikołaja urodzonego w 1895 r. Po śmierci ich matki usynowił Nikołaja, zabrał go do Petersburga, wykształcił i zapewnił mu dobry start życiowy. Z dorosłym już synem stosunki układały się coraz gorzej i przed śmiercią Piekarski zerwał z nim całkowicie kontakt<sup>10</sup>. Wyprostowaniem i wyjaśnieniem tych zawiłych rodzinnych związków Piekarskiego, w oparciu o materiały z petersburskiego archiwum Rosyjskiej Akademii Nauk (RAN), zajęła się Tatiana Szczerbakowa z domu Kugujewskaja<sup>11</sup>. Jelena Kugujewska była rodzoną siostrą dziadka autorki artykułu Leonida Kugujewskiego. Wykorzystane materiały archiwalne wykluczają rodzinny subiektywizm i sentymenty, zasługują więc na wiarygodność. Połowę swojego wystąpienia poświęciła T. Szczerbakowa relacjom Piekarskiego z ojcem, macochą i przyrodnim rodzeństwem. Stosunki rodzinne po tej linii układały się wręcz serdecznie i nie budzą żadnych wątpliwości. Z ojcem utrzymywał kontakt do ostatnich dni jego życia, a z rodzeństwem kontakty układały się dobrze. Najwięcej wątpliwości budzą relacje E. Piekarskiego z A. Szestakową i ten problem autorka referatu starała się w oparciu o dostępne dokumenty wyjaśnić.

Na miejsce odbywania kary (Boturusski ulus) dotarł Piekarski jesienią 1881 r. Szestakowa pojawia się w jego domu w 1882 r. i mieszka z nim 13 lat, czyli do 1895 r. Z zachowanych dokumentów wynika jednoznacznie, że nie byli małżeństwem. Nie wiadomo kim był biologiczny ojciec dwójki dzieci: Susanny i Nikołaja. Wiadomo, że opiekował się dziećmi i starał się zabezpieczyć ich utrzymanie nadziałami ziemi, przyznanymi mu przez miejscową wspólnotę. Latem 1900 r. Anna Szestakowa umiera przy porodzie kolejnego dziecka. Była wtedy żoną A. Konstantinowa. W 1901 r. Piekarski podjął starania o adopcję osieroconych dzieci. Susanna zmarła w marcu 1903 r., kiedy jeszcze formalności adopcyjne nie zostały załatwione. Natomiast Nikołaj został oficjalnie usynowiony i używał patronimika *Eduardowicz*. Znamiennym jest fakt, że na miesiąc przed śmiercią Piekarski zapisał w swoim dzienniku, iż Nikołaj nie jest jego biologicznym synem. Z Christiną Slepcową Piekarski związany był w latach 1897-1902 „cywilnym małżeństwem”. Jedyne oficjalne i sakramentalne małżeństwo, w obrządku prawosławnym, zawarł Piekarski w Jakucku 26 września 1904 r. z córką miejscowego urzędnika Jeleną Kugajewską. Gdy państwo młodzi (on miał 46 lat a ona 28) w 1905 r. wyjeżdżali do Petersburga, zabrali z sobą dziewięcioletniego Nikołaja. Małżeństwo było nadzwyczaj udane i przetrwało aż do śmierci Piekarskiego w 1934 r. Jelena Piekarska zmarła w czasie blokady Leningradu w 1942 r. Szkoda tylko, że żadna z autorek – ani Kjunnej Takaahaj ani Tatiana Szczerbakowa – nie wyjaśniły powodu konfliktu ojca z adoptowanym synem. Może miało to jakiś związek z faktem aresztowania Nikołaja przez słynne GPU (Państwowy Zarząd Polityczny) w 1929 r. Piekarski użył wszystkich swoich wpływów i uwolnił go z więzienia.

<sup>10</sup> K. Takaahaj, op. cit., s. 76.

<sup>11</sup> T. A. Szczerbakowa (Kugujewskaja), *E. K. Piekarskij kak siemjanin (po materialam Sankt-Pietierburskogo filiala Archiwa RAN)*, [w:] *Koriennyje narody Sibiri...*, s. 87-93.



W ścisłej korelacji z referatem Tatiany Szczerbakowej był referat Larysy Bondar o materiałach przechowywanych w Sankt-Petersburskiej Filii Archiwum RAN w zespole E. Piekarskiego<sup>12</sup>. Z przypisów zamieszczanych przez Szczerbakową wiadomo, że archiwalny zespół Piekarskiego ma numer 202. L. Bondar nie stosowała przypisów a numery inwentarza i jednostek podawała w tekście referatu. Jak można się domyślać, podstawowe materiały do archiwum w latach 1934 i 1938 przekazała wdowa po zmarłym polskim jakutologu, a uzupełnione zostały one w 2008 r. przez kolekcje fotodokumentów od T. Szczerbakowej. Bondar bardzo szczegółowo scharakteryzowała trzy grupy dokumentów (*opis*'), a nawet zasoby poszczególnych teczek w ramach inwentarza. Materiał zgromadzony w zespole jest bardzo bogaty i różnorodny. Mamy w nim obfitą korespondencję Piekarskiego z rodziną oraz różnymi osobami mniej i bardziej oficjalnymi. Ci ostatni są to działacze społeczni rosyjscy i jakuccy, naukowcy z różnych szczebli, przede wszystkim z Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego i Akademii Nauk. Wśród korespondentów Piekarskiego mamy zarówno zesłańców rosyjskich jak i polskich. Wśród tych ostatnich można wymienić takie nazwiska jak Mikołaj Witaszewski czy Sergiusz Jastrzębski. Zachowała się także bogata rękopiśmienna dokumentacja Piekarskiego z ekspedycji naukowych po Jakucji na różne tematy. Bardzo szerokie i różnorodne były kontakty Piekarskiego z organizacjami naukowymi, politycznymi i kulturalno-oświatowymi, szczególnie z Jakucji. Nie mogło zabraknąć wspomnień i dziennika, ale nie mają one charakteru ciągłego. Inwentarz nr 3, warto to podkreślić, zawiera rękopiśmienne notatki do „dzieła życia” naszego jakutologa, czyli materiały do słownika jakuckiego. Ta część dokumentów w 1984 r. poddana była ponownemu opracowaniu i uporządkowaniu przez pracowników archiwum.

Potwierdzeniem tych szerokich i bogatych kontaktów E. Piekarskiego, może być jego korespondencja z rosyjskim etnografem i badaczem narodów północy Wiktoorem Wasilewem (1871-1931). Łączyły ich badania naukowe i bliska przyjaźń. W krótkim wystąpieniu Aleksandr Pietrow skupił się na wybranych fragmentach listów z połowy lat dwudziestych XX w.<sup>13</sup>. W nowej radzieckiej rzeczywistości Wasilew miał trudności ze znalezieniem pracy i w tej sprawie zwrócił się o pomoc do Piekarskiego. Nasz jakutolog pomógł mu załatwić pracę na Uniwersytecie Irkuckim, a w 1926 r. spowodował, że Wasilew znalazł się wśród członków Ekspedycji Jakuckiej.

Larysa Bondar wymieniła w swoim referacie całą plejadę nazwisk profesorów rosyjskich, pominęła jednak polskiego profesora Władysława Kotwicza (1872-1944), który też należał do petersburskiego ośrodka naukowego i miał kontakty z E. Piekarskim. Omówieniem dorobku naukowego W. Kotwicza, badacza języków altajskich, zajęła się Marina Bielanskaja, nie wspominając nawet słowem o jego związkach z Piekarskim<sup>14</sup>. Polskiego

<sup>12</sup> L. D. Bondar, *Fond E. K. Piekarskiego w Sankt-Pietierburgskom Filiale Archiwa RAN*, [w:] *Koriennyje narody Sibiri...*, s. 93-97.

<sup>13</sup> A. A. Pietrow, *O pieriepiskie W. N. Wasilewa i E. K. Piekarskiego*, [w:] *Koriennyje narody Sibiri...*, s. 111-113.

<sup>14</sup> M. Ch. Bielanskaja, *Wkład polskich uczonych w izuczenije jazykow tunguzo-manczżurskich narodow Rossii*, [w:] *Koriennyje narody Sibiri...*, s. 79-83.

słuchacza zdziwić może użyte już we wstępie referatu określenie, że był to „rosyjsko-polski uczonej”. Argumentem dla takiego określenia był fakt, że przez 30 lat W. Kotwicz związany był z Petersburgiem-Piotrogirodem. W 1891 r. wstąpił na Wydział Języków Wschodnich Uniwersytetu Petersburskiego, tu w 1900 r. obronił rozprawę doktorską i objął katedrę filologii mongolskiej, a ukoronowaniem jego kariery w tutejszym uniwersytecie było uzyskanie w 1923 r. tytułu profesora. Od 1920 r. był dyrektorem Instytutu Żywych Języków Wschodnich.

Będąc już znanym i cenionym orientalistą, Kotwicz w 1922 r. otrzymał propozycję podjęcia pracy od dwóch polskich uniwersytetów: Jagiellońskiego w Krakowie i Jana Kazimierza we Lwowie. Wybrał Lwów i w 1923 r. tam objął katedrę języków Dalekiego Wschodu. Na jego dorobek złożyło się około 150 prac na temat języka i folkloru ludów mongolskich. Języki ludów ałtajskich były głównym punktem jego zainteresowań badawczych. Bardzo obiecującą była współpraca Kotwicza ze studentem Fiodorem Muromskim, który podczas dwóch ekspedycji terenowych (1906-1908) zebrał bogaty materiał lingwistyczny. Przedwczesna śmierć zdolnego ucznia w 1910 r., uniemożliwiła ich opracowanie i dalszą współpracę. Rękopisy zabrał Kotwicz wyjeżdżając do Lwowa. Ostatecznie materiałów tych nie opracował ani on, ani jego córka Maria, a opublikował je dopiero w 1977 r. Stanisław Kałużyński w Warszawie, ale w języku niemieckim. Piekarski z Kotwiczem znać się musieli, działali przecież w tym samym ośrodku naukowym. Jak pisał Witold Armon, to „Prof. dr W. Kotwiczowi przypadła w udziale rola wprowadzenia E. Piekarskiego do nauki polskiej”. Kotwicz będąc już prof. Uniwersytetu Lwowskiego „Drukował on prace Piekarskiego w «Roczniku Orientalistycznym»” i wnioskował o nadanie mu członkostwa honorowego Polskiego Towarzystwa Orientalistycznego<sup>15</sup>.

Na konferencji poświęconej E. Piekarskiemu, nie mogło oczywiście zabraknąć referatu o unikalnym *Słowniku języka jakuckiego*. Wystąpienie na ten temat przygotowali Aleksandr Piewnow i Anna Urmanczijewa<sup>16</sup>. Autorzy, wbrew tytułowi swojego wystąpienia, poświęcili główną uwagę charakterystyce oraz wskazaniu na osobliwości języka jakuckiego. Już na wstępie zostało podkreślone, że nie jest to jednak jakiś unikalny język egzotyczny, charakteryzujący się osobliwymi cechami. Należy do grupy języków tureckich, podlega ogólnym wręcz matematycznym prawidłowościom, cechującym te języki. Na języku jakuckim odcisnęła jednak swoje piętno jego skomplikowana historia, nadzwyczajna i zagadkowa. Jest on jednocześnie bliski współczesnym językom tureckim i starotureckiemu, a przy tym bardzo innowacyjny. Wpłynęły na to kontakty i związki z innymi językami, m.in. z mongolskim, ewenkijskim i jakimś nieznanym nauce językiem paleoazjatyckim. W ostatnich trzech wiekach zdecydowanie największy wpływ na jakucki wywarł język rosyjski i to raczej w sensie pozytywnym. Język jakucki miał szczęście do dobrych badaczy, a jednym z nich był właśnie nasz rodak Edward Piekarski. Autorzy z lekką przesadą twierdzą, że materiały do słownika Piekarski zaczął zbierać już

<sup>15</sup> W. Armon, op. cit., s. 105.

<sup>16</sup> A. M. Piewnow, A. Ju. Urmanczijewa, E. K. Piekarskij – *sostawitel unikalnogo Słowaria jakuckogo jazyka*, [w:] *Koriennyje narody Sibiri...*, s. 83-86. Artykuł jest bez przypisów.

w 1881 r. Jest to raczej mało realne, gdyż dopiero jesienią tego roku dotarł do Jakucji i co najwyżej mógł się zacząć uczyć języka jakuckiego. Ten intensywny kurs językowy, realnie mógł się jednak zacząć dopiero w następnym roku, z pomocą pierwszej jakuckiej „gospodyni” Anny Szestakowej. Autorzy referatu słusznie zaakcentowali, że słownik Piekarskiego znacznie wykraczał poza ramy standartowego dwujęzycznego słownika. To „dzieło życia” słuszniej byłoby nazwać słownikiem encyklopedycznym, gdyż zawierał on poza dosłownym znaczeniem słowa informacje lingwistyczne, etnograficzne, folklorystyczne. Faktem jest, że Piekarski wzorował się na jakucko-niemieckim słowniku Otto von Böhlingka (Betlingk), ale jego autorska wersja słownika została wzbogacona o całkowicie nowe teksty i wyjaśnienia.

Na uwagę zasługują także zbiory etnograficzne przywiezione przez Piekarskiego do Petersburga. Lidia Lelczuk i Tatiana Siem omówiły eksponaty przywiezione przez Piekarskiego i przechowywane obecnie w Rosyjskim Muzeum Etnograficznym. Lidia Lelczuk na wstępie swojego wystąpienia naszkicowała drogę usamodzielnienia się petersburskich zbiorów etnograficznych<sup>17</sup>. W 1902 r. w ramach Muzeum Rosyjskiego został wydzielony oddział etnograficzny. W 1934 r. oddział przekształcono w centrum naukowe pod nazwą Państwowe Muzeum Etnografii, w 1948 r. centrum otrzymało nową nazwę – Muzeum Etnografii Narodów ZSRR i dopiero w 1991 r. placówka działa pod nazwą Rosyjskie Muzeum Etnograficzne. Eksponaty wchodzące do tzw. kolekcji jakuckiej nie są efektem działalności tylko Piekarskiego. Właściwie samo powstanie oddziału etnograficznego było zasługą Dmitrija Klemienca (1848-1914), rosyjskiego działacza narodnickiego i etnografa. Swój wkład w kompletowanie zbiorów etnograficznych, wnieśli właściwie wszyscy jakuccy zesłańcy ruchu narodnickiego. Piekarski był na zesłaniu w tym samym czasie, poznał życie Jakutów i dlatego po przyjeździe do Petersburga, mógł z pełną odpowiedzialnością podjąć się opracowania jakuckich eksponatów. Sam przekazał do muzeum 158 przedmiotów, były to jednak jak stwierdziła autorka „przedmioty rzadkie i unikatowe”. Drugą grupą eksponatów przekazanych muzeum przez Piekarskiego, zajęła się Tatiana Siem<sup>18</sup>. W latach 1903-1906 Piekarski był uczestnikiem Nelkano-Ajańskiej ekspedycji naukowej. Jej celem było wszechstronne przebadanie ludów mieszkających na terenach od leżącego nad Mają w obwodzie jakuckim Nelkanu, do portu Ajan nad Morzem Ochockim. Zebrane i przywiezione do Petersburga eksponaty, były używane zarówno przez Jakutów jak i Tunguzów (Ewenków). Były to różne przedmioty z gospodarstw domowych, odzież codzienna i świąteczna, narzędzia rolnicze, sprzęt do połowu ryb i myśliwski. Niezwykle proste, ale bardzo pomysłowe i funkcjonalne były kalendarze: roczne (wieczne), miesięczne i tygodniowe. Obydwie panie referentki są pracownikami wspomnianego muzeum i swoje wystąpienia urozmaiciły slajdami. Teksty do druku też zostały wzbogacone zdjęciami naj-

<sup>17</sup> L. G. Lelczuk, *Jakutskije kollekcii E. K. Piekarskogo w Rossijskom etnograficzieskom muzieje*, [w:] *Koriennyje narody Sibiri...*, s. 98-103.

<sup>18</sup> T. Ju. Siem, *Kollekcii E. K. Piekarskogo po tungusam Ochotskogo pobierieja i priajanja Jakutii w Rossijskom etnograficzieskom muzieje*, [w:] *Koriennyje narody Sibiri...*, s. 103-110.

ciekawszych eksponatów. A wszyscy uczestnicy konferencji, całość zbiorów mogli obejrzyć w muzeum ostatniego dnia obrad.

Na konferencji poświęconej E. Piekarskiemu nie mogło jednak zabraknąć wystąpień o dorobku badawczym Wacława Sieroszewskiego. Obydwaj byli równolatkami i obydwu zesłańczy los rzucił do Jakucji. Nie konkurowali ze sobą, gdyż każdy zajmował się nieco inną problematyką jakuckiej kultury. Oceną historycznej wartości wspomnień Sieroszewskiego zajął się Piotr Trojew<sup>19</sup>. Autor zajął się więc analizą tego czy wspomnienia zesłańca oddają realia zesłańczego życia i rzeczywistej sytuacji Jakutów. Uważa, że dwunastoletni pobyt w Jakucji pozwolił Sieroszewskiemu poznać dokładnie realia życia tamtejszej ludności. W jego wspomnieniach mamy więc momenty trudne ale i optymizm, który pozwalał mu przetrwać. Nie załamało go nawet podwójne niepowodzenie przy nieudanej próbie ucieczki. Był dobrym obserwatorem otaczającej go rzeczywistości i pozwoliło mu to dać ciekawy opis ludzi, ich życia i obyczajów. Jego informatorami o życiu i obyczajach Jakutów byli autentyczni mieszkańcy ułusów. Posiadane narzędzia kowalskie i ślusarskie, umożliwiały mu świadczenie drobnych usług dla ludności. Miał dobry kontakt z otoczeniem dzięki gospodyni, a później żonie Anuszcze. Szybko zorientował się, że władze prowokują często konflikty pomiędzy Jakutami i zesłańcami kryminalnymi. Swoje miejsce w jego wspomnieniach znaleźli także zesłani do Jakucji działacze narodnicy. Można się domyślać, że Sieroszewski w tym środowisku czuł się dobrze, szczególnie kiedy przeniesiony został na osiedlenie do Namskiego ułusu. Zbierało się tam często większe grono zesłańców i prowadzono ożywione dyskusje. Powodem do szczególnie burzliwych dyskusji była krwawa pacyfikacja rosyjskich zesłańców-narodników za ich zbrojny opór wobec policji w marcu 1889 r. Ze wspomnień Sieroszewskiego wynika, że rosyjscy zesłańcy odnosili się do niego z życzliwością i co najważniejsze zachęcali do dalszego pisania.

Obszerne wystąpienie Michała Pędrackiego poświęcone było jakuckiemu szamanizmowi<sup>20</sup>. W praktyce jednak problem szamanizmu jakuckiego zdominowany został przez wyjaśnianie zawiłych i skomplikowanych uwarunkowań szamanizmu w świecie. Autor porównywał szamańskie wierzenia innych narodów do Jakutów. W efekcie bogata i obszerna informacja o światowym szamanizmie zdominowała wierzenia religijne Jakutów. Z tych porównań wynika, że Sieroszewski chociaż nie był religioznawcą, poczynił jak najbardziej słuszne obserwacje szamanizmu u Jakutów, dał ich trafną i właściwą ocenę. Jakuckie wierzenia ludowe wpisują się w ciąg ogólnych prawidłowości cechujących szamanizm światowy.

Przeglądu osiągnięć naukowych Polaków w Jakucji, dokonał w swoim wystąpieniu Wasilij Iwanow<sup>21</sup>. Na wstępie autor podkreślił, że impulsem do napisania tego referatu był artykuł z „Moskiewskiego Komsomolca” o przy-

---

<sup>19</sup> P. S. Trojew, *Wospominanija W. L. Sieroszewskiego kak istoriczeskij istocznik*, [w:] *Koriennyje narody Sibiri...*, s. 113-119.

<sup>20</sup> M. Pędracki, *Szamanizm jakucki w ujęciu Wacława Sieroszewskiego*, [w:] *Koriennyje narody Sibiri...*, s. 46-68.

<sup>21</sup> W. N. Iwanow, *Wkład polskich issledowatielej w razwitiije nauki o jakutowiedienii (XVI-naczato XX w.)*, [w:] *Koriennyje narody Sibiri...*, s. 14-22.

jeździe latem 2013 r. do Irkucka polskiego dziennikarza i podróżnika Jacka Pałkiewicza (ur. 1942) z grupą przyjaciół. Ich celem była realizacja projektu zatytułowanego „Po śladach polskich badaczy Syberii”. Profesor Iwanow wyraził nadzieję, że tak jak projekt grupy Pankiewicza rozpoczęta w 1997 r., naukowa współpraca polsko-jakucka i konferencja o E. Piekarskim nie będą upolityczniać historii. Inicjatorem podjęcia współpracy i nawiązania ścisłych kontaktów ze strona polską w 1997 r., było polskie stowarzyszenie społeczne „Polonia” w Jakucku. Bardzo wysoko ocenił monografię Witolda Armona o polskich badaczach Jakucji. Podkreślił, że Polacy byli obecni w dziejach „Leńskiego Kraju” przez całe ostatnie trzechsetlecie. Dwaj Polacy Samson Nawacki i Antoni Dobryński są wymieniani wśród odkrywców „Nieznanej leńskiej ziemi”. Pierwsze polskie pisemne ślady pobytu na jakuckiej ziemi pozostawili: Adam Kamiński Dłużyk, Ludwik Sienicki i Józef Matuszewski. Bogate świadectwo pozostawił wiek XIX, a szczególnie jego ostatnie ćwierćwiecze. Na pierwszym miejscu postawił Wacława Sieroszewskiego i jego dzieło życia *Jakutów*, nazwał go „ojcem naukowej jakuckiej etnografii”. Na drugim miejscu znalazł się główny bohater konferencji Edward Piekarski i jego najwartościowsza praca *Słownik języka jakuckiego*. Na wyróżnienie zasługuje jeszcze według W. Iwanowa dorobek dwóch kolejnych polskich zesłańców: Mikołaja Witaszewskiego i Sergiusza Jastrzębskiego. Rolę uzupełniającą i tym samym mniejsze znaczenie mają prace innych zesłańców: Adama Szymańskiego, Jana Strożeckiego czy Feliksa Kona. Podsumowaniem tego wystąpienia może być stwierdzenie, że obecnie nauka historyczna ma rozproszoną wiedzę o dorobku polskich zesłańców i czas ją usystematyzować.

Swoistą charakterystyką stanu badań o roli polskich zesłańców w badaniach naukowych Syberii, było wystąpienie Bolesława Szostakowicza z Uniwersytetu Irkuckiego<sup>22</sup>. Autor w pierwszej części referatu zaprezentował swój punkt widzenia na dotychczasowy stan badań nad zesłaniami Polaków na Syberię. W sposobie badania tej problematyki słusznie wyodrębnił dwie główne tendencje (podejścia): tradycyjne i modernistyczne (reformistyczne). Według niego w tradycyjnym ujęciu tematykę przyjęto nazywać „historią Polaków na Syberii”, podczas gdy B. Szostakowicz od 15 lat proponuje określenie „polsko-syberyjska historia”. Nowoczesne ujęcie problemu ma mieć kompleksowy i wieloaspektowy charakter. Tradycyjne podejście sprowadza się jedynie do powiększania dotychczasowej wiedzy o kolejne informacje, dotychczas nieznane. Organizowane konferencje poświęcone są zazwyczaj jakiejś rocznicy lub wydarzeniu. Apele B. Szostakowicza na konferencjach w zasadzie nie spotykały się z oporem, ale badania nadal prowadzone są po starym. W myśl propozycji autora zgłoszonej jeszcze w 2008 r., Irkuck miałby stać się miejscem cyklicznych naukowych polsko-rosyjskich konferencji na ten temat, a przy tamtejszym uniwersytecie powinno powstać centrum koordynacyjno-informacyjne. Najważniejszą i chyba najbardziej konstruktywną propozycją, było szybkie opracowanie serii prac o największych polskich badaczach Syberii Wschodniej: Benedykcie Dybowski, Julianie Talko-Hryncewicz, Edwardzie Piekarskim

---

<sup>22</sup> B. S. Szostakowicz, *Wkład Polaków w naukowe izuczenije Wostocznoj Sibiri: rezultaty issledowanij poslewojennogo pierioda, aktualnyje zadaczi dalniejszego izuczenija*, [w:] *Koriennyje narody Sibiri...*, s. 4-14.

i innych. W pełni można się zgodzić z irkuckim historykiem, że w dalszych badaniach trzeba sięgać do niepublikowanych źródeł, gdyż mogą one wnieść nowe wątki do badanej problematyki. Jako przykład podał pozostające nadal w rękopisie wspomnienia E. Piekarskiego.

Dwa referaty: o relacji Adama Kamińskiego Dłużyka i Ludwika Sienickiego oraz o roli zesań syberyjskich w polskiej tradycji historycznej przygotował piszący te słowa, ale z oczywistych względów pozostaną przy zasygnalizowaniu ich publikacji<sup>23</sup>.

Podsumowaniem dotychczasowej współpracy polsko-jakuckiej było wystąpienie Olega Sidorowa<sup>24</sup>. „Rewolucyjne” procesy, które zachodziły na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX w. w ZSRR, objęły także Republikę Sacha. Istotną rolę w tych przemianach odegrało nawiązanie kontaktów przez władze Sacha z Polską. Zapoczątkowało to wizyty przedstawicieli polskiej ambasady z Moskwy w Jakucku (1991 i 1994), ale przełomowe znaczenie miało moskiewskie spotkanie Prezydenta Polski Aleksandra Kwaśniewskiego z Prezydentem Republiki Sacha Michaiłem Nikołajewem w 1996 r. Podstawę prawną do podjęcia współpracy kulturalnej dało podpisanie protokołu w 1994 r., a realną działalność zapoczątkowało powstanie w listopadzie 1995 r. polskiej organizacji „Polonia” w Jakucku, pod przewodnictwem Walentyny Szymańskiej. Efekty działalności tej organizacji to zorganizowanie dwóch konferencji naukowych w Jakucku (1997 i 1999 r.) i odsłonięcie pomnika upamiętniającego polskich badaczy-zesłańców i ofiar represji stalinowskich. Na czterech takiej samej wielkości kamieniach, znalazły się cztery nazwiska: Jana Czerskiego, Aleksandra Czekanowskiego, Wacława Sieroszewskiego i Edwarda Piekarskiego. Rok 2008 upłynął w Jakucji pod znakiem jubileuszu – 150-lecie urodzin – Sieroszewskiego i Piekarskiego. Pamięci obydwu uczonych poświęcona była także konferencja w 2013 r. w Uniwersytecie Jakuckim. Kontynuacją tego procesu była petersburska konferencja naukowa, zorganizowana w 80 rocznicę śmierci Edwarda Piekarskiego.

*Franciszek Nowiński*

#### • BUDUJEMY MUZEUM NA STULECIA

9 listopada 2016 r. uroczyście wmurowano kamień węgielny pod budowę nowoczesnego kompleksu muzealno-edukacyjnego Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku. W obecności gości honorowych – prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, władz państwowych i samorządowych oraz przedstawicieli środowisk, dla których powstające muzeum ma szczególnie znaczenie – został podpisany akt erekcyjny, a następnie wmurowany kamień węgielny.

Muzeum Józefa Piłsudskiego to jedna z najważniejszych inwestycji kulturalnych państwa polskiego, która zostanie udostępniona zwiedzającym w 2018 r., w 100. rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę. Przesłanie

<sup>23</sup> F. Nowiński, *Najwcześniejsze kontakty polsko-jakuckie (XVII-XVIII w.)*; tenże, *Syberia w polskiej tradycji i historii*, [w:] *Koriennyje narody Sibiri...*, s. 22-46.

<sup>24</sup> O. G. Sidorow, *1990-je gody – wozroźdienije Sacha-polskich kulturno-istoriczeskich swjaziej*, [w:] *Koriennyje narody Sibiri...*, s. 125-129.

„Muzeum na stulecia” określa działania planowane przez Muzeum związane z obchodami setnych rocznic ważnych wydarzeń w historii Polski, które będziemy świętować w latach 2018-2021. Przesłanie oddaje także najważniejszą ideę budowanego Muzeum – czerpanie inspiracji z historii dla budowania przyszłości Polski na kolejne stulecia.

Podpisanie aktu erekcyjnego jest kolejnym ważnym krokiem w historii Muzeum. Pierwszy podpis złożył prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda. Akt erekcyjny podpisali również marszałek Sejmu Marek Kuchciński, wicepremier i minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński, prezes Fundacji Rodziny Józefa Piłsudskiego Jacek Rusiecki, dyrektor Muzeum Krzysztof Jaraczewski, burmistrz Sulejówka Arkadiusz Śliwa oraz prezes Grupy PORR, generalnego wykonawcy budowy, Karl-Heinz Strauss.

Prezydent RP Andrzej Duda w swoim przemówieniu nazwał Józefa Piłsudskiego największym, obok Jana Pawła II, Polakiem XX wieku. Prezydent stwierdził, że:

Piłsudski był wizjonerem, który urzeczywistnił ideę niepodległości, a w 1920 r. swoim geniuszem obronił Polskę. Ta legenda o Komendancie, Marszałku, Naczelniku Państwa Józefie Piłsudskim trwała i trwa. Ta legenda trwała jeszcze za jego życia – w niezwykłej miłości, jaką darzyli go przede wszystkim jego żołnierze. Powiedziałbym: wręcz miłości ślepej – tak bardzo go uwielbiali. Dlaczego? Dlatego, że był zwykły i niezwykły zarazem. Dlatego, że był bohaterski jak lew, ale zarazem był lisem, bo tylko człowiek o tak niezwykłej osobowości mógł zrealizować tak niezwykle, nieprawdopodobne w ogóle jak na tamte czasy dzieło.

Wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński podkreślił z kolei, że:

Naród potrzebuje spoiwa, którym są wielcy ludzie. Potrzebujemy Piłsudskiego, potrzebujemy postaci, które tworzyły polską wspólnotę, tę niepodległą wspólnotę, sto lat temu. Potrzebujemy także innych współtwórców polskiej niepodległości: Romana Dmowskiego, Ignacego Daszyńskiego, Ignacego Paderewskiego, Wojciecha Korfanteo – o nich wszystkich pamiętamy, bo ważna jest pamięć, która tworzy wartości i tożsamość polskiej wspólnoty.

Wicepremier zaznaczył także, że budowa kompleksu muzealno-edukacyjnego Muzeum Józefa Piłsudskiego jest częścią wieloletniego programu rządowego „Niepodległa 2018”.

Krzysztof Jaraczewski, dyrektor Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, stwierdził, że obecność prezydenta, marszałka Sejmu i wicepremiera, ministra kultury i dziedzictwa narodowego, podkreśla wagę, jaką państwo polskie przywiązuje do tej nowej instytucji, do tradycji niepodległościowych i wolnościowych. Dyrektor Jaraczewski powiedział, że Muzeum będzie pokazywało drogę do niepodległości oraz budowanie państwa polskiego poprzez pryzmat życia Józefa Piłsudskiego, jego myśli politycznej i czynów, jego sukcesów i porażek.

Zwracając się do wszystkich zaangażowanych w budowę kompleksu muzealno-edukacyjnego, który ma być otwarty w listopadzie 2018 r., Krzysztof Jaraczewski zaznaczył:

Pamiętajcie, proszę, że spełniacie wielkie marzenie duchowe, potrzebę wynikającą z naszej tożsamości narodowej i państwowej. Od was zależy wielkość sukcesu, którego każdy przyszły zwiedzający oczekuje.

Jacek Rusiecki, prezes Fundacji Rodziny Józefa Piłsudskiego, która wraz z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego współprowadzi Muzeum, podkreślił, że będzie ono uosabiało polski sukces:

W sierpniu 1914 roku garstka 140 legionistów Piłsudskiego wyruszyła w świat, żeby odzyskać niepodległość... Nie chce się w to wierzyć, ale oni rzeczywiście tego dokonali. Dołączyli do nich następni i odnieśli sukces.

Jacek Rusiecki przypomniał też słowa Marszałka, które stanowią przesłanie muzeum i nadal są aktualne:

Nastąpi pokój. Są w życiu narodów i państw zmagania, które nigdy nie ustają. Polskę na równi z innymi narodami oczekuje walka we wszechświatowych zmaganiach o pierwszeństwo w dziedzinie organizacji i kultury.

Po podpisaniu aktu erekcyjnego i wmurowaniu go w kamień węgielny, wzniesiony został toast za pomyślność rozpoczynającej się budowy. Dwudniowe uroczystości z okazji wmurowania kamienia węgielnego zakończyło wspólne radosne świętowanie w Sulejówku dnia 11 listopada – 98. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. Podczas wydarzenia nazwanego „Niepodległościówką” zaprezentowane zostały plany budowy i wizualizacje powstającego gmachu muzealno-edukacyjnego, a w ramach akcji „Mamy Niepodległą!” można było wysłać specjalnie zaprojektowane kartki pocztowe z życzeniami z okazji Narodowego Święta Niepodległości.

*Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku*

- **KOMISJA BADAŃ NAD HISTORIĄ SYBERII KOMITETU HISTORII NAUKI I TECHNIKI POLSKIEJ AKADEMII NAUK. SPRAWOZDANIE ZA ROK 2016**

Podobnie jak w latach w poprzednich główną formą funkcjonowania Komisji były posiedzenia naukowe, z których trzy – w odstępie dwumiesięcznym – odbywały się przed wakacjami, a dwa po wakacjach. Przedstawiano na nich referaty i komunikaty naukowe dotyczące wyników badań aktualnie prowadzonych przez członków i zaproszonych gości. Ze zrozumiałych względów dzieje Syberii, głównie przebywających tam Polaków, rozpatrywano na szerszym tle zjawisk kulturowych i cywilizacyjnych. Na ogół unikano nurtu martyrologicznego. Wyjątkiem były jedynie referaty związane ze 150. rocznicą polskiego powstania nadbajkalskiego. Referentów i zabierających głos na ten temat w dużym stopniu interesował jednak historiograficzny aspekt wydarzenia oraz jego współczesne reperkusje natury poznawczej i krajoznawczej.

Jak w latach poprzednich starano się zapraszać na posiedzenia przebywających okresowo w Polsce historyków z Federacji Rosyjskiej. Zdecydowana ich większość to osoby prowadzące kwerendy archiwalne i biblioteczne oraz odbywające w naszym kraju staże naukowe. Kilkakrotnie na posiedzeniach zabierał głos także dr hab. Dmitrij Karnauchow z Uniwersytetu Pedagogicznego



w Nowosybirsku, okresowo wykładowca historii Rosji w Akademii Humanistycznej im. A. Gieyszтора w Pułtusku. Komisja opiniami wspierała mieszkających w Polsce, zwykle z Kartą Polaka, historyków Federacji Rosyjskiej zabiegających o stypendia na okres przygotowania rozpraw doktorskich o tematyce polsko-syberyjskiej.

Członkowie Komisji, jako indywidualni badacze, brali udział z referatami w krajowych sesjach specjalistycznych, m.in. organizowanych przez Katolicki Uniwersytet Lubelski (prof. Małgorzata Cwenk-Król, prof. Eugeniusz Niebelski), Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach (prof. Wiesław Caban), Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku (mgr Sylwia Trzeciakowska i mgr Bogusław Kosel) i innych. Jak w latach poprzednich artykułami i recenzjami wspierano zwłaszcza czasopisma „Zesłaniec” i „Wrocławskie Studia Wschodnie” (red. prof. Antoni Kuczyński) oraz niektóre poczynania Muzeum Niepodległości (dr A. Milewska-Młynik).

Kompetencje członków Komisji dostrzegane były przez różne środowiska zajmujące się tematyką polsko-syberyjską, w tym zwłaszcza przez zespół Biblioteki Polsko-Syberyjskiej, której sekretarzuje członek Komisji dr Paweł Głuszkowski z Uniwersytetu Warszawskiego. Dotyczy to zwłaszcza naszego udziału w typowaniu polskojęzycznej literatury przedmiotu, którą należałoby przetłumaczyć na język rosyjski oraz przekładow na język polski XIX-wiecznej klasyki (np. książki Jadrincewa *Sibir kak kolonia*). Podkreślić należy, że w roku sprawozdawczym szczególnie aktywni byli prof. Wiesław Caban z Kielc i prof. Eugeniusz Niebelski z Lublina. W obydwu przypadkach ich relacje z badań inspirowały zwłaszcza wielu młodszych kolegów, zarówno z Polski, jak i z Federacji Rosyjskiej. Frekwencja na posiedzeniach wynosiła od 20 do 35 osób. Uczestnicy spoza Warszawy nie otrzymywali zwrotu kosztów za przejazd. Na ogół zawsze prezentowali oni swoje publikacje, ofiarując je zainteresowanym. Prof. Wiktoria Śliwowska i dr Zofia Strzyżewska przekazywały zainteresowanym informacje o najnowszej literaturze przedmiotu opublikowanej w Rosji. Dr Sergiusz Leończyk systematycznie zaopatrywał członków w egzemplarze periodyku „Rodacy”, ogłaszanego przez Kongres Polaków w Rosji.

Tytuły referatów i komunikatów przedstawionych podczas kolejnych zebrań Komisji: 9 lutego: Eugeniusz Niebelski (Lublin) – *Wilhelma Bukszata ucieczka z Syberii w 1868 r. – rekonstrukcja drogi ucieczki*; Bogusław Kosel (Białystok) – *Z prac Muzeum Pamięci Sybiru*; Barbara Jędrychowska (Wrocław) – *Ludwik Zielonka – zesłaniec*. 4 kwietnia: Dmitrij Karnauchow (Nowosybirsk, Pułtusk) – *Profesor Bolesław Szostakowicz jako organizator nauki*; Wiesław Caban (Kielce) – *Profesor Bolesław Szostakowicz – współtwórca serii wydawniczej o rewolucjonistach na Syberii*; Elżbieta Kamińska (Warszawa) – *O przejęcie do Polski archiwum Bolesława Szostakowicza*; Anna Milewska-Młynik (Warszawa) – *Z Bolesławem Szostakowiczem na Syberii*; Piotr Głuszkowski i Zbigniew Wójcik (Warszawa, Toruń, Kraków) – *„Biblioteka Polsko-Syberyjska”, osiągnięcia i plany edytorskie*; 6 czerwca: Wiesław Caban, Jerzy Szczepański (Kielce, Warszawa) – *Jan Witort (1853-1903) – zesłaniec i obrońca polskości na Żmudzi*; Małgorzata Cwenk-Król (Lublin) – *Gustaw Zieliński – Wincenty Pol – wzajemne relacje*; Dmitrij Karnauchow (Nowosybirsk, Pułtusk) – *Konkurs im. Bolesława Szostakowicza w Nowosybir-*

sku; 10 października – Wiktoria Śliwowska (Warszawa) – *O książce pod redakcją Profesora Eugeniusza Niebelskiego „Rok 1863 w kilku odstępach”* (Lublin 2016); Wiesław Caban (Kielce) – *Rosyjski raport o powstaniu zabajkalskim 1866 roku*; Eugeniusz Niebelski (Lublin) – *Polskie powstanie zabajkalskie 1866 roku. Realia i mity*. 12 grudnia: Eugeniusz Niebelski (Lublin) – *O monografię powstania zesłańców polskich nad Bajkałem w 1866 roku*; Zuzanna Sieroszewska (Warszawa) – *W Jakucji śladami Wacława Sieroszewskiego w 2016 roku*; Hanna Krajewska, Paulina Kopystyńska (Warszawa) – *Jakucja A. D. 2016 – polonica*.

Po wszystkich wystąpieniach była ożywiona dyskusja. Referenci proszeni byli o przygotowanie treści swych wystąpień do czasopism: „Analecta. Studia i materiały z dziejów nauki”, „Wrocławskie Studia Wschodnie”, „Zesłaniec”. W 2016 r. ukazało się kilka znaczących książek, których autorami bądź redaktorami byli członkowie Komisji. W Polsce (po polsku) i w Rosji (po rosyjsku) ukazały się kolejne edycje książki prof. Antoniego Kuczyńskiego *Syberia. 400 lat polskiej diaspory. Zestawienia, martyrologia i sukces cywilizacyjny Polaków*, bardzo dobrze przyjętej przez recenzentów z obu krajów.

Prof. Małgorzata Cwenk-Król kontynuowała w ramach pracy w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim Jana Pawła II cykl spotkań, które zaowocowały m.in. pracą zbiorową pt. *Syberyjskie przestrzenie intymne* pod jej i Małgorzaty Łukaszuk redakcją. Do referatów przedstawianych na posiedzeniach Komisji nawiązywały publikacje prof. Eugeniusza Niebelskiego, a w tym rewelacyjna z uwagi na bogatą bazę źródłową, praca zbiorowa *Rok 1863 w kilku odstępach* oraz dwie książki własne: *Wobec roku 1863. Księża w powstaniu styczniowym i ich los*, a także „*Lepsza nam kula niżli takie życie*”. *Polskie powstanie nad Bajkałem w 1866 roku*, Lublin 2016. Autor ogłosił m.in. pełną listę uczestników tego zrywu.

Realizujący w Uniwersytecie Jana Kochanowskiego (Kielce) prof. Wiesław Caban kilka projektów badawczych (obejmujących także obecność Polaków za Uralem) ogłosił w „Przeglądzie Historycznym” syntetyczne ujęcie jednej związki tematycznej pt. *Zsyłka na Syberię w XIX wieku. Przegląd publikacji polskich i rosyjskich/radzieckich*.

Prof. dr. hab. Zbigniew Wójcik – Przewodniczący Komisji

## • KALENDARZ SYBERYJSKI

W dzisiejszych czasach kalendarz jest niezbędnym przedmiotem codziennego życia. Ten spis dni w roku, uporządkowanych według tygodni i miesięcy wprowadza ład i harmonię, pozwala planować różne wydarzenia oraz zapamiętywać masę ważnych dat. Zaglądamy do niego codziennie sprawdzając różne terminy, zapisując sprawy do załatwienia i planując atrakcje. Kalendarz jest znakomitym narzędziem do mierzenia czasu, ale też często zawiera wiele przydatnych informacji, niekoniecznie związanych z czasem. Można w kalendarzach odnaleźć daty imienin, świąt, rocznic państwowych i lokalnych, przepisy kulinarne, porady na temat zdrowia i urody, reprodukcje dzieł sztuki itd.

Historia kalendarzy jest długa i bogata. Kalendarze od zarania dziejów związane były z bóstwami, panującymi władcami, fazami Księżyca i ruchem

Słońca. Dziś najbardziej rozpowszechniony jest kalendarz gregoriański wprowadzony przez papieża Grzegorz XIII w 1582 roku. Kalendarze mogą występować w różnych formach np. na ścianę, biurko, do kieszeni lub jako książka. Wiele firm i instytucji wydaje własne kalendarze, gdyż jest to skuteczna forma marketingu i reklamy. Kalendarze są wtedy traktowane jako gadżety firmowe i rozdawane przy okazji różnych wydarzeniach promocyjnych.

Kalendarze różnych firm czy instytucji mogą stanowić atrakcję samą w sobie, czego przykładem jest kalendarz firmy Pirelli czy Lavazza. Kalendarz przygotowany przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Departament Współpracy z Polonią i Polakami za Granicą na rok 2017 przy merytorycznym wsparciu Archiwum Polskiej Akademii Nauk w Warszawie zatytułowany „Polacy na Syberii – 2017” przypomina uczonych, badaczy tego dalekowschodniego, rosyjskiego terenu, na który zesłano tysiące Polaków. Joanna Arvaniti i Dorota Pietrzekiewicz, które piszą:

Syberia nazywana jest przez niektórych uczonych przybraną ojczyzną Polaków, a to za sprawą tych naszych rodaków, którzy zapisali się na kartach historii jako jej niestrudzeni badacze, odkrywcy wielu jej tajemnic czy piekcy jej niezwykłego piękna”<sup>1</sup>

Sylwetki tych wybitnych Polaków przybliżają poszczególne strony kalendarza. Uczeni ci to ludzie niezwykli, o dualizmie charakteru, którzy mimo zesłania i ciężkiego bytowania na obczyźnie potrafili wykorzystać swój trud, wiedzę i umiejętności badawcze dla wzniosłych idei.

Każdy miesiąc kalendarza poświęcony jest jednej zasłużonej postaci z syberyjskiego świata nauki, a jego strona zawiera fotografię uczonego-badacza, krótką notę biograficzną i najważniejsze osiągnięcia badawcze. Szata graficzna jest klimatyczna, przedstawia syberyjską przyrodę w różnych jej odstonach. Układ dni w poszczególnych miesiącach jest czytelny, co spełnia podstawową funkcję kalendarza.

W styczniu, na tle zaśnieżonych szczytów gór i wielkiej otchłani zmrożonej wody przedstawiono fotografię mężczyzny zapalającego fajkę, to Benedykt Tadeusz Nałęcz Dybowski, lekarz, zoolog, przyrodnik, który za udział w powstaniu styczniowym został skazany na 12 lat ciężkich robót, ale katorżniczą pracę starał się łączyć z badaniami nad bajkalską florą i fauną. Postacią lutego jest także uczestnik powstania styczniowego geolog i paleontolog Jan Czerski. Zasługi Aleksandra Piotra Czekanowskiego przedstawiono w kolejnym miesiącu. Ten uczony odkrył pokłady węgla kamiennego badając ogromny obszar niezamieszkały od Irkucka do Oceanu Lodowatego. Na tej stronie kalendarza pokazano w niebieskich barwach, zimową wioskę położoną nad rozległym akwenem wodnym.

Syberyjskiej kalendarzowej wiosnie towarzyszą różne obrazy i barwy. Osobowością kwietnia jest malarz Roman Szwoynicki, który w swych szkicach, rysunkach i akwarelach utrwalał polskich zesłańców, rdzennych mieszkańców tego terenu i syberyjskie krajobrazy.

---

<sup>1</sup> J. Arvaniti, D. Pietrzekiewicz, *Syberia – legenda i rzeczywistość na wystawie „Polscy badacze Syberii”*, „Biuletyn Archiwum Polskiej Akademii Nauk”, nr 50, Warszawa 2009, s. 58-86.

W maju i czerwcu mamy możliwość lepszego poznania językoznawców Józefa Szczepana Kowalewskiego i Edwarda Piekarskiego.

W ukwieconą, letnią łąkę wkomponowana jest fotografia Wacława Sieroszewskiego: etnografa, podróżnika i pisarza, który wykorzystał swój pobyt na Syberii do poznania życia Jakutów i innych rdzennych ludów Syberii. Do rozwoju infrastruktury Syberii przyczynił się Karol Nereusz Bohdanowicz, który miał wkład w budowę zakaspijskiej linii kolejowej. Kolejnym wielkim badaczem, który został uwieczniony na kartach kalendarza, ale także wniósł ogromny wkład w naukę polską był Bronisław Piłsudski. Zesłany na Sachalin na 15 lat katorgi, badał tam język i kulturę Ajnów oraz Niwchów.

Na tle jesiennego krajobrazu przedstawiona jest sylwetka farmaceuty Ferdynanda Karo, który na dalekowschodnie rubieże przybył z własnej woli i tam gromadził zbiory zielnikowe. Listopad reprezentuje Wiktor Ignacy Godlewski, który analizował specyfikę flory i fauny Bajkału oraz Syberii. Panteon badaczy Syberii kończy Konstanty Wołosowicz, geolog i paleontolog, który uczestniczył w ekspedycji poszukującej legendarnej Ziemi Sannikowa.

Syberia w świadomości wielu Polaków przywołuje obraz wynędzniałych zesłańców, katorżników i więźniów łągrów. Kojarzy się z głodem, chłodem, cierpieniem i zniewoleniem. Kalendarz „Polacy na Syberii – 2017” przedstawia ludzi, którzy wbrew zesłańczemu zniewoleniu mogli tam za Uralem realizować swoje pasje naukowe, podróżnicze i badawcze. Wielu z nich przyczyniło się do poznania rozległych obszarów syberyjskich przestrzeni. Byli to ludzie sukcesu, którzy w swoich dziedzinach naukowych wstawili się nowymi odkryciami i pracami badawczymi.

Kalendarz jako forma popularyzowania wkładu polskich uczonych w badania i rozwój Syberii jest nie do przecenienia. Kalendarzowe wydawnictwo ma szansę trafić do szerokiego grona odbiorców, którzy mogą poznać sylwetki badaczy Syberii z różnych dziedzin – geografów, geologów, etnografów. Szczególnie ważną rolę kalendarz ten może odegrać w edukacji młodego pokolenia, kształtowaniu tożsamości i dumy narodowej. Zawieszony na ścianach w klasach czy bibliotekach szkolnych daje możliwość poznania ludzi, z których osiągnięć powinniśmy być dumni. Na próżno jak dotychczas szukać informacji o dokonaniach polskich badaczy Syberii w podręcznikach szkolnych, więc kalendarz ten wypełnia pustkę informacyjną. Codzienne obcowanie z kalendarzem pozwala na zapamiętanie różnych informacji bez trudu nauki. W przystępny sposób podane wiadomości w kalendarzu mogą być pretekstem dla wielu młodych ludzi do zgłębiania wiedzy na ten temat i sięgania po naukowe prace o badaczach Syberii. Mam nadzieję, że kalendarz ten zainteresuje Polaków w kraju i za granicą osiągnięciami naukowymi naszych rodaków, zasieje ich intelektualną ciekawość i przyczyni się do bliższego poznania tej tematyki.

Kalendarz może też służyć jako inspiracja do konkursów i quizów o losach Polaków na Syberii. Dzięki zabiegom Związku Sybiraków mamy obecnie w kraju ponad 50 szkół noszących imię „Zesłańców Sybiru”, co stanowi sprzyjającą okoliczność, aby objęte one zostały działaniami konkursowymi dotyczącymi Polaków na Syberii. Należy nadmienić jeszcze, że placówki te otrzymują czasopismo „Zesłaniec”, w którym tematyka związków polsko-syberyjskich obejmuje liczne wątki – literackie, naukowe, kulturowe, gospodar-

cze, dzieje Kościoła katolickiego za Uralem i inne. To wyraźnie sprzyja realizacji inicjatywy wspomnianych powyżej konkursów. Uczyniwszy wszystkie powyższe propozycje realnymi można będzie ukazać pełniejszy obraz związków polsko-syberyjskich, który poprzez postępowanie konkursowe zadomowi się w szkolnej edukacji.

W serii tych sugestii odnotujemy jeszcze jeden znamieny fakt, którym jest przypadająca w przyszłym roku 90. rocznica powstania Związku Sybiraków. Jubileusz ten może być okazją do odsłonięcia w gmachu Politechniki Warszawskiej tablicy pamiątkowej czczącej tę rocznicę, o co przed laty wnioskował profesor Antoni Kuczyński, redaktor naczelny „Zesłańca”.

Popularyzacją rocznicy powstania Związku Sybiraków mógłby być specjalny kalendarz na 2018 rok, w którym odnotowane powinny zostać ważniejsze wydarzenia z jego historii i polskie związki z Syberią – np. tablice memoratywne, pomniki, kościoły katolickie za Uralem, portrety polskich badaczy Syberii, zdjęcia dowódców V Syberyjskiej dywizji i jej żołnierzy, portret gen. Władysława Andersa, pomniki poświęcone Matkom Sybiraczkom oraz inne wpisujące się w lata istnienia oraz działalności Związku Sybiraków i jego dbałości o to by „czas nie zatarł śladów”! Czasu na kalendarzowe przedsięwzięcie pozostało mało, więc co rychlej należy rozpocząć ten edycyjny trud. Jest to zadanie, które powinno być wykonane, „ku pamięci” syberyjskich doświadczeń Polaków i ich związków z Syberią.

Należy podkreślić, że wydany przez Departament Współpracy z Polonią i Polakami za Granicą Ministerstwa Spraw Zagranicznych kalendarz „Polacy na Syberii – 2017” wpisuje się w pewnym stopniu w główną ideę Związku Sybiraków, którą jest „Umarłym pamięć, żyjącym pojednanie”, i rozszerza ją pokazując także inne oblicze dalekich syberyjskich rubieży oraz ludzi z nią związanych poprzez naukę. Upowszechnianie wiedzy o polskich badaczach Syberii, choćby w takiej skromnej, kalendarzowej publikacji pozwala poszerzyć zesłańczy obraz tej ziemi i pokazać, że nawet w trudnych czasach niewoli można było dokonać rzeczy wielkich, których historia utrwalona jest na mapach Syberii nazwami: Góry Czerskiego, Góry Czekanowskiego, Góra B. Piłsudskiego czy Góra B. Dybowskiego, nazwami przyrodniczymi, tablicami memoratywnymi, pomnikami czy nazwami ulic, jak ma to miejsce w Irkucku. Pamięć o wybitnych Polakach na syberyjskiej ziemi nadal trwa, czego przykładem jest odsłonięta w roku 2014 w Pietropawłowsku Kamczackim w centralnym punkcie tego miasta tablica poświęcona B. Dybowskiemu. W Jakucku natomiast polskie związki z tym odległym krajem nad Leną uwiecznia pomnik z napisem: „Pamięci Polaków, ofiar zesłańców XVII-XIX w. i masowych represji XX wieku oraz wybitnych badaczy Ziemi Jakuckiej. Rodacy”, a w Južno-Sachalińsku na rozległym dziedzińcu przed Muzeum Regionalnym wznosi się pomnik Bronisława Piłsudskiego.

Wydanie kalendarza „Polacy na Syberii – 2017” to inicjatywa godna pochwały, gdyż popularyzuje polskie dziedzictwo i osiągnięcia za Uralem. Dobrze też byłoby gdyby Ministerstwo Spraw Zagranicznych kontynuowało to edytorskie przedsięwzięcie i co roku wydawało kalendarze poświęcone polskim badaczom np. Afryki, Ameryki Południowej czy Północnej. Jeśli sami nie zadbamy o pamięć o naszych bohaterach to, nikt za nas tego nie zrobi, a sprawa naszego kulturowego dziedzictwa wymaga pełniejszej popularyzacji.

*Małgorzata Dziura*

### **„Syberyjski Białystok – Zmartwychwstanie” Zbiórka funduszy na odbudowę polskiego kościoła**

W połowie kwietnia br., tuż po Wielkanocy, na Syberii, w polskiej wiosce Białystok, spłonął ponad stuletni kościół. Budynek zbudowali, w 1908 r. Polacy, dobrowolni przesiedleńcy z grodzieńskiej i wileńskiej guberni, którzy do Rosji pojechali za chlebem. Była to jedyna tego typu kaplica na Zachodniej Syberii, która funkcjonowała do czasów współczesnych. 5 czerwca br. rozpoczyna się zbiórka funduszy na odbudowę kościoła. Akcja nosi nazwę „**Syberyjski Białystok – Zmartwychwstanie**”. Organizatorem jest katolicka parafia w Tomsku, w Rosji.

Polska wioska Białystok na Syberii została założona pod koniec XIX w. przez dobrowolnych przesiedleńców z grodzieńskiej i wileńskiej guberni, którzy do Rosji trafili na podstawie reformy agrarnej Piotra Stołypina. W 1908 r. Polacy zbudowali tam drewniany kościół pw. św. Antoniego Padewskiego. Działał on nieprzerwanie przez niemal 25 lat. W 1931 r. został zamknięty przez władze sowieckie. W czasie II wojny światowej budynek świątyni przeznaczono na magazyn zboża, od 1945 r. pełnił funkcję wiejskiego klubu. W latach 80. XX w. budynek opustoszał. W 1990 r., po raz pierwszy od 50 lat, do Białegostoku przyjechał ksiądz, jego wizyta stała się impulsem do odnowienia katolickiej społeczności. Budynek wrócił do jej rąk. Ponowne otwarcie kościoła, już po remoncie, poświęcenie świątyni, miało miejsce 13 czerwca 1998 r. *„Dla polskiej ludności Białegostoku. Ten dom Boży, stanowił materialny symbol więzi z przodkami i ich kulturą”* – mówi Agnieszka Kaniewska, wrocławianka, od 2014 r. mieszkająca na Syberii, regularnie odwiedzająca wioskę.

W nocy z 18/19 kwietnia br., w niewyjaśnionych do tej pory okolicznościach, kościół spłonął. Pozostały jedynie ceglane fundamenty. Ze zgliszcz wydobyto fragment dzwonu z napisem *„Dziewica Maryja”*.

„Społeczność Białegostoku oraz tomska parafia, pod której opieką znajduje się wioska, rozpoczynają zbiórkę funduszy na odbudowanie domu modlitwy, a przede wszystkim na symboliczne odtworzenie miejsca przez ponad 100 lat związanego z Polską” – podkreśla Wojciech Ziółek SJ, proboszcz parafii w Tomsku.

Szczegóły dotyczące akcji znajdują się na stronie:

<https://belostok-catholic.ru/pl>

Kontakt dla mediów: [info@belostok-catholic.ru](mailto:info@belostok-catholic.ru)

**Wojciech Ziółek SJ – proboszcz parafii w Tomsku:**

E-mail: [wziolek@yahoo.es](mailto:wziolek@yahoo.es)

Tel. RUS (+7) 923-418-08-57

PL (+48) 679-907-601

WhatsApp: +79234180857

**Agnieszka Kaniewska:**

E-mail: [kaniewska.aga@gmail.com](mailto:kaniewska.aga@gmail.com)

Tel. PL (+48) 501-321-593

WhatsApp: +79527562106

---

---

## REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **Katarzyna E. Kość-Ryżko, *Wykorzeleni. Dylematy samookreślenia polskich repatriantów z Kazachstanu. Studium etnopsychologiczne*, Instytut Archeologii i Etnologii Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2014, ss. 275.**

Więzi łączące etnologię i psychologię bynajmniej nie ograniczają się do klasycznej już szkoły w amerykańskiej antropologii kulturowej, bujnie rozwijającej się w latach trzydziestych i czterdziestych ubiegłego wieku. Istnienie różnych relacji między kulturą a psychiką partycypującego w niej człowieka nieustannie zmusza do zawarcie sojuszu pomiędzy tymi dyscyplinami. Można by się tu zastanawiać, dlaczego jest on rzadkością w polskiej nauce. Lepiej chyba jednak zostawić ten problem na inną okazję. W każdym razie na pograniczu etnologii i psychologii powstała praca, na którą bezsprzecznie warto zwrócić uwagę.

Katarzyna Kość-Ryżko wydała obszerną monografię pod tytułem *Wykorzeleni. Dylematy samookreślenia polskich repatriantów z Kazachstanu. Studium etno-psychologiczne*. Autorka z wykształcenia jest zarazem etnolożką i psycholożką. Jej podwójne kompetencje naukowe w napisanej przez nią pracy są widoczne niemal na każdej stronie. A poza tym etnologiczno-psychologiczne rozpracowanie podjętego tematu wydaje się niewątpliwie słuszne.

Polakami z Kazachstanu zajmowali się przedstawiciele różnych dyscyplin naukowych, nie brakło wśród nich etnologów. Niezwykła sytuacja tej społeczności – zesłańców i ich potomków, którzy mimo przemyślnych zabiegów zmierzających do wynarodowienia, w jakiejś mierze pozostali Polakami – była dla badaczy nader atrakcyjna. Katarzyna Kość-Ryżko zainteresowała się jednak sprawami nieco innymi. Tym, co ludzie ci, w przeszłości i obecnie będący przedmiotem różnorodnych procesów społecznych, myślą i czują.

Jej badania dotyczyły kilku tysięcy Polaków z Kazachstanu, którzy w minionym ćwierćwieczu osiedlili się w Polsce, na skutek akcji repatriacyjnych, mających z wielu powodów niestety ograniczony zasięg. Tytuł książki powstałej na podstawie tych badań – „Wykorzeleni” – udatnie charakteryzuje ich sytuację. Nie byli u siebie żyjąc w Kazachstanie, w kraju wprawdzie wielonarodowym, ale w coraz większym stopniu kazachskim. Nie są też u siebie w Polsce, gdzie nie przypominają standardowych mieszkańców tego kraju i mają sporo trudności, by się do nich upodobnić. W pełni może się to udać tym, którzy do Polski przybyli jako małe dzieci albo wręcz się tutaj urodzili. Dlatego przyjazd do kraju przodków jest powrotem do ojczyzny tylko w sensie ideologicznym. Zaś przede wszystkim jest to szereg procesów, jakie przechodzą zwykle imigranci. Książka im poświęcona mówi zatem głównie o akulturacji, o jej psychologicznym aspekcie.

Jest ona też dość szczegółowym konterfektem przedstawiającym kulturę tej grupy. A więc to, z czym ci ludzie przyjechali do Polski i co nadal utrzymują. Na przykład język polski, którego kresową, pełną archaizmów odmianę zachowują najstarsi, a współczesną zna młodzież dzięki nauczycielom z Polski, przy nikłej znajomości tego języka wśród średniego pokolenia. Oczywiście w miarę upływu czasu różnice między ich polszczyzną a polszczyzną słyszaną na polskich ulicach, będą zanikać. Coraz mniej będzie w niej rusycyzmów, w końcu znikną zupełnie.

Najwcześniej uległy przemianie ich wyobrażenia o Polsce. Nawet ci, którzy przed osiedleniem w kraju, mieli okazję w nim bywać, musieli je zweryfikować. Konfrontacja tych wyobrażeń z rzeczywistością stanowiła niejednokrotnie nader przykre doświadczenia. W wielu przypadkach był to szok kulturowy. Bo chociaż kraj, z którego wyjechali i kraj, do którego przybyli, przeżył koszmar komunizmu, jednak oba diametralnie różnią się od siebie.

Autorka interesuje się wszelkimi sprawami kazachstańskich Polaków, z reguły niełatwymi, a niekiedy nawet beznadziejnymi. Współczuje im, ale też nie kryje podziwu dla ich dzielności. Potrafi jednak zachować przy tym naukowy dystans, świadoma, że nie są oni jedyną grupą o podobnych doświadczeniach. Jej książka ukazała się wtedy, kiedy Polakami z Kazachstanu przestali przejmować się politycy, a także szeroka opinia publiczna. Przepisy prawne pozwalały na sprowadzenie jedynie części spośród tych, którzy chcieli się w Polsce osiedlić. Wszystko wskazywało na to, że tak pozostanie. Jednakże kryzys migracyjny w Unii Europejskiej, który wnet nastąpił wskutek najazdu mieszkańców państw bliskowschodnich, przypomniał o tych Polakach. Znowu stali się oni tematem dyskusji, w których coraz bardziej słyszalny był postulat sprowadzenia ich do kraju bez dotychczasowych ograniczeń. W związku z tym recenzowana praca niespodziewanie nabrała aktualności.

*Grzegorz Pełczyński*

- **Wołanie ze stepów. 80. Rocznica deportacji Polaków z Ukrainy sowieckiej na Stepy Kazachstanu. 1936-2016. Piotr Hlebowicz, Natalia Rykowska, Aleksandra Ślusarek. Wydawca: Związek Repatriantów RP, Kraków 2016, s. 182, il.**

Książka jest dziełem zespołu ludzi, ale szczególny udział w jej powstaniu miały trzy osoby: Piotr Hlebowicz, Natalia Rykowska i Aleksandra Ślusarek. Ważny tekst wyszedł też spod pióra etnografa z Krakowa Janusza Kamockiego. Spośród autorów tylko dr N. Rykowska mieszka w Kazachstanie, gdzie urodziła się w rodzinie polskich zesłańców z Ukrainy sowieckiej. Jest absolwentką Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie, Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie, doktorem nauk społecznych w zakresie pedagogiki. Druga autorka książki A. Ślusarek piastuje funkcję prezesa Związku Repatriantów RP i jest współautorką ustawy repatriacyjnej, dzięki której powróciło do kraju wiele rodzin z Kazachstanu. Z kolei P. Hlebowicz w latach 1981-1989 był działaczem opozycji antykomunistycznej, m. in. „Solidarności Walczącej”, współzałożycielem stowarzyszenia „Społeczny Komitet Pomocy Polakom w Azji Środkowej”, uhonorowanym wieloma odznaczeniami. Jako członek zarządu Związku Repatriantów



jest orędownikiem sprawy powrotu Polaków do Ojczyzny. Więcej szczegółów o ich pracy, jak też o sprawach potomków deportowanych dowiedzieć się możemy z bogato ilustrowanego albumu, w którym wydzielono kilka części: rys historyczny Kazachstanu, deportacje ludności polskiej z Ukrainy (w roku 1936 i w latach 1940-1941), życie religijne katolików, współczesną działalność organizacji polonijnych, walkę o repatriację. Szkoda, że nie podano w nim spisu treści, który uczyniłby układ książki bardziej przejrzysty.

Publikacja dotyczy przede wszystkim Polaków, którzy trafili tu w czasie deportacji z Marchlewszczyzny. Nazwano ich pierwszym narodem ukaranym, gdyż oni najwcześniej spośród obywateli Polski doświadczyli deportacji stalinowskich. Byli to przede wszystkim potomkowie dawnych kolonistów mazurskich, zagrodowej szlachty, którzy w czasie kolonizacji Ukrainy w XVII wieku znaleźli się na jej terytorium. Wyróżnikami ich odrębności na Ukrainie pozostała religia, język i świadomość narodowa. Rodzinom zesłanym do Kazachstanu wyznaczono rolę pionierów kultury agrarnej, gdyż miejscowa ludność zajmująca się pasterstwem nie potrafiła gospodarować na roli. Spędzili tam całe dziesięciolecie. Dziś powrót do ojczystego kraju jest trudny, ponieważ tamtejsi Polacy pochodzą z tzw. Ukrainy zakordonowej, odciętej od kraju już w czasie zaborów. Współczesna Polska przedstawia zupełnie inny obraz kulturowy, niż zapamiętany przez dziadków czy ojców dawnych zesłańców. Legendarną ojczyznę muszą poznawać od nowa, gdyż jeszcze niedawno za kultywowanie rodzimych tradycji, groziły surowe restrykcje.

W latach 30.tych XX wieku ludność z Żytomierszczyzny przeżyła gehennę, której nie zaleczył czas. Na jeden aspekt represji zwrócił uwagę Janusz Kamocki pisząc: „Władze sowieckie miały obsesję na punkcie polskiego wywiadu, który miał penetrować ZSRS. Dlatego wszyscy Polacy zamieszkujący tereny pograniczne byli podejrzani o współpracę z polskim wywiadem” (s. 34). Wychowywano ich w komunistycznej ideologii i utworzono dwa polskie rejony narodowe z polskojęzycznymi szkołami Marchlewszczyznę na Ukrainie i Dzierżyńszczyznę na Białorusi. Autor podaje, że mieszkało w nich około 40 000 ludzi, z czego 70% stanowili Polacy. Gdy nadzieje okupantów na rychłą indoktrynację tych ludzi okazały się zawodne, w 1935 roku obydwaj rejony zlikwidowano, ich mieszkańców wywieziono na Syberię albo do Kazachstanu, rozstrzelano lub więziono w gułagach.

Po kilku latach wywózki ludności z Kresów powtórzyły się, o czym pisała N. Rykowska w rozdziale „Deportacje polskich obywateli do ZSRR w latach 1940-1941”. Temat ten jest w naszym kraju szeroko znany, analizowany w publikacjach naukowych i relacjonowany w drukowanych wspomnieniach zesłańców. Warto jednak zwrócić uwagę na zamieszczone w albumie zdjęcia, na których pokazano typ wagonu towarowego, wykorzystywany przez władze sowieckie do deportacji ludności ze wschodnich terenów RP czy nieznanie zdjęcia okupantów wykonane w Brześciu nad Bugiem 22 września 1939 roku.

Myśl przewodnia książki jest chyba czytelna. Obecnie w Kazachstanie żyje już czwarte dorosłe pokolenie zesłańców. Są wśród nich jeszcze ci, którzy pamiętają deportację. Teraz chcą wrócić do kraju swoich przodków. Przeglądając zdjęcia w albumie, czytając zawarte w nim teksty powinniśmy tych ludzi lepiej poznać i zrozumieć ich dążenia. Mamy odczuć ich alienację w środowisku, które-

go kultura bardzo różni się od naszej. Zapewne świadczy o tym sama nazwa tomu – „Wołanie ze stepów”, na tyle wyraźnie tu zaakcentowane byśmy je usłyszeli.

Z obcą Polakom „kulturą kazachstańskiego stepu” zaznajamia nas N. Rykowska. Pisze o gospodarce pasterskiej, szamanizmie, islamie, zabytkach kultury materialnej, pożywieniu, kulturze duchowej. Analizując stosunek autochtonów do obcych zwraca uwagę, że „małżeństwa zawierają we własnej grupie narodowościowej. Rzadko zdarzają się małżeństwa mieszane, ponieważ Kazacha trudno jest wyrwać z jego społeczności” (s.28). W dokumentowaniu kultury kazachskiej, szczególnie eposów ludowych i folkloru duże zasługi przypisuje pisarzowi i etnografowi Czokanowi Walichanowi (1835-1865). Co ciekawe, nie ma tu ani słowa o wybitnym poecie, współtwórcy języka kazachskiego Abaju Kunanbajewie (1845-1904), przyjacielu polskiego zesłańca Seweryna Grossa, który zajmował się prawem zwyczajowym Kazachów. Trzeba też dodać, że niemały wkład Polaków w poznanie i zagospodarowanie tych ziem oraz ich dzisiejszą kulturotwórczą rolę potraktowano tu syntetycznie. Tymczasem dorobek zesłanych Polaków w zakresie dokumentowania specyfiki stepu w okresie kolonizacji Kazachstanu przez Rosję jest największy. W ich opracowaniach zawarte zostały informacje o kulturze, etnografii, historii (w tym o regulującym od wieków zasady życia społecznego prawie zwyczajowym), o działalności gospodarczej i administracyjno-wojskowej autochtonów. Polscy badacze, patrzący na rzeczywistość podobnie jak Kazachowie, z perspektywy narodu podbitego, niejednokrotnie weryfikowali spostrzeżenia Rosjan, które miały na celu przede wszystkim zabezpieczenie interesów własnego kraju. Dzięki ich opisom udało się odtworzyć niektóre elementy kultury kazachskiej (jak np. szterter – instrument muzyczny). Podkreślić jednak trzeba, że sprawa współczesnego przenikania wzorów stanowi tylko margines. Wspominał o tym jedynie Janusz Kamocki, dzieląc się uwagami na temat pielgrzymki w Oziernom, w której uczestniczyły dziewczynki w strojach krakowskich. Okazało się, że były to małe Niemki. Dodał, że ubranka krakowskie miały także Kazaszki.

Ograniczenie tej części albumu do wymienienia kilku nazwisk osób mających poważny wkład w rozwój Kazachstanu jest zapewne celowym zamierzeniem, gdyż autorzy nacisk kładą na dzisiejszą pracę zesłańców, której zadaniem jest aktywizowanie wśród nich polskości. Mają tu bardzo dużo do zrobienia. Dyskryminacja i prześladowania zesłańców rozpoczęły się już w momencie deportacji. W czasach komunizmu nie istniała tam żadna organizacja polonijna. Pierwsze polskie stowarzyszenia powstały dopiero w latach 80. XX wieku. Dziś rozwijają one swoją działalność przy wydatniej pomocy Polaków z kraju, którzy włączyli się w ten proces. Są to nauczyciele, księża i ludzie dobrej woli, którym leży na sercu los przesiedleńców. Szczególna rola przypada tu wychowawcom młodego pokolenia. O roli, jaką pełni dziś wśród Polonii nauczyciel możemy się dowiedzieć z relacji dwóch pracujących tam pedagogów Józefa Sztwioroka i Marcina Wocióra.

Młodzi Polacy w Kazachstanie uczą się języka polskiego, biorą udział w konkursach polonijnych promujących naszą kulturę. W ostatnim czasie wszystkie organizacje polonijne wypracowały nowy program działania, w którym priorytetem jest zachowanie odrębności narodowej, pielęgnowanie polskiej kultury i języka. Elementem tego programu są też kwestie repatriacyjne.

Kolejna ważna część albumu poświęcona jest historii kościoła rzymskokatolickiego, chyba najważniejszej ostoji polskości w Kazachstanie. Dzieje najstarszej świątyni wybudowanej pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusa w Pietropawłowsku poznajemy z artykułu N. Rykowskiej. Ksiądz Krzysztof Kuryłowicz, który pracował w Kazachstanie 20 lat opisał historię parafii p.w. Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Czkałowie. Natomiast ksiądz Jan Nowak wicepostulator kanonizacji ks. Władysława Bukowińskiego przedstawił proces beatyfikacyjny tego Sługi Bożego. Ksiądz Władysław jest pierwszym duchownym katolickim obrządku łacińskiego, którego grób znajduje się w Kazachstanie. Jan Nowak podkreśla, że katolicy z tej części świata potrzebują takich wzorów. Na temat księdza W. Bukowińskiego wypowiedział się też ojciec Święty Jan Paweł II. Rozpoczynając swoją pielgrzymkę po Kazachstanie w 2001 r. wypowiedział następujące słowa: „Miałem szczęście znać go osobiście i podziwiać jego głęboką wiarę, niezachwianą ufność w potęgę Bożą”. W liście do uczestników sympozjum w Astanie poświęconym ks. Władysławowi Ojciec Święty napisał: „Niestraszne mu były przeciwności, a nawet więzienie, byle tylko uciśniony lud Boży mógł czerpać z niego posługi” (s. 121). Od 1950 roku przebywał w obozie w Dżekazganie, pracując w kopalni miedzi, a po pracy odwiedzał chorych w szpitalu. Władysław Bukowiński został beatyfikowany dnia 11 września 2016 r. w Karagandzie przez papieża Franciszka.

Drugim ważnym duchownym rzymskokatolickim, który zapisał się w pamięci Polaków był Józef Kuczyński, znany nie tylko w Kazachstanie, ale też w rosyjskiej Workucie, gdzie przebywał w łagrze i na Ukrainie. Jego związki z księdzem Władysławem Bukowińskim, ówczesnym kapłanem z Łucka zaczęły się w więzieniu w Kijowie. Szerzej opisał działalność tego duchownego M. Wociór w artykule „Wspomnienie o ojcu Józefie Kuczyńskim”. Czytamy w nim, że był on pierwszym kapłanem, pełniącym swoją misję w północnym Kazachstanie. Działał głównie w Tayjinczy i jej okolicach. Pamięć o nim przetrwała do dziś. W książce przytoczono słowa jednej z parafianek, która mówi: „My mieszkańcy Białozórki dobrymi słowami i z miłością wspominali ojca Kuczyńskiego. Nasze pokolenie miało wielkie szczęście spotkać się z nim, a jego kazania i uśmiech na zawsze pozostaną w mojej pamięci” (s.140). W albumie napisano też o Janie Pawle Lendze, pełniącym fundamentalną rolę w odrodzeniu życia religijnego i rozwoju struktur kościelnych w Kazachstanie oraz przypominano wizytę Jana Pawła II mającą miejsce we wrześniu 2001 roku.

Przemiany ustrojowe i inne wymagania wobec ludności, jak chociażby konieczność posługiwania się językiem kazachskim przez urzędników i ich obawa, że ludność słowiańska spadnie do kategorii gorszych obywateli sprawiły, że Polacy zaczęli z coraz większą determinacją odkrywać swoją dawną ojczyznę. N. Rykowska w artykule „Demokratyzacja życia społecznego” uważa, że spowodowała ona chęć powrotu do swojej tożsamości narodowej, która przez wiele lat była skrywana i pielęgnowana w zaciszu domowym. Z kolei J. Kamocki swoje rozważania kończy stwierdzeniem, że „Polacy są teraz obywatelami niezawisłego kraju. Mogą w nim żyć spokojnie. Ale to nie zwalania władz polskich od umożliwienia im prawa do przyjazdu i osiedlenia się w Polsce” (s. 47). I tu sięgamy do najważniejszego wątku w albumie, jakim jest repatriacja kazachstańskich Polaków. Jako jedna z pierwszych przybyła do ojczyzny w 1994 roku rodzina Niny Ruperty. Towarzyszył jej członek „Solidarności

Walczącej” P. Hlebowicz. Na przywitaniu burmistrz Niepołomnic Stanisław Kracik powiedział: „Pamiętajcie, że przyjechaliście do swoich i na swoje”. Zapewne większość kazachstańskich Polaków oczekuje takich słów, popartych konkretną pomocą materialną. Jednak przed nimi jeszcze trudna droga. Szczególnie dużo inicjatyw przejawia w tym względzie Związek Repatriantów kierowany przez A. Ślusarek. Rezolucja organizacji głosi m.in.: „Występujemy w imieniu tych, którzy powrócili z zesłania, w trosce o tych, którzy powrócą i w imieniu sprawiedliwości oraz dobrego imienia Narodu Polskiego”. Związek inicjuje wiele spotkań, zjazdów, konferencji, podtrzymuje tradycje narodowe, dba o prawa obywatelskie, prowadzi działalność charytatywną. Zrzesza w swoich strukturach wiele osób mieszkających we wszystkich województwach naszego kraju, współpracuje z samorządami, inicjuje akcję informacyjną w lokalnych społecznościach. Jego członkowie brali też czynny udział w grupie roboczej ds. repatriacji Międzyresortowego Zespołu ds. Polonii i Polaków za Granicą. Przygotowano w nim projekt nowej ustawy „O powrocie do Rzeczypospolitej Polskiej osób pochodzenia polskiego deportowanych i zesłanych przez władze ZSRS”. Została ona złożona w Sejmie RP w 2010 roku. Mimo, że dwukrotnie wszystkie partie ją poparły, to do 2015 r. prace nad nią nie zostały ukończone.

Choć finał książki jest raczej smutny, warto ją przeczytać, aby poznać gorzkie losy naszej dalekiej Polonii, która liczy obecnie około 35 tysięcy osób. Dodatkowym atutem są ciekawe i rzadko spotykane zdjęcia, obrazujące życie autochtonów i Polaków na kazachstańskiej ziemi.

*Anna Milewska*

- ***Kresowiaci. Sybiracy lubińscy*, red. Stanisław Tokarczuk, Lubin 2016, s. 268.**

Mija czas, a wraz z jego upływem odchodzą ludzie i ich historie. *Kresowiaci. Sybiracy lubińscy* to książka materializująca wspomnienia zesłańców, jak w soczewce skupiająca losy Polaków deportowanych w głąb ZSRR. Jest to opowieść o tym, jak człowiek wiele potrafi znieść, jak przystosowuje się do nieludzkich warunków i jak ciężki los hartuje go na dalsze życie. Wśród czterech rozdziałów recenzowanej publikacji najistotniejsze są wspomnienia tych, którzy przeżyli „Golgotę Wschodu”, ludzi skazanych na tułaczkę wśród stepów, śniegów i bezkresów Imperium Rosyjskiego. Pierwsza część książki zawiera narracje dziewiętnastu osób związanych z Kresami Rzeczypospolitej, które zostały zesłane na Syberię. Każde wspomnienie jest inne, ale wszystkie opisują tragizm na nieludzkiej ziemi. Niemal we wszystkich wspomnieniach Syberia jest groźna, z niesprzyjającymi warunkami życia, gdzie lato jest krótkie i upalne, a zima mroźna i niebezpieczna, gdzie ciężka praca wyniszcza, a ludzie okrutnego systemu gnębą i odbierają nadzieję na powrót do Ojczyzny.

Antonina Buchta relacjonuje heroiczną walkę swojej mamy, która w Krasnojarskim Kraju walczyła o przeżycie dla siebie i swoich córek, ale też o zachowanie polskości i kultywowanie wartości patriotycznych. Podobnie Stanisław Czyżyński wspomina zmagania swoich rodziców o byt dla szczęśliwej rodziny. Zofia Iwasieczko pisze: „Do wszystkich dotychczasowych

publikacji, pamiętników i opowieści o syberyjskiej zsyłce pragnę dołączyć garść wspomnień, które zachowały się jak żywe w mej pamięci” (s. 19) i opowiada o warunkach przyrodniczych, pracy, głodzie i radościach dnia codziennego. Spokojne, kresowe życie na skutek deportacji zostało przerwane rodzinie Kazimierza Kalinowskiego i Adeli Kandut. Osoby te także wspominają swe smutne katorżnicze życie na zesłaniu. Z kolei Anna Kanigowska na Syberię patrzy oczami 3-9 letniego dziecka, dobrze pamięta, jak była głodna, jak odczuwała silny mróz, jak widziała, gdy umierali ludzie, jak walczyła z pluskwami (s. 59). Garść osobistych wspomnień o syberyjskim życiu dorzucają też: Sławomir Kosierkiewicz, Maria Magdalena, Stefania Mikschik i Jan Miłuch. Interesującym przyczynkiem wzbogacającym historiografię zesłańczą jest relacja Janusza Bogdana Naruszewicza, który wraz z rodziną w 1952 roku został wywieziony do Kazachstanu. Praca na plantacji bawełny, przy sianokosach, próba ucieczki, kurs mechanizatorów rolnictwa i wreszcie powrót do kraju to doświadczenia młodego chłopaka, jakim Autor tekstu wówczas był. Jan Opaliński snuje swoją *Syberyjską refleksję* o zesłańczych tarapatach, a Janina Pomykała zaprasza na *Przymusowe zwiedzanie „wschodniego” świata*. Relacja Tadeusza Poręby to droga od Buczacza do Autonomicznej Republiki Komi i życie na wygnaniu. Janina Pstrowska, jak wielu innych zesłańców zaczyna swoje wspomnienia od słów: „W lutym 1940 r. nasze, dotychczas spokojne i dostatnie życie zostało w sposób nagły oraz brutalny przerwane. Głęboka noc, w dniu 10 lutego, podczas trzaskającego mrozu moim rodzicom i dziadkom podano do wiadomości, że skoro są wrogami i zdrajcami Związku Radzieckiego, to skazano ich do wywiezienia na Sybir” (s. 163) i opisuje kołchozowe życie oraz różne nieszczęścia, które spadały na rodzinę. Zarówno Eugenia Hanebach-Romaniuk, jak i Janina Romańczyk mogłyby zatytułować swoje wspomnienia „pokręcony” światowy życiorys. Los panią Eugenię rzucił z USA, przez Sokółkę do Altajskiego Kraju, a pani Janina z Wilna dostała się do Nowosybirsk, a potem ku wolności wędrowała przez Samarkandę, Bucharę, Iran, Indie do Polski. Irena Widecka proponuje Syberię w telegraficznym skrócie, a Ryszard Żymańczyk wspomina codzienność w Kirowskim Pińsku. Autorzy wspomnień dzielą się z Czytelnikami osobistymi dokumentami i fotografiami z trudnych czasów syberyjskiej tułaczki. Wydobywają z przepastnych szuflad różne pamiątki, które możemy oglądać w formie reprodukcji na kartach niniejszej książki.

Część druga publikacji dotyczy działalności Związku Sybiraków w Lubinie w latach 1986-2016. Jan Miłuch wybrał najważniejsze dokonania organizacji i sukcesy, którymi Związek może się poszczycić. W trzeciej części książki S. Tokarczuk prezentuje krótkie, teoretyczne rozważania na temat problematyki zesłańczej. Ten tekst lepiej byłoby umieścić przed wspomnieniami Sybiraków, gdyż pokazuje kontekst zsyłek z Kresów Rzeczypospolitej. Czwarta część zatytułowana *Varia* zawiera zbiór tekstów wspomnieniowych, fragmentów książek, wycinków z prasy. Ma się trochę wrażenie, że redaktor wszystkimi materiałami, jakie zgromadził chciał się podzielić z Czytelnikiem. Publikacja nie straciłaby na walorach, gdyby ta część została całkowicie wyeliminowana.

Recenzowana książka zawiera wspomnienia lubińskich Sybiraków, by ocalić od zapomnienia ich tragiczne losy. Chcieli oni przekazać młodym pokoleniom Polaków przesłanie, by pamiętali o wielkiej ofierze, jaką złożyli ich ojcowie i dziadkowie. Relacje ludzi, którzy doświadczyli deportacji rzucają

światło na pomijane niegdyś w historii zesłania i martyrologię Polaków na terenach dalekiej Rosji. Prezentowana książka, to zmaterializowana pamięć o losach ludzi, którzy doświadczyli zesłańczego życia oraz cierpieli na skutek totalitarnej ideologii.

*Małgorzata Dziura*

**Tadeusz Kukiz, *Madonny polskich losów w XX wieku*, Wrocław 2016, s. 92.**

W kulturze religijnej kult Matki Bożej cieszy się nieustającą popularnością. Tematyka maryjna ma odzwierciedlenie w literaturze, sztuce i ikonografii w postaci bogactwa i różnorodności przedstawień. Wizerunki Maryi były i są lustrem, w którym odbija się konkretne środowisko i określony czas. Obrazy maryjne są odpowiedzią na potrzeby ludzkie, gdyż Maryja zawsze była bliska człowiekowi. Jej kult wiązano wszędzie, a szczególnie w Polsce, z symboliką macierzyństwa i matczynej opieki. Stefan Czarnowski przed laty pisał: „Matka Boska występuje wszędzie w Polsce jako, jeśli nie naczelna w znaczeniu hierarchicznym, to w każdym razie jako najpowszechniej i najgorliwiej czczona postać święta”<sup>1</sup>. Według ludzi, ta święta kobieta wie, co to ból i cierpienie, zna problemy i trudy ziemskiego życia. Wstawia się za wiernymi u swojego Syna, jest opiekunką, orędowniczką i wspomożycielską w trudnych sytuacjach. Prośby do jej różnych wizerunków przez wieki zanosili królowie, wodzowie, duchowni i zwykli ludzie.

Powstało wiele opracowań o kulcie Maryi w kulturze tradycyjnej i religijności ludowej. Tadeusz Kukiz w swej książce *Madonny polskich losów w XX wieku* wskazuje na ścisłe powiązanie symboli religijnych i narodowych. We *Wprowadzeniu* pisze: „Nasza trudna historia sprawiła, że artyści – jakby wyczuwając potrzeby wiernych – tworzyli wizerunki Maryjne odpowiadające ich oczekiwaniom. Niektóre powstawały podczas znanych wydarzeń, na przykład obrazy Matki Bożej Kozielskiej, Powstańczej czy MB Kołomyjskiej, inne tworzone były ex post przywołując dawne przeżycia (linoryt MB Katyńskiej czy MB Łagrów i Obozów), a niektórym – powstałym i znanym znacznie wcześniej – przypisywano później dodatkową symbolikę (do tych zaliczyć można wizerunek MB Biłeckiej, któremu nadano również nazwę Matki Bożej Sybiraków)” (s. 10). Autor recenzowanej książki różne ikonografie Maryi łączy z dramatycznymi losami Polski i wskazuje na sensualizm, który w tym kontekście oznacza „namacalny realizm przedmiotów czysto symbolicznych”<sup>2</sup>. Wizerunki Matki Boskiej są traktowane jako znaki, które sprowadzają obecność świętości.

Pierwszy obraz, z kręgu zainteresować Autora to *Panna Maria Dziewica ulatująca z aniołkami* z kościoła w Mińsku Mazowieckim, przed którą generał Józef Heller modlił się o zwycięstwo podczas wojny polsko-bolszewickiej,

<sup>1</sup> S. Czarnowski, *Kultura religijna wiejskiego ludu polskiego*, [w:] S. Czarnowski, *Kultura*, Warszawa 1958, s. 88.

<sup>2</sup> Z. Kruszelnicki, *Z zagadnień ikonografii sztuk plastycznych w średniowieczu*, [w:] *Katolicyzm średniowieczny*, red. J. Keller, Warszawa 1997, s. 380.

a później młodzież akowska i obozu narodowego obrała sobie *Madonnę Hellerowską* za swoją patronkę. Tadeusz Kukiz zajmuje się także wizerunkami Bożej Rodzicielki na znaczkach polskiej poczty jenieckiej w czasach drugiej wojny światowej i *Solidarności* lat osiemdziesiątych.

W niniejszej publikacji wizerunki maryjne opisane są w pięciu częściach. Tadeusz Kukiz rozpoczyna swoje rozważania od analizy wizerunku *Matki Boskiej Katyńskiej*, następnie sporo uwagi poświęca obrazom *Matki Boskiej Kozielskiej*. Linoryt Anny Danuty Staszewskiej *Matki Boskiej Rozstrzelanych – MB Katyńskiej* jest pretekstem dla Autora do rozważań na temat zbrodni katyńskiej.

Druga część zatytułowana *Obrazy z kręgu wizerunków Matki Boskiej Kozielskiej* pokazuje tworzenie i dzieje wytworów sztuki i przedmiotów kultu maryjnego na rosyjskiej ziemi. Za relikwie-symbol więźniów: Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska uważana jest płaskorzeźba por. Henryka Gorzechowskiego przedstawiająca „Matkę Boską o rysach przypominających nieco Ostrobramską, ale którą najśluszniej *Katyńską Matką Boską Rozstrzelanych* nazwać trzeba” (s. 25), ale także płaskorzeźba i obraz *Matki Boskiej Zwycięskiej Kozielskiej*.

Tadeusz Kukiz, w kolejnej części książki, omawia żołnierskie wizerunki Maryi, między innymi obraz *Matki Boskiej Powstańczej* autorstwa Ireny Pokrzywnickiej, linoryt *Matki Boskiej AK-wskiej* Ireny Stankiewicz i płaskorzeźbę *Piety Matki Boskiej Akowskiej* Andrzeja Pityńskiego. Zwraca też uwagę na powstające w czasie okupacji obrazki maryjne, które stanowiły żołnierskie relikwie. Interesujące są dzieje Wykusu, miejsca w Górach Świętokrzyskich, gdzie w 1957 roku żołnierze Armii Krajowej wystawili „pierwszy pomnik-kaplicę, z obrazem *Matki Boskiej Bolesnej*, poświęcone Świętokrzyskim Zgrupowaniom Partyzanckim i tam, co najmniej raz w roku, 16 czerwca, w rocznicę śmierci swojego sławnego dowódcy – „Ponurego” zjeżdżali się na spotkanie” (s. 51).

Zesłańcy na Syberię mieli także swoje Madonny, do których uciekali się w chwilach rozpacz i braku nadziei. *Matka Boska Irkucka* czy *Kołomyjska* były patronkami katorżników i wszystkich, którzy znaleźli się na „niehumanitarnej ziemi”. Patronką Sybiraków została *Matka Boska Biłicka*, o której Tadeusz Kukiz pisze: „to wolna kopia na desce oblicza częstochowskiego wizerunku NMP pochodząca z piętnastowiecznej parafii w Biłce Szlacheckiej koło Lwowa” (s. 60).

Wizerunek *Matki Boskiej Częstochowskiej* to jedna z najpopularniejszych ikonografii maryjnych w Polsce. Kult Jasnogórski był utrwalany także w formie militarnej i patriotycznej, na co zwraca uwagę Tadeusz Kukiz w piątej części książki. „Zakorzenione przekonanie o szczególnej pomocy udzielanej przez Jasnogórską ikonę walczącym żołnierzom i jej kult sprawiły, że ten wizerunek zaczęto umieszczać na sztandarach bojowych” (s. 65), a także na proporcach, tarczach, ryngrafach i nazywać „Hetmanką”. Wizerunek *Matki Boskiej Częstochowskiej* modyfikowano w zależności od wydarzeń historycznych i ozdabiano elementami wojskowymi lub symbolicznymi np. obraz *Matki Boskiej Solidarności Gdańskiej*.

Książkę Tadeusza Kukiza można potraktować wielorako: jako systematyzację patriotycznych wizerunków *Matki Boskiej*, topos cierpienia lub zapis fascynacji i zainteresowań Autora. Bez wątpienia publikacja zwraca uwagę

na rolę ikonografii maryjnej w kulturze narodowej i w tragicznych momentach historii Polski. Nie jest to dogłębna analiza naukowa, ale szkic pozwalający na orientację w różnorodności Madonn Narodowo-Patriotycznych.

Publikacja *Madonny polskich losów w XX wieku* zaprasza do świadomego odkrywania wartości patriotycznych i zwrócenia uwagi na rolę wizerunków Matki Boskiej dla Polaków. Widoczne jest dopasowanie kultu maryjnego do momentów zwrotnych w dziejach naszego narodu. Maryja wydaje się być zrośnięta z doświadczeniami historycznymi. Barwne fotografie pozwalają lepiej poznać ikonografię maryjną i dają pełniejszy obraz omawianej problematyki. Słowa Stefana Czarnowskiego „Każdy jednak obraz, każda kalwaria ma swoje grono wiernych, którzy rozróżniają nie tylko jeden obraz od drugiego, ale nawet jedną Matkę Boską od drugiej”<sup>3</sup> najlepiej oddają istotę książki Tadeusza Kukiza.

*Małgorzata Dziura*

---

<sup>3</sup>S. Czarnowski, op. cit., s. 93.



## **„Zesłaniec” w internecie**

Od grudnia 2009 roku kwartalnik „Zesłaniec” dostępny jest również w wersji internetowej, na stronie:

**<http://zeslaniec.pl>**

Obecnie w zakładce „Spis treści” na wyżej wymienionej stronie dostępne są roczniki 2006-2015, a numery bieżące oraz w miarę możliwości poprzednie będą sukcesywnie dodawane. Autorem witryny internetowej jest Pan Janusz Łukasiak, zaś hosting na preferencyjnych warunkach zapewnia firma [mzplanet.com](http://mzplanet.com).

\*

Przekazując Szanownym Czytelnikom tę informację, redakcja dziękuje Panu J. Łukasiakowi za bezinteresowne wsparcie nas w ważnej potrzebie pełniejszego czytelniczego odbioru „Zesłańca” za pomocą internetu. Wyrazy wdzięczności kierujemy również pod adresem firmy [mzplanet.com](http://mzplanet.com). za udostępnienie hostingu na zasadzie specjalnej preferencji. Ujmując rzecz w schematyzującym z konieczności uproszczeniu można powiedzieć, że ten kierunek popularyzacji publikacji zawartych w „Zesłańcu” odpowiada na apel jego Czytelników.

***Redakcja „Zesłańca”***

**„Dobroczynność jest nie tylko ważna,  
lecz przede wszystkim radosna.”**

S. Kowalski, *Księga aforyzmów*

### Do Czytelników „Zesłańca”

Tradycyjnie już zwracamy się z prośbą o wspieranie „Zesłańca”, który cieszy się zainteresowaniem Czytelników. Ich opinie dodają nam sił, by pismo ukazywało się regularnie. Sił tych nam jeszcze wystarcza.

Niestety brakuje pieniędzy! Często otrzymujemy z Rosji interesujące teksty, które w miarę możliwości finansowych, potrzebnych na ich przetłumaczenie, ukazują się drukiem. Ostatnio pismo zostało wsparte przez Oddziały i Koła naszego Związku oraz innych darczyńców z kraju i zagranicy. Dziękujemy im za ten wyraz troski.

Drodzy Czytelnicy!

Wydawanie „Zesłańca” to wiele czynności redakcyjnych oraz systematyczne dostarczanie go do Oddziałów naszego Związku w ilościach ( $\pm$  1 egz. na 200 członków!). Niestety Oddziały zalegają z wpłatami, a przecież bieżące wpływy pokryłyby część kosztów wydawniczych. Prosimy zatem Oddziały by uporządkowały zaległości płatnicze za otrzymane egzemplarze.

„Zesłaniec” przynosi wiele ważnych informacji dotyczących historii związków polsko-syberyjskich dawnych oraz nowszych, aż po współczesność, bo ciągle przecież mieliśmy i mamy związki z Syberia, gdzie od lat mieszkają nasi Rodacy. Losy i dokonania Polaków w Rosji, aż po Władywostok, Kamczatkę i Sachalin, to pasjonujący i ciągle nierozpoznany temat. Ponadto artykuły ukazujące się na łamach „Zesłańca” to także rodzaj kroniki wydarzeń Związku Sybiraków.

Informując o tym, rodzi się refleksja, że gdyby co dziesiąty Członek naszego Związku wpłacił raz w roku pięć złotych, a każde Koło pięćdziesiąt złotych, „Zesłaniec” mógłby ukazywać się jako dwumiesięcznik. Prosimy zatem Oddziały Związku Sybiraków by rozważyły możliwość wspomoczenia pisma, by nie zalegały z wpłatami za przekazywane egzemplarze i zechciały skuteczniej go kolportować. Kwoty przeznaczone na ten cel prosimy wpłacać na konto:

**Zarząd Główny Związku Sybiraków  
PKO BP S.A. I O/Warszawa  
nr 85-1020-1013-0000-0502-0149-8617**

Wiesław K r a w c z y n s k i  
Przewodniczący Rady Naukowej  
Zarządu Głównego Związku Sybiraków